



# W walce o antyhitlerowski front narodowy

**P**OLSKA Partia Robotnicza już od początku swego istnienia, zgodnie z pierwszą odezwą, dążyła do utworzenia przy pomocy klasy robotniczej i wiejskiego proletariatu wspólnego frontu narodowego w walce z okupantem. W tym celu do życia powołała Gwardię Ludową, której pierwsze oddziały już w czerwcu 1942 r. ruszyły do walki.

Wiadomości o powstaniu Partii szybko przeniknęły na Lubelszczyznę. Włodzimierz Dąbrowski, działacz ruchu robotniczego od roku 1903, uczestnik założycielskiego zebrań PPR w Warszawie, odpowiedzialny w roku 1942 za II Obwód (tzw. „Wschodni”), na terenie powiatu kraśnickiego był już 10 kwietnia. Tutaj nawiązał kontakt z działaczami Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej. Na pierwszym posiedzeniu w Kraśniku został wybrany Okręgowy Komitet PPR w składzie: sekretarz — Aleksander Szymański ps. Ali, członek b. KPP, organizator RChOB w Kraśniku, jeden z pierwszych organizatorów partii na Lubelszczyźnie, kierownik „wojskówki” — Michał Wójtowicz, ps. Zygmunt, członek KZMP, a od r. 1934 KPP, w r. 1941 współorganizator RChOB oraz skarbnik — Stanisław Szot ps. Kot, organizator Związków Zawodowych, działacz KZMP, współorganizator RChOB.

W tym samym czasie powstał w Lublinie Miejski Komitet PPR. Tworzyli go: Paweł Dabek, członek b. KPP, współorganizator RChOB, Bogdan Parczyński, członek b. KPP, Tadeusz Wiśniewski, członek KPP, Regina Ziętkowa ps. Siwa, członek KPP. Również w Lubartowie powstał Komitet Powiatowy, sekretarzem wybrany został Jan Tomasiak, od r. 1906 członek PPS-Lewicy, w latach 1918—1938 członek b. KPP. Wiosną 1942 r. powstał Komitet Powiatowy PPR w Kraśniku, w skład którego weszli: Waclaw Czyżewski ps. Im jako sekretarz, Jan Pytel, członkowie b. KPP, Stanisław Bieniek oraz Tadeusz Szymański. Działacze partyjni organizowali komórki partyjne i oddziały partyzanckie.

Jednym z pierwszych na Lubelszczyźnie był zorganizowany w kwietniu 1942 r. we wsi Ludmiłówka (pow. kraśnicki) oddział skupiający Polaków, Rosjan zbiegłych z niewoli niemieckiej oraz kilku Żydów. Organizatorami oddziału byli działacze Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej, a następnie Polskiej Partii Robotniczej — Jan Awtel, Stanisław Szot, Jan Wziętek ps. Murzyn. Dowódcą oddziału został Aleksander Rajewski, oficer Armii Czerwonej, zbiegły z niewoli niemieckiej. W lipcu 1942 r. oddział przeprowadził śmiałą akcję na urząd gminny w Dzierzkowicach. Nieco później, już w sierpniu oddział ten został rozbity przez Niemców w rejonie Urzędowa i Dzierzkowic. Rozbici partyzanci nie zrezygnowali z walki. Podporządkowali się przybyłemu w lipcu 1942 r. na Lubelszczyznę Grzegorzowi Korczyńskiemu, b. uczestnikowi wojny domowej w Hiszpanii i francuskiego ruchu oporu, któremu Dowództwo Główne GL powierzyło organizację nowego oddziału partyzanckiego. Jemu to podporządkował się również oddział Antoniego Palenia ps. Jastrząb, który 3 lipca 1942 r. uwolnił z aresztu w Zaklikowie chłopów osadzonych za nieoddawanie kontyngentów. W sierpniu natomiast rozbił posterunek policji w Kosinie, zniszczył dokumentację i urządzenia w urzędzie gminnym. Oddział im. T. Kościuszki pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego stał się z czasem jednym z najbardziej czynnych na Lubelszczyźnie.

W połowie 1942 r. działały również oddziały partyzanckie na innych terenach Lubelszczyzny. W czerwcu oddział „Czarnego Miszy” spalił fabrykę mebli w Tarnawce (pow. tomaszowski), w powiecie chełmskim koło Rakolup w rejonie Nowego Folwarku stoczył walkę z Niemcami oddział Konstantego Mastalera. W Antopolu (powiat włodawski) Jan Hołod spalił gorzelnię, w rejonie Parczewa, Teodor Albrecht zlikwidował punkt mięsny. Działal również cały szereg grup wypadowych podporządkowanych Gwardii Ludowej.

„Front Walki” już 30 maja 1952 r. nawoływał naród do masowej walki z okupantem: „Przez nasz kraj idą pociągi z amunicją, sprzętem i wojskiem i tu wróg ma swe magazyny zaopatrzenia całego frontu wschodniego. Dlatego też takich możliwości szkolenia nie ma i nie może mieć nikt. Musimy pokonać wszystkie trudności i przejść do tej walki. Na każdym nowym etapie musi być stosowana i organizowana nowa forma walki. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Nam nie wolno zasyjać. Od

naszej aktywności i siły zależeć będzie przyszłość Polski. Ten zbiorowy wysiłek wszystkich podbitych narodów prowadził do ogólnego zbrojnego powstania szerokiej masy przeciwko okupantowi. Już niedaleko jest ta chwila, musimy być do niej przygotowani. Pamiętajcie, że wróg nie śpi. On wszelkimi sposobami pragnie załamać postawę polskiego społeczeństwa i zduśić każdy objaw myśli i czynu narodowowyzwoleńczego. W tym celu rozstrzeluje na każdym kroku, aby zastraszyć i pomóc w ten sposób swym agentom wprowadzić łatwiej chaos i panikę wewnątrz społeczeństwa polskiego. Przepędzając tych wszystkich nędzników, którzy wysługują się okupantowi. Oni chcą uspić czujność ludu polskiego i sprowadzić z właściwej drogi do wolnej i niepodległej Polski. Wolność i niepodległość nie otrzymamy bez walki całego narodu. Kto dąży do zrealizowania tego celu przy grupie uzbrojonych ludzi, ten myśli nierealnie. Walka musi przybrać masowy charakter na wszystkich odcinkach. Tylko pod sztandarami zjednoczonych sił narodowowyzwoleńczego frontu walki z okupantem — droga do wolnej i niepodległej Polski, wolności i sprawiedliwości”.

W obliczu rozwijającego się ruchu partyzanckiego w połowie 1942 r. PPR przystąpiła do realizowania jednego z naczynych swych założeń — jednoczenia w walce z okupantem wszystkich ugrupowań demokratycznych i patriotycznych. Wyszła hasło tworzenia Narodowych Komitetów Walki, których zadaniem było: kierowanie walką narodu — organizowanie oddziałów partyzanckich, oporu biernego, sabotażu, dywersji, niesienie pomocy więźniom i jeńcom, obrona ludności cywilnej. Komitety te miały skupić przedstawicieli różnych organizacji podziemnych i warstw społecznych, miały być organami frontu narodowego w walce z okupantem.

Inicjatywa partii w sprawie organizowania Komitetów Walki wobec braku odpowiednich warunków upadła. Przede wszystkim brak było aktywów. Pracę utrudniały również organizacje sanacyjne, cały obóz burżuazyjny z udziałem rządu emigracyjnego, które

## ZBIGNIEW HIRSZ

prowadziły oszczerczą politykę przeciw partii i dekonspirowały działaczy lewicowych.

Mimo trudności szeregi partii na Lubelszczyźnie wciąż rosły, szczególnie w powiatach: kraśnickim, puławskim, włodawskim, lubartowskim. Powstały nowe komitety gminne i gromadzkie. W styczniu 1943 r. na posiedzeniu Komitetu Obwodowego w Lublinie przy ul. Żelaznej działacze postanowili powołać organizację partyjną w powiatach, których Komitet PPR nie objął jeszcze organizacyjnie. W tym celu wyjechał w teren Stanisław Szot i zorganizował Komitet Powiatowy w Krasnymstawie, do którego weszli: Edward Jurecki ps. Kosa, członek b. KPP, Stanisław Lisik (jako sekretarz), organizator bezimiennej grupy i Antoni Lisik. Komitet Powiatowy PPR w Chełmie tworzyli m. in.: Konstanty Krasowski ps. Wujcio (jako sekretarz), Aleksy Pilipczuk ps. Leon, członkowie KPZU. Sekretarzem KP w Zamościu był Stanisław Dudek ps. Żuk, w Hrubieszowie — Feliks Kozak ps. Iks, w powiecie lubelskim — Bolesław Pawłowski ps. Profesor. „Organizacja partyjna w roku 1943 — wspomina Stanisław Szot — rozwijała się w szybkim tempie, obejmując swym zasięgiem coraz to nowe tereny. Zbrojne ramię Partii — GL oddawało tu nieocenione zasługi w przeprowadzaniu akcji bojowych z okupantem. W związku z rozwojem Partii i nasileniem walk GL wysunęło się zagadnienie usprawnienia pracy kierownictwa przez większe powiązanie się z dolami dla realizowania intensywniejszej walki z okupantem”.

W maju 1943 r. ideę tworzenia Narodowych Komitetów Walki podjął lubelski Komitet Obwodowy PPR. W odezwie swej przypominał: „Polska Partia Robotnicza stojąca na gruncie walki o niepodległość rzuciła hasło zjednoczenia całego narodu polskiego w sojuszu z innymi walczącymi z niemieckim faszyzmem narodami okupowanymi i w oparciu o walczące z Niemcami narody Związku Radzieckiego, Anglii i Ameryki dać może wolność i wyzwolenie”. Polska Partia Robotnicza poprzez orga-

nizowanie NKW starała się włączyć do walki z najeźdźcą wszystkie ugrupowania polityczne i wojskowe, jednocześnie starała się oddziaływać politycznie na inne organizacje podziemne.

Mimo iż Narodowe Komitety Walki w terenie nie rozszerzały działalności, zgodnie z odezwą majową Polska Partia Robotnicza poprzez organizację oddziałów partyzanckich GL i grup dywersyjno-wypadowych dążyła do „ogólnonarodowego powstania”. Odezwa lubelskiego Komitetu Obwodowego PPR głosi: „Więcej i coraz większe oddziały partyzanckie, poprzez walkę z posterunkami policyjnymi i urządami administracyjno-gospodarczymi — do walki masowej z transportem, garnizonami wojskowymi i opanowaniem miast powiatowych i centrów przemysłowych — oto jest droga do zwycięskiego, ogólnonarodowego powstania”.

Słuszne założenia propagandy Polskiej Partii Robotniczej przyczyniły się do wzrostu świadomości w społeczeństwie polskim. Naród zaczynał rozumieć, jaką rolę w drugiej wojnie światowej odgrywały ZSRR i Armia Czerwona oraz PPR na terenie okupowanym. Coraz więcej osób wstępowało w szeregi Gwardii Ludowej. Powstawały nowe oddziały partyzanckie, w których szeregach walczyli o lepsze jutro patrioci polscy, obywatele Związku Radzieckiego, Żydzi i inni. Z gwardziastami współpracowały niektóre oddziały BCH i brały udział w walce z okupantem. Szereg wspólnych akcji przynosił pozytywne rezultaty. W roku 1941 powstało około 20 nowych oddziałów GL. Gwardziści w ponad 200 miejscowościach Lubelszczyzny przeprowadzili około 300 akcji: niszczyli obiekty gospodarcze będące na usługach okupanta, likwidowali szpiegi, przeprowadzali dywersję kolejową, brali udział w potyczkach, a nawet zaciętych bojach z okupantem. Partyzanci GL odnosili coraz to większe sukcesy.

Przykład gwardziści zachęcał członków AK i BCH do współpracy w walce z wrogiem. Na temat właściwego postępowania członków PPR oraz zmiany przekonań poszczególnych osób związanych z AK pisał strzelec „Tornado”: „Wczoraj napotkałem na placówce PPR i dopiero wczoraj przekonałem się, jak nam w oddziale zamykali oczy, że PPR jak spotka kogo z AK, to go zabija. Ja spotkałem się ze strony kolegów PPR z jak najszybszą opieką, zaraz wystarli się mi (Dokończenie na str. 18)

## NIE BĘDZIE ZAPOMNIANE

### KRYSZTOF WÓJTOWICZ

Kapitan pierwszej rangi — u nas stopień ten odpowiada randze komandora porucznika — Genadij Pawłowicz Bertiew — nie należy do pokolenia weteranów. Jest dowódcą bazy szkoleniowej dla młodych kandydatów do oficerskiego, marynarskiego stanu w Morskiej Akademii im. Admirała Kryłowa. Baza ta — to „krejser Aurora” krążownik, który przeszedł do historii.

Uszedł spod groźnych paszcz japońskich dział pod Cuszimą, uniknął na Bałtyku torped wilmowskich piratów podwodnych. 7 listopada 1917 roku ogłosił ludzkości nową erę, zapoczątkował ją wystrzałami swoich dziobowych dział. Na sygnał z „Aurory” runęły szerokimi ulicami Petersburga, na szturm Pałacu Zimowego oddziały Rewolucji.

Poznaję też na „Aurorze” towarzysza Manuszkina. Nieduży, tęgi, siwy — czuje się tutaj doskonale w roli gospodarza. Wchodzi w każdy zakamarek krążownika, zna każdą kłamkę, poręcz, stopień okrętowych schodów. W listopadzie 1917 r. był jednym z członków dziesięciusetosobowej załogi, jednym z czterdziestu dwóch członków bolszewickiej organizacji partyjnej na krążowniku.

Pierwszy strzał oddany wtedy z dziobowego działka — to był ślepy pocisk. Ja znalazłem się zupełnie przypadkowo na pokładzie, bo byłem przecież palaczem i stałem miałem służbę w kotłowni. Ale jak okręt stoi w przystani, to i palacze mają wtedy więcej wolnego — uśmiecha się szeroko do swoich wspomnień. — Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że na zawsze zostaniemy w historii — to pierwszy odpalilibyśmy ostrym.

Z dziesięciuset — w sześćdziesiątych latach naszego stulecia żyje jeszcze 74 z „Aurory”. Trzech w Polsce, na

Ziemi Białostockiej — Szewko, Kowalewski, Godlewski. Czy nadal cieszą się oni dobrym zdrowiem?

Szpakowaty, w admirałskim mundurze, pochylony wysoki mężczyzna o zmęczonych oczach — to kontradmirał Demin — redaktor „Atlasu Morskiego”, laureat nagrody państwowej. W listopadzie 1917 roku młodym z załogi krążownika „Aurora”.

Nieduży, ociężały podpułkownik w stanie spoczynku Niewolin 46 lat temu był zwinny, silny, młodym marynarzem, matrosem pierwszej kategorii.

Zawsze spokojny młodym Sokolow przewany przez marynarzy „profesorem”. Nie na darmo. Dzisiaj profesor Sokolow z wojskowej morskiej akademii im. Kryłowa przekazuje swój marynarski wiedezy swoim młodym przyszłym kolegom. Każdego ranka przechodzi bulwarami, obok stojącego spokojnie na newskich wodach, starego, tak bliskiego sobie krążownika.

Na historię — nakładają się powściągliwie, pracowite dni. Każdego ranka zanim z wodnych oparów wyłoni się szare kontury czterech kominków „Aurory” — nad miastem Lenina rozbrzmiewa ryk fabrycznych syren. Ulicami, którymi przechodziły pułki rewolucji — spleśniało do swoich zajęć spokojni, pracowite ludzie. Przechodzą koło pałacu w Smolnym, skąd Lenin 45 lat temu kierował zbrojnym powstaniem, mijają nieduży pałac baletnicy Krzesińskiej, z balkonu którego Lenin przemawiał do robotników Piotrogród.

Zatrzymują się i przypalają jedno od drugiego papierosa przy pomniku „miedzianego jeźdźcy” — Piotra I, a potem idą dalej długim, nadnawskim bulwarem wzdłuż nadbrzeżnej strony dawnego Pałacu Zimowego. Starszy i młodzi mieszkańcy siedziby rewolucji „miasta bohatera”, które w obronie radzieckiej ojczyzny złożyło jej w ofiarę życie ponad miliona swoich synów i córek.

Na Marsowym Polu, nabrzeżni koreszar dawnego pawłowskiego pułku, płonie wiecznym ogniem zapałony w roku 1957 znicz ku czci ofiar rewolucji lutowej 1917 roku.

Nie nie będzie zapomniane.

# PÓL WIEKU POEZJI POLSKIEJ

TEN tytuł nosiła konferencja zorganizowana przez prof. K. Wykę w Instytucie Badań Literackich w dnach 15-20 listopada br. Program konferencji obejmował następujące referaty:

- „Pozycja „Hymnów” Kasprzycza na tle kierunków literackich okresu” — J. J. Lipiński;
- „Zagadnienie polskiego symbolizmu” — M. Podraza-Kwiatkowski;
- „Leopold Staff — poeta paradoksu” — J. Kwiatkowski;
- „Odrębność Le. miana” — J. Trzaska;
- „Odrębność klasyczne w liryce polskiej w latach 1907-1914” — R. Przybylski;
- „Główne problemy polskiego (k. u. r. z. s. k.)” — H. Zaworska;
- „Grupa Skamandrytów” — A. Kowalczykowska;
- „O poezji Judra” — M. Głowiński;
- „Wokół Jana Tuwima” — M. Głowiński;
- „Karmazynowego poematu” Jana Lechońskiego — I. Opacki;
- „Miejsce Pawlikowskiej” — P. Kuncewicz;
- „Wzorce poetyckie awangardy krakowskiej” — J. Ślawiński;
- „Podstawy światopoglądowe awangardy krakowskiej” — S. Jaworski;
- „Wiersz awangardowy (podstawy, granice, możliwości)” — A. Okopień-Sławińska;
- „Tradycje współczesnego wiersza polskiego” — M. R. Maszyńska;
- „Władysław Broniewski” — Z. Siatkowski;
- „Józef Czechowicz” — T. Klak;
- „Sprawa nadrealizmu” — J. Prokop;
- „Poezja zagarystów” — D. Zamajski;
- „Konstanty I. Gałczyński” — M. Wyka-Husztalska;
- „Sw. adomość estetyczna ostatnich lat dwudziestolecia” — W. Szymański;
- „Pół wieku poezji polskiej” — K. Wyka.

Latwo objaśnić ten wybór tematów: organizatorom chodziło o objęcie wstępnej penetracją okresu żywych inspiracji dla poezji późniejszej (symbolizm) i czasu ciekawego rozwoju tej poezji poprzez walkę z różnymi nurtami i postawami międzywojennego dwudziestolecia. Ta problematyka rzadko dotykana była piórem badacza, nie tak często — krytyka. A przecież dystans dzielący nas od tamtych lat zmienia hierarchie i perspektywy, obnaża lub wywyższa niektóre zjawiska, czas nieubiegane powoduje wstrząsanie wielu uwozów i wartości. Wspomniana konferencja srodziła się nie tylko z potrzeby przedzielenia pewnych obszarów, ale także sporządzenia wstępnego obrazu, na który czeka przecież i młoda poezja, i choćby nauczyciel literatury polskiej. Ten wstępny i do pewnego stopnia pionierski charakter konferencji, stanowi o jej osiagnięciach, także o jej niedostatkach. Mowilo się o obu jej stronach w wniegodnych bogatych dyskusjach. Łuki w programie i przeoczenia były oczywiste, często przewidziane, ale nie było to do uniknięcia. Zresztą zostały skompensowane rzeczowymi osiągnięciami niektórych referatów, jak i przebiegiem dyskusji.

Po opisie wstępnym można przejść do wrażeń i impresji. Jako referenci wystąpili w zasadzie naukowcy młodej generacji, wychowani, jak to powiedział w słowie wstępnym prof. Wyka, całkowicie w Polsce Ludowej, dla których dwudziestolecie jest już historią, ocenianą z dystansem, obiektywnie, bez uprzedzeń i powieszania emocjonalnych. Stanow dla nich tylko przedmiot badawczy. Emocje wnieśli ci, o których często mówilo się w referatach — pisarze obecni w licznej grupie na sali: Iłakowiczówna, Przybysz, Iwaszkiewicz, Ważyk, Zagórski, Rymkiewicz, Czernik, Stern, Piechal, Kolon Ecki, to tylko nazwiska przykładowe. Słucha się referatu o „Skamandrytach”, a wkrótce potem nieresultującego i dowcipnego przemówienia Skamandryty — Iwaszkiewicza („Teraz wiem — mówi żartobliwie — czy byłem, czy nie byłem członkiem Skamandrytów”). Konfrontacja spojrzeń badacza i świadka była dosyć ciekawa i pouczająca.

Konferencja, mimo że referentami byli przeważnie młodzi pracownicy Instytutu Badań Literackich, ujawniła rozmaite szkoły i metody badawcze oraz bardzo różnicowane podejście do zjawisk poetyckich. Niemniej można mówić w wielu wypadkach o postawach zbliżonych, wykrywalizowały się one i potwierdziły w dyskusji. Strukturalizm, język wyszukujący drobne teorii i formacji, wysoki stopień ogólności i świadomości teoretycznej cechowały niektóre referaty. Postawy te zostały gwałtownie zaatakowane z różnych pozycji — przeciwstawiali się takiej metodzie. Językowi i sposobom mówienia o poezji — M. Rzeuska, W. Kubacki, J. Kott i A. Sandauer. Starcie różnic postaw i języków było dla konferencji niezwykle owocne i cenne. Unaocznili, że mamy do czynienia z nowym zjawiskiem, nowym językiem krytycznym, inną świadomością badawczą, często b'egunowo odmienną od tych które reprezentowali polemicy. Trzeba przy tym dodać, że w wielu wypadkach wla nie młodzi naukowcy (już przecież zni oseski, ani barbarzyńcy, jak d w cionie ogólni zarzuty im stawiane J. Sawański — jeden z najbardziej atakowanych) wchodzili ze starą z renomowanymi przez-w-w kami zwycięsko, objawili gojrzale i d'wscvnlne intelektualną. Ofensywę młodej generacji wspierał wczelnie młody Julian Przybysz, autor pięknego polemicznego wystąpienia.

Sesja poświęcona poezji polskiej dwudziestolecia odbywała się w 15 rocznicę istnienia Instytutu Badań Literackich. Była to także prezentacja wychowanków, młodej kadry naukowej. Prezentacja wypadła dosyć dobrze zważywszy, że teren, na jakim się odbywała, był trudny, ledwo rozpoznany. Można już jednak teraz powiedzieć, że prócz rozpoznania i oświetlenia osiagnięcia dokonane zostały istotne poprawki i modyfikacje.

Dwudziestolecie nazwę poezji stało się jednak coraz bardziej domeną naukowców niż wspomnianą Proszę się jednak tego stanu rzeczy nie lekce, bowiem nauka, jak to w dyskusji zauważył prof. Wyka, składa się z uzasadnionych wątpliwości. A te zawsze są ciekawe i godne uwagi.

T. K.

W pierwszych latach po wyzwoleniu, zając do Krakowa, zachodziłem często do Grzybowski, zajmujących wówczas mieszkanie Stanisławów Estreicherów. Mieszkanie to, pełne ksiązek i rękopisów zbieranych jeszcze przez Karola Estreichera, stanowiło istne muzeum, w którym przechowywały się skarby narodowe, nie tknięte zębem czasu, ani pozogami dwóch wojen. W bibliotece znalazłem między innymi rękopisy pisarzy i poetów związanych z historią miasta, rysunki i autografy zdołoty ściany, a na honorowym miejscu zawieszony był, oprawny w ramkę, ostatni list Stanisława Estreichera, pisany z niemieckiego obozu koncentracyjnego. Spotykałem się w tym domu niemal cały współczesny świat artystyczny, tu odszukiwano się po latach rozłąki, tu omawiano gorączkowo projekty na przyszłość.

Któregoś wieczoru marcowego w r. 1946 razem z Konstantym Grzybowski poszliśmy do Klubu Literatów na Krupniczą. W słabo oświetlonej sali było tłoczno i z trudem znaleźliśmy wolny stolik. Obok nas większe towarzystwo prowadziło ożywioną rozmowę, rej wodził mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Był to Konstanty Gałczyński, miał na sobie jeszcze wojskowy aliancki mundur, a na głowie beret. Prowadził zaciętą dyskusję, chodziło o czasy stanisławowskie; Grzybowski wdął się w rozmowę, dyskusja stawała się coraz gorętsza, Gałczyński nie ustępował i widać było, że ten spór sprawa mu żywą radość. Od razu uderzyła mnie pasja intelektualna, z jaką oddawał się tej dyskusji, widoczna przyjemność, jaką sprawiało mu ścieranie się na argumenty. Było to pierwsze wrażenie, jedno z tych, które pozostawiają niezatarty ślad we wspomnieniach i składają się na sąd o człowieku. Zrozumiałem, że skoro tyle uczucia wkłada w sprawy sobie dalekie, musi być obdarzony wrażliwością niezwykłą, że po prostu jego bogata natura nie pozwala mu przejść obojętnie obok żadnego zagadnienia. Późną nocą opuściliśmy kawiarnię i szliśmy pustymi ulicami: miasto było już pogrążone w głębokim śnie. Gałczyński był przez cały wieczór bardzo ożywiony, lecz w rozmowie nigdy nie przybierał tonu apodyktycznego, tylko w chwilach wątpliwości przepalał swoją myśl dowcipnymi uwagami, które tworzył na poczekaniu i zależnie od sytuacji. Chętnie dorzucił i wiersz, najczęściej cytad z Horacego lub Szekspira, a gdy się do nich odwoływał, zawsze przytaczał słowa w języku poety, z intonacją i akcentem podkreślającym finezję myśli. Szczególnie lubilem jego łacińskie cytaty z Horacego. Ton, w jakim je deklamował, zharmonizowany z klimatem rozmowy, czynił z tych wierszy jakiś cudownie zwyczajny „przedmiot codziennego użytku”. Gałczyński był i w życiu poetą i każdemu spotkaniu narzucał swoisty poetycki nastrój tak bardzo rozmaity i różnorodny.

W dwa lata później Gałczyński przenieśli się na stałe do Warszawy i zamieszkali w Alei Róż. Nasze spotkania stały się częstsze, aż w końcu przedzierzgnęły się w serdeczną przyjaźń. Gałczyński potrafił wzbudzać w otoczeniu przeżycia estetyczne, każde rzuczone przez niego zdanie posiadało moc oddziaływania, poruszania jakiejś struny. Był po prostu bardzo ludzki, miał stosunek osobisty do każdego zewnętrznego przedmiotu, cały świat przemieniał się w jego wyobraźni w fantastyczny poemat, w zaczerpnięty teatr, w którym on tworzył i rozdawał role. Toteż każda rozmowa, każde spotkanie z nim przemieniało się w widowisko. Gałczyński posiadał dar podpatrywania ludzi, przedmiotom nadawał własną, urojoną przez siebie rzeczywistość i narzucał obecnym przeżycie, że to nie spotkanie, ale bajka. Nie pozwalał wglębiać się we własne troski, zmuszał do brania udziału w tym widowisku. Posiadając talent sugestywnego oddziaływania wciągał w ten zaczerpnięty świat.

Gałczyńskiego interesowała cała współczesna twórczość, teatr na równi z malarstwem, silnie przeżywał spór o kierunki w poezji i sztuce, uważnie obserwował ruch wydawniczy. Jednak najsilniej działały nań arcydzieła muzyki, poruszały najskrytsze struny i wywoływały w nim impulsy będące zalążkiem nowych estetycznych skojarzeń. Muzyka była dla niego pożywnym, dodawała bodźca do tworzenia, przyczyniała się do wzbogacenia metafor, rytmiki i różnorodnych odcieni brzmieniowo-przedstawieniowych. Poezja jego przecież stanowiła jakby transpozycję wielkich utworów muzycznych i wyczuć w niej można było różnorodne systemy tonalne przy zachowaniu norm bogatej dwulekowej kolorystyki nowoczesnego języka.

Znaleźliśmy więc wspólne zainteresowanie. Gałczyński miał swoich ulu-

# K. I. GAŁCZYŃSKI

ZYGMUNT GROSS

bionych kompozytorów, wysoko cenil Prokofiewa, Strawińskiego, Szostakowicza i Honeggera, miał wielkie uznanie dla Karola Szymanowskiego. Był zawsze spragniony głębokiej, czystej, pozabawionej efekciarstwa, nie fałszywanej pustymi brzmieniami akustycznymi muzyki. Może dlatego właśnie lubował się w arcydzielnach XVII i XVIII wieku, że artyści tego okresu nie rezygnowali nigdy z wielkiej linii melodyjnej i konsekwentnie trzymali się jednolitego stylu. Wsłuchiwał się więc w tych mistrzów, twórców własnego stylu, dalekich od eklektycyzmu i maniery. To nie tylko wielki Jan Sebastian był jego przewodnikiem, ale i Scarlatti, i Vivaldi, i Corelli, i Gluck uczyli go prostoty i harmonii w budowaniu wierszy.

- „Ile lat nad strof tworzeniem?”
- „Ile krzyku w poematy?”
- „Ile chwil przy Beethovenie?”
- „Przy Corellim? Przy Scarlattim?”

Ulubionym jego instrumentem były skrzypce. Udało mi się raz podchwycić chwilę, gdy pod wpływem ożywionej rozmowy o romantykach Gałczyński chwycił za smyczek i odegrał fragment ze „Scen dziecięcych” Schumann. Struny, uginając się pod ciężką, niezgrabną ręką, wydawały nieczyste, drażniące swym przyduszonym, skrzeczącym brzmieniem tony. Toteż poeta co rychlej odrzucił instrument. Te swoje skrzypce na jakiś rok przed śmiercią podarował synowi dozorca domu, w którym Gałczyński mieszkał, Józefowi Powoniakowi.

Grono przyjaciół Gałczyńskiego w ostatnich latach jego życia było stosunkowo nieliczne. W ich mieszkaniu przy Alei Róż można było spotkać wieczorami Florę i Władysława Bieńkowskich, Alapinów, Marię i Jerzego Zagórskich, Swinarskiego, Ładoszów, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego.

Ładosz miał zwyczaj opowiadania facecji, którymi raczył publiczność warszawską w swych częstych występach estradowych. Gałczyński życzyliwie przyjmował te dykteryjki, ożywiał się, gdy dowcip przypadł mu do smaku i uzupełniał zaimprovizowanymi wstawkami, ciesząc się nimi jak dzieckiem. Ładosz, znakomity recytator i doświadczony konferansjer, skrzętnie notował każdy nowy pomysł, wszystkie wystrzone finezyjnym humorem warianty. Gałczyński, autor, reżyser i aktor groteski, wprowadzał nas w jakiś świat E. T. A. Hoffmanna, którego fantastyczne nowele stały na półce wśród ksiązek poety.

Obcując z przyjaciółmi Gałczyński unikał trywialnych rozmów, nigdy nie wygłaszał złośliwych sądów o ludziach, plotkarstwa nie znosił. Gdy zacepił o sprawy kultury, olśniewał erudycją i głębią spostrzeżeń. Nie tolerował grafomanstwa w żadnej dziedzinie sztuki, w snobów bezlitosny załatwiał się z niedoścignięciami współczesnej twórczości dramatycznej, literatury, muzyki i malarstwa.

Biblioteka jego była skromna, ale za to umiłowanych autorów znał gruntownie, oszalałamił kaskadą odtwarzanych fragmentów poetyckich. Gałczyński miał głos metaliczny, o ciemnej barwie, już samo jego brzmienie posiadało moc sugestywnego oddziaływania. Posługiwał się nim z najwyższą prostotą i maestrią, modulując jak czarodziej barwę tego najpiękniejszego instrumentu. Jego wygląd dopełnił obrazu jego poetyckiej osobowości: silne rysy, jakby rzeźbione w kamieniu, oczy stale jarzące się, zmieniające swój wyraz zależnie od doznanych wzruszeń, miękki, czarne, mocno siwiejące włosy osłaniały wysokie czoło.

Poezja Gałczyńskiego, zadziwiająca swym kuglarstwem językowym, iskrząca się dowcipem i tętniąca ładunkiem emocjonalnym, budziła u niektórych współczesnych krytyków zastrzeżenia. Ówczesny redaktor „Twórczości”, sam zresztą utalentowany poeta, przyjąwszy na siebie rolę Savonaroli, wdział w Gałczyńskiego heretyka, który chciał podpalić świątynię narodowej poezji i, co gorsza, miał sobie za fraszkę proponowane wizerzenie, zredukowane do „Trzydziestu zakleć języka”. Druk niejednego wiersza i poematu został przez niego zakwestionowany, a rękopisy arcydzieł wpisane w rejestr librorum prohibitorum. W tym to też czasie inny uczonej w sztuce poetyki filolog, a zarazem krytyk, zahaczył wręcz jego znajomość

rzemiosła poetyckiego. Gałczyński popadał w depresję, niejedno ziarenko gorczy osadziło się w sercu poety. Nieprzyjemne mu wystąpienia czyniły olbrzymie zmiany i spustoszenia w jego psychice. Popadał wówczas w stany przygnębienia, brakło klimatu i gleby, na której mógłby uprawiać twórczość, zamierało w nim bowiem uczucie na sprawy tego świata. I wtedy zaczynał pić. Będąc któregoś dnia późnym wieczorem na kawie u Marce na Placu Trzech Krzyży, przez szybę okna ujrzałem przerażone, szeroko otwarte oczy poety. Gałczyński wpatrywał się we mnie. Wstałem od stolika, by się nim zaopiekować. Z trudem udało mi się go umieścić w takzwanym i odwiedzić do domu. Był po kilkudniowej wędrowce po zaułkach i knajpach. Trzeba było dużego wysiłku Natalii, by przywrócić poecie wiarę w przyszłość, siebie i ludzi.

Po powrocie z Paryża p. Julia Hartwig przywozła nagrane na płycie oratorium Honeggera do słów Claudela „Święta Joanna na stosie”. Gałczyński pożyczyl od niej tę płytę. Słuchaliśmy utworu parokrotnie. Gałczyński był tym oratorium zachwycony. Honegger oddał znakomicie nastrój poematu, wierny w stosunku do tekstu umiał w sposób powściągliwy ustąpić miejsca słowu, nie głużyć go dźwiękami, gdy uroczysta kadencja wiersza wymagała tej odrębności. Gałczyński marzył o współpracy z kompozytorem, który by umiał tak wyzyskać któryś z jego poematów. Jak bardzo go cieszyła kantata Krenza „Dwa miasta”, w której kompozytor zużył fragment jego wiersza! Gałczyński jeszcze wówczas nie znał osobliście Krenza. Poznali się tej jesieni u nas w domu. Gałczyński odczytał wówczas swój napisany latem poemat „Niobe”, a maszynopis dał Krenzowi, podpisując się w dedykacji „Librecista”. Ale jakoś nic z tej zamierzonej współpracy nie wyszło.

Bo też i ówczesna sytuacja w muzyce nie sprzyjała takim zamierzeniom. Było to jesienią 1950 r., kiedy czyniono przygotowania do piątego ogólnopolskiego zjazdu kompozytorów, w okresie formułowania schematów, w twórczości muzycznej. Zaatakowano barwną wielojęzyczną szatę harmoniczną, wrócono do kategorii „melodii”, której cechą winna być bez trudu dająca się przyswoić śpiewność. Do walki stanęli urzędnicy, wsparci przez muzykologów i dawnych przeciwników Karola Szymanowskiego. W organie związku kompozytorów, „Muzyce”, muzykologowie poddawali surowej krytyce utwory polskich kompozytorów, oceniając je od strony kosmopolityzmu i naleciałości systemu dwunastotonowego i francuskiego impresjonizmu. Dawni antagoniści Karola Szymanowskiego wystąpili zwartym frontem — jak kiedyś za życia mistrza, rozprawiali się z wielką muzyką „Harnasiów” i „Stabat Mater” — by skompensować kleskę, jaka zawsze ponieśli musi wyrobnik z wielkim artystą, i elektryczny styl przeciwstawili samodzielnej wyobraźni, a wiernie naśladowanie dawnych formuł wszelkiej oryginalności.

Gałczyński daremnie marzył o zobaczeniu którejś ze swoich sztuk na scenie. Pamiętam, jak opowiadał nam na świeżo o rozmowie odbytej z jednym z wyższych urzędników Centralnego Zarządu Teatrów. Chodziło o możliwość wystawienia „Babcji i wnuczka”. Usłyszał tam, że sztuka jest dziwaczna, formalistyczna i hermetyczna. Pełna niezrozumiałości. Np. scena, w której babcja wlewa przez lejek olej do głowy — czyż masowy widz zrozumie, o co tu chodzi? Później wprawdzie zmieniono zdanie, ale poeta już tej chwili nie doczekał.

Gałczyński jest poetą i pieśniarzem młodości. Utwory jego są odbiciem tęsknot i spraw, którymi żyją pokolenia najbardziej chwytające przejawy dziejącego się życia, zarówno w jego ponurej, groźnej, pełnej konfliktów walce, jak i najbardziej radosnej pogodzie. Toteż wiersze jego, wydawane za życia poety tak skąpo, krążyły w odpisach wśród młodzieży. Ale Gałczyński był również znakomitym aktorem i recytatorem. Obraz poety nie byłby pełny, gdyby się pominęło ten

(Dokończenie na str. 16)

# Ze pod kwiatami nie ma dna...

TADEUSZ KŁAK

Znany te przejmujące słowa Czechowicza:

ze pod kwiatami nie ma dna  
to ziemi wtemy  
gdym spłynię zórz ogniowa kra  
wszyscy uśniemy

Otwierają one „modlitwę żalobną”, wiersz napisany na śmierć Karola Szymanowskiego. Wiersz o śmierci, naznaczony przecuciem katastrofy. „Ogniowej krze” nic poeta nie może przeciwstawić. Kwiaty nie mają i nie dają oparcia, pod nimi nie ma dna. W tej strofie zawiera się dwojaki, krańcowy charakter świata poetyckiego Czechowicza: sielski i katastroficzny. Tu rozwój sytuacji lirycznej przebiega od motywu sielankowego ku obrazom zagłady. Ona triumfuje.

W zwrotce przytoczonej znajduje się słowo „dno”, rzadko u poety jawiące się, ale o najwyższej wadze, prawdziwe słowo-klucz. „Dno” — to co najniższe, co najwęższe — objaśnia poeta. Pod pozorami rzeczy poszukuje on dna rzeczywistości, tej ukrytej, a dla niego jedynie prawdziwej. Są u Czechowicza obrazy, które nie powstały jako jednorazowy zestaw słów, ale są wynikiem jakiejś obsesji. Wtedy napadają nętretnie wyobraźnię poety, domagają się nowych wcieleń. W wierszu to już niemożliwe. Ale gdzie indziej.

Takiej natury jest i obraz zawarty w początkowej linijce. Autor „nuty człowieczej”, był, jak wiadomo, także niezłym prozaikiem. Był także, o czym mało kto wie, a co warto przypomnieć, twórcą nowego gatunku literackiego. Nazwał go poeta „skrótem powieści”. Cóż to jest? Coś w rodzaju streszczenia, zarys scenariusza filmowego. Czasem wychodzi z tego po prostu bardzo esencjonalne opowiadanie, czy proza poetycka. Czechowicz widział przed tą formą artystyczną widoki rozwoju. Nie przypisywał sobie tego wynalazku, jedynie „traktowanie streszczenia jako sztuki czystej, autotelicznej”.

Czy Czechowicz zamierzał te powieściowe pomysły rozszerzać później do wymogów tego gatunku? Można wątpić. Ale nie sposób przeczyć, że poecie bardzo się spieszyło. W przecuciu katastrofy pragnął zostawić przynajmniej ślad, zarys nurtujących go pomysłów i przeżyć. Parę takich skrótów powieści („Wagon nr 16773” oraz „Sektanci” albo „Matka”) drukował Czechowicz w r. 1937—1938 w dodatku „Apel” w „Kurierze Porannym”. Wiele w nich szczegółów autobiograficznych, jak zawsze u tego poety.

Bardzo interesujący jest skrót zatytułowany „Lelea”. Bohater noszący imię Henryk ucieka od jakiegoś wielkiego boju. Wędruje poprzez wielkie spokojne łąki, zbocem urwiska. W zakończeniu, zamykającym się katastrofą bohatera, wraca nieco przemieniony wersem z „modlitwą żalobną”. „Wyciągnął rękę ku lodydze i nagle stracił równowagę. Odpadając stopami od kamienistej ścieżki pomyślał tylko: oprę się dłonią o grunt łąki. Lecz pod kwiatami nie było dna...” Okazuje się przy tym, że to opowiadanie jest po prostu dosyć wiernym zapisem, nieco przekształconym, obsesyjnych, uparcie powtarzających się snów poety. Bliższy jego przyjaciel, Kazimierz Miernowski, zanotował w swych zapiskach o Czechowiczu: „Opowiadał mi też [Czechowicz] nieraz o swoich snach. Jakież miał barwne i piękne. Powtarzał się w nich nieraz obraz jakichś obrzydliwych zapasów i walk potężnych mocarzy, walk okrutnych i bezlitosnych, wśród których się znajdował, by po pewnym czasie znaleźć się na łagodnej, cichej łące, gdzie odpoczywały dzieci. Łąki te zwał łąkami odpoczynku, bo znów potem przenosił się na teren walk. Albo chodził we śnie po pięknych kwiatnych łąkach, przy czym widział, że jeden fałszywy krok i zapadnie się w topiel bez ratunku”. Klimat i obrazy tych snów uważny czytelnik rozpozna w wielu wierszach Czechowicza.

„Lelea” jest właśnie artystyczną transformacją tego ostatniego snu. Musiał on być szczególnie żywy w wyobraźni poety, jeśli domagał się dwu — poetyckiej i prozaicznej — realizacji. Nie jedyny to przypadek w praktyce pisarskiej poety.

Innego przykładu dostarcza jednoaktówka „Bez nieba”, drukowana w pierwszym numerze „Pióra” z 1938 roku, jedna z ostatnich prób dramatycznych Czechowicza. Rozpoczyna się ona sceną, kiedy Poeta zmagają się z oporną materią wiersza. Pochylony nad rękopisem szkicuje jego zakończenie: „oczyszczyć nas, Promieniejący wszędzie, zbaw nas od spraw, które są ludzkie i zwierzęce, o to się bowiem modlimy od lat...”

Niedobrze to brzmi zdaniem Poety, kuleje. Najtrudniej, bo to zakończenie, zamknąć wiersz. Trzeba więc na pomoc wezwać czary. Zakreśla Poeta krąg na ziemi dookoła stołu.

Zjawia się Sobowtór Poety, bo koło czarodziejskie było prowadzone w przeciwnym kierunku. Sobowtór leży na słomie jak martwy. Rozmowa schodzi na sprawę samotności. Sobowtór zarzuca Poecie, że chce ją uzyskać przez wzgardę i pychę. Jest pokorny tylko wobec tego, co nie przemija. Ale i to niezniszczalne może od nas odrzucić. Po dramatycznej rozmowie Sobowtór odchodzi. Rozmowa ta krystalizuje pisany wiersz, nabiera on znamion modlitewnego zaklęcia: „oczyszczyć nas, ktokolwiek jesteś wszędzie, odrzućcie od nas dzieła ludzkie i zwierzęce, po to kłęczymy, leżąc na słomie jak martwi, od niezliczonych lat.”

Poznajemy tę strofę. To zakończenie „snu sielskiego”.

W dalszym ciągu Poeta nawiązuje rozmowę z Dziewczynką. Ta opowiada mu o swojej utracie dzieciństwa: „Cóż tu opowiadać. Stałam pod rzeźnią i zająrzałam w oczy krowie. Wiedziała dokąd i po co idzie. Poznałam to z jej spojrzenia. Więc tkwiłam w śniegu długie godziny, patrząc na tysiące zwierząt. Słyszy ze smutkiem w tę bramę. Mróz mnie przenikał i jak gdyby język ognia: śmierć, śmierć...”

Tym myślom Dziewczynki dał już poeta wyraz wiele lat wcześniej, w wierszu „Śmierć” z tomu „Dzień jak codzień”:

wagon czerwone więzienie krów  
zatkał okienka pyskami cieląt  
ryk załem kipi ryk i znów  
maszyny ciszę miałę  
(...)

o koła których ś  
dobrze wy wiecie gdzie rzeźnia  
im hamulcom przyczepom osiom  
droga też nie bezbrzeżna

dłaczego deski przepojone smarem  
przestały być kwitnącymi sosnami  
dlatego i ceglany dom  
stacja towarowa z żelaznym dźwigarem  
nie zmiłuje się nad nocą i krowami

krowy na zabicie są.

Do tych samych spraw, dzieł ludzkich i zwierzęcych, powrócił poeta w „Felietonie o koniu”. Uważnemu czytelnikowi wierszy Czechowicza dobrze wiadomo, jaką rolę gra w nich koń. Zwykle bywa on znakiem wywołującym obrazy zagłady, symbolem zbliżającej się katastrofy. W tym ujęciu koń bliski jest bestii apokaliptycznej. Ale niekiedy koń budzi także współczucie poety. W felietonie o koniu wyraził to słowami: konie są bardzo ludzkie. Znamienna jest tu inwokacja końcowa:

„Konie, piękne konie wszech czasów, tabuny ze snu, widma mechaniczne, konie srebrne, oznaczające śmierć, może usłyszę któregoś dnia nutę z samego dna, nutę człowieczą, co dźwięczy mocno i ostro, a niebo całe dźwięka jak sosną...”

Słowa końcowe są parafrazą ostatniej strofy wiersza „Jesienią”, który otwierał tom „nuta człowiecza”.

Te zbieżności, powyżej ujawnione, nie należą do wyjątków. „Jama” oraz inne utwory prozajczne oraz dramatyczne Czechowicza zawierają całe mnóstwo takich pokrewieństw, powtórzeń, nawrotów wyobraźni. Można zauważyć, że zawsze najpierw te obrazy zostały zawarte w słowie poetyckim. Nie był to widocznie kształt ostateczny, który sprawę zamykał. Problemy najistotniejsze dla poety domagały się nowych wcieleń. W wierszach niektóre z nich musiały być potraktowane jedynie w sposób aluzyjny, proza i dramat stawały się wprost, bez żadnych osłonek, niemal nazywając rzeczy po imieniu. Konfrontacja liryki Czechowicza z resztą twórczości pozwala śledzić obroty jego wyobraźni, widzieć jej różne przebiegi. Wraca ona niekiedy do tych samych punktów. Ale to nie jest zwyczajne powtórzenie. Obraz uzyskuje więcej pełni i nowe punkty odniesienia.

W ostatnich latach życia Czechowicz odczuwał całą niewystarczalność wypowiedzi lirycznej. Chciał się zmierzyć ze swoimi problemami gdzie indziej, na innych planach. Śladem Norwida idąc, chciał poeta w każdym wypadku dać odpowiednie rzeczy słowo.

## MOJE SPOTKANIA Z „KAMENĄ”

TADEUSZ BARTOSZ

Jakom żyw, nie widziałem i rynku i ulic tak pustych!  
Miasto jak wymięcone! jak gdyby wymarłe!

[...Zaledwo, zda się, kilkudziesięciu mieszkańców naszych zostało...]

Oto już stało się. Mam jeszcze świeżo w pamięci: obrazy ostatnich dni. Poszarpane, nieporadne, niezrozumiałe. Słyszę jeszcze płaskie klaskanie pojedynczych wystrzałów po ulicach i zakamarkach domów pobliskich Mysłowic i Modrzejowa, Niwki i Jezora. Jeszcze turkot samochodów, kłapanie kopyt koni ciągnących działa, długi, nieustanny, wielonoctny, po ciemku — krok tysięcy ludzi — żołnierzy, cywilów, kobiet i dzieci. Śląsk cały zajęty. Hitlerowskie kołorty toczą się dalej — na wschód! po trupach ludzi, koni i dział, po wrakach samochodów. Pastelowo krwawy obraz pierwszych dni Września.

To już minęło. Wróciłem z innymi górnikami do naszych kopalń. Do naszych? Tak, choć byli już w nich hitlerowscy betriebsfuehrerzy, treuhendrzy. Tak, choć na murach i bramach naszych kopalń pojawiły się już ich bekanntmachungi, obwieszczenia nam twarde dla nas — „prawa”, „przepisy”, „ostrzeżenia”, „zakazy”.

Tak, do naszych kopalń, bo były one naszymi warsztatami pracy, miejscami, gdzie jedynie mogliśmy, dobywając z ziemi węgiel — jeść chleb i ziemniaki — żyć. Nigdzie na ziemi całej, tego chleba i ziemniaków dla nas nie było...

Trudno — bo opowiedzieć słowami tę nędzę

[dotkliwą. Jeszcze na łące z daleka ujrzelismy gęstą kurzawę I, jak okiem zasięgnąć, wędrowców tłum

[nieprzejrzaną.]

Lecz zaledwośmy weszli na drogę poza wzgórzami,  
W wielką wpadliśmy ciżbę powozów, jeźdźców  
[i pieszych  
Dużo nam biedy, niestety, przed wzrokiem  
[się przewinęło,  
Dużo dowodów, jak ciężko z oczęstą rozstać  
[się strzecha,  
Jak słodko ocalić w nieszczęściu kęs chleba i zycia,  
Smutno patrzeć, gdy wszystko, co w domu  
[zasobnym stanowi  
Lad gospodarczy, jeżeli użytem zostanie wolaćcie,  
Gdzieś po wozach i karach zmieszane leży  
[w rozrypek:  
Ponad szafą spoczywa rzeszota i koldra wełniana,  
Paściel w jakimś korycie, a przecieradło na łustrze,  
Zwykle człowiek utracą przytomność  
[w niebezpieczeństwie,  
Ze pochwyca drobiazgi, a to, co kosztowne, zostawia,  
Tak i tutaj niejedneniebacznie, choć zabiegłowie,  
Lichym sprzętem na próżno obciążał i konie i woły  
Stare deski wywożąc i beczki, dzięciorki i kopy  
I kobiety, i dzieci stękały pod ciężkim brzemieniem  
Kosów i worów ładownych rupieciami bez ładne  
[wartości  
Bo niechętnie się człowiek rozstaje i z lichą  
[drobnostką,  
Śród tumanów kurzawy przesuwiał się pochód  
[wojowników,  
Bez porządku i ladu. Jednemu, co konie miał, gorzej,  
Wolniej jechać się chciało, drugiemu spieszyć co żywo,  
Więc się krzyki rozległy duszonych niewiast i dzieci,  
Głosy bydlat wszelakich, zmieszane z psów  
[ujadaniem  
I znów jęki bolesne staruszków i chorych, co w górze  
Na chwiejących się wozach siedzieli w poduszczkach  
[i koldrach,  
Wtem się koło zlamalo i jeden z wozów tych runął,  
Wyrzucając daleko na pole z wielkim zamachem  
tych, co byli na wieżchu, za nimi skrzynie i paki,  
Leżał wóz polamany i ludziom zabrakło pomocy,  
Bo ich inni mijali pospiesznie, sobą zajęci,  
Więc pobiegłszy do nich, a byli tam starcy i chorzy,  
Co już w domu zaledwo znosili wiek i cierpienie,  
A tu w pyłu tumanach na skwaronym słońcu leżeli...  
Czytałem te gorzkie słowa poematu „Herman i Dorota”, stworzonego, o ironio, bolesny paradoksie,  
przez Niemca z Weimaru — Jana Wolfganga Goethego,  
i myślałem, że przecież ta nasza, wrzesniowa  
ucieczka, to nasze kilkudniowe exodus z naszych domów  
w nieznane, jakże bardzo jest podobne do tego,  
opisanego przez wielkiego weimarczyka.

Wróciłszy do swoich górniczych sadyb ogupiali,  
oszołomieni tym, co zaszło. Wierzyliśmy w Polskę,  
w wodzów, którzy na kolorowych plakatach podnosili  
dumne, przystrojone, złotem szamerowane rogatki,  
ku lecącym w górze eskadrom bojowych samolotów.  
Nie ma już Polski. Na rogach ulic — zielone wrogie  
mundury, na wieżach szybów czarne swastyki!  
Któregoś dnia, jeszcze było wolno, pogodziłem do pobliskich  
Mysłowic. Przed wrzesniem miałem tam wielu kolegów,  
przyjaciół. Zobaczyłem jednego z nich. Serce skoczyło w pierś.  
Antek! Ale Antek odwrócił się obojętnie, wrogo. Antek był w...  
mundurze NSDAP! Antek był Niemcem!

W górniczym Zagłębiu, w Niwce, Sosnowcu, życie potoczyło się — od szczyty do szczyty. Niemcy  
rychło ustalili dwunastogodzinny dzień pracy. Zjeżdżałem  
do domu, gdzie na kilka-kilka godzin krzyżowałem się w łóżku,  
by rozklekotanym gnatom dać jak najwięcej wypoczynku.  
To, co się stało, wyrzuciło wszystkich z dotychczasowego  
nurtu ułożonych, codziennych spraw życia, pracy, nauki.  
Wielu z nas chodziło przed tym do gimnazjum; mieliśmy  
każdy własne jakieś dążenia, plany, o czymś marzyło się.  
Teraz, owszem, spotykaliśmy się — w szybowej klatce,  
w drodze do kopalni, w przodku, czy kolejce po chude  
kartkowe porcje czarnego chleba. Ach, jak ten chleb  
wówczas nam smakował!

(Dokończenie na str. 10—11)

WACŁAW MROZOWSKI

## Do Marii

Jestem jak ptak powrotny. Pamiętasz jaskółki na bantach strychu? Ja do dziś wspominam. Mówiłaś kiedyś, dziecku, że z nim do spółki zwiędzamy ciepłe kraje. I wracamy wiosną.

W letargu przeminęło dzieciństwo i młodość i w uśpionej pamięci żaden znak nie został z tych płynnych lat i czasu płynnego jak woda. — ebudził mnie żar ognia i zagroził drogę zmuszając do powrotu. Ty mi rękę podaj. Staruszek moja, dzisiaj tak jak dawniej młoda i ulżyj męce, która ciąży od kołyski.

Więc powracam, choć z włosną pozostały grazy tak jak z naszego domu rozbitego czasem, — rozdarty jak piorunem drzewo w czasie burzy. powalony romantyk na nieludzkiej ziemi.

Zylem nie tak jak chciałem. Surowy jest klimat, z którego wracam. Ale i tu nie inaczej, wiosna nigdy nie wróci — będzie wieczna zima, tu i tam tragizm życia jednak sobaczy.

Ale przyjmij jak syna, powrotnego ptaka z polamanymi skrzydłami. Zapomnij o żalu. W domu rozbitym czasem, spokoju i ciszy pragnę. I oczu twoich słych w tym bolesnym kraju.

NIE lubię imienia męskiego Anioł. Jakoś to za bardzo pachnie zakrytą i przypomina kantyczki, przecież w Betlejem... Zresztą anioł w poezji, a nawet w mowie potocznej, ogromnie się zdeprecjonował. Apostrofa: mój aniele, i wszystkie związane z tą istotą niezmiernie metafory i porównania — uchodzą słusznie za ekstrakt banału. Wprawdzie ostatnio Gałczyński przy pomocy profesora Bączynskiego usiłował przywrócić utracony nimb, przynajmniej poetycki, aniołom, ale chyba bez większego powodzenia.

A jednak mam zestawienie w tej materii zaskakujące. Najpiękniejsza posesja w Kazimierzu i to tym pięknem czysto ziemskim, namacalnym, zmysłowym, nazywa się „Anioł”.

Jakoby protoplasta obecnych właścicieli, skoro nabył to cudo, olśniony i zachwycony, szukał odpowiedniej nazwy i w rezultacie ochrzcił tym mianem. Podobno stało się to gwoli uczczeniu bardzo przezeń ulubionego krewniaka, który miał na imię właśnie Anioł. Tak mi tłumaczyli genezę tej nazwy ludzie kompetentni. Ale dla mnie ta sprawa nie jest całkiem jasna. Wyczuwam jakieś inne, głębsze podłoże, zacierpięte z podkładów podświadomości. Bo trzeba przecież było przewyciężyć zakorzenione nawyki, aby uzyskać to skojarzenie. Dać rzeczy właściwe imię — to już poezja. I stwarza skutki nieodwracalne.

Gdy po raz pierwszy, schodząc bocznymi ścieżkami od baszty, zbłądziłem pod „Anioła”, stanąłem przed drewnianą bramą, gdzie zwracała uwagę przybita tabliczka z wykalgrofanowym napisem: zły pies. Spojrzałem w głąb. W cieniu rozłożystych dębów, na murawie, pasła się łaciata krowa — dookoła żywego ducha. W nagrzanym czerwcowym powietrzu cichy brzęk pszczoł i drobnych muszek. Poza tym cisza. Oczywiście ze wszystkich stron prześwitywała błękitna wstęga rzeki. Po pewnym czasie na tle tego krajobrazu ukazała się smukła postać kobiety czarnowłosej, która się przesuwiała w kierunku studni. Przystanąła i zaczęła ciągnąć wodę wciąż patrząc w głąb i w ślad za spuszczonego wiadrem. A studnie w Kazimierzu są tajemnicze, przepaściście. Nigdy nie wiadomo, co się na dnie zobaczy. Wszystko to razem wyglądało jak tło do obrazu Jacka Malczewskiego.

Takie było pierwsze zetknięcie się z „Aniołem” i już wtedy doznałem absolutnego olśnienia. A przecież na urok Kazimierza byłem już znacznie uodporniony i nie byle co mogło mi zaimponować.

Na czym więc polega zniechęcające piękno tego uroczyska? Oczywiście na wyjątkowym położeniu w stosunku do całego miasteczka i do Wisły, ale i na jakimś osobliwym zaniedbaniu i pozornym opuszczeniu, które nadaje mu charakter dziki i tajemniczy, i że tak leży na uboczu, że trzeba dopiero trafić, szukając drogi i ścieżki. Wewnątrz aleje porosły trawą, po której trzeba kroczyć idąc do domu. Między drzewami szaleństwo zieleni. Zarośla, chaszczki, kwiaty sięgają do ramion, kuszą swoją głębią. Przypomina się wtedy wiersz Leśmiana o topielcu zieleni. No i drzewa nie byle jakie. Dęby królewskie, zdrowe — górą szumiące jak organy. Są też graby i tak już rzadkie u nas wiązki.

Ale nade wszystko zdumiewające jest powiązanie na pół dziewiczej przyrody z rzeką. Wisła jest tu wszędzie widoczna. Prawie wpiętna na ścieżki ogrodu. Pod nogami naszymi, gdy stoimy na tarasie willi — Wisła, w oknach domu, w okienkach i prześwitach między drzewami — Wisła, poprzez zieleni gałęzi i poprzez kwiaty — Wisła i na dalekim horyzoncie zlewa się z niebem — Wisła. Gdyby istniało bóstwo opiekuńcze rzeki, lub jakaś królowa rusalek wiślanych — na pewno by zamieszkała w Kazimierzu w posesji „Anioł”.

Sam dom mieszkalny nie jest zbyt okazały. W połowie drewniany, w połowie murowany, przy czym ta drewniana połowa jest grubo starsza. Nie odznacza się ani urodą ani wygodą. Ale taki jak jest właśnie tu pasuje, każdy inny by raził. Tutaj ludzka siedziba jest bez przerwy i zewsząd atakowana przez siły przyrody. Zimą i jesienią porywiste wiatry wstrząsają ścianami domu, a już od wczesnej wiosny morze zbalwanionej zieleni atakuje go gwałtownie i zdobywczo. Dzięki chmiel, wino i powoje pną się na ściany, trawy i chwasty wdzierają się między progi i odrzwia. Wierzchołki krzaków i konary drzew zaglądają do okien i grożą wtargnięciem do wewnątrz. A ludzie bronią się dyskretnie i poddają się stopniowo despotycznej przemocy przyrody. „Anioł” stanowi własność rodziny Kunickich. Liczni członkowie rodu,

# Anioł w Kazimierzu

KONRAD BIELSKI

przeważnie intelektualści z dużym zrozumieniem sztuki, rozproszeni są po świecie. Latem ściągają ten i ów w rodzinne pielesze, by zaopiekować się samotnym domem, obronić go przed atakami przyrody, wycisnąć nieco grosza od letników-lokatorów, zebrać owoce, no i wypocząć w cieniu dębów.

Powiadają, że dom ten ma nie najgorsze tradycje i gościł już wielu nieprzeciętnych ludzi. Mieszkał tu Stanisław Przybyszewski. Dość długo w okresie pokrakowskim. Czy pisał i co pisał nie można ustalić. Trudno sobie nawet wyobrazić tego włóczęgę i cygana, który pół życia stracił w knajpach i szantaniach wielkich miast, wśród ciszy i powagi tego odludnego zakątka. Przecież w tamtych czasach przed pierwszą wojną, nawet dojeżdżenie do „Anioła” przypominało wyprawę w głąb dżungli. Nie było szosy, nie było trotuarów, ani schodów. Trzeba było dosłownie przedzierać się wąską ścieżką przez chaszczki i zarośla. Co robił i o czym myślał tam nieszczęsny mag, uwikłany w przeróżne ponure sprawy w życiu, które sobie tak tragicznie skomplikował? Czego szukał, skoro „Anioł” ani z nazwy, ani z wyglądu i nastroju nie przypominał niczym Synagogi Szatana?

Przebywał również w „Aniele” przez pewien czas Gustaw Daniłowski, niesłusznie zapomniany pisarz, autor kilku ciekawych książek. Tworzył on pod przemożnym wpływem Zeromskiego i ostatecznie zginął w jego cieniu. Taki bywa los satelitów.

A i sam Zeromski pozostawił tu swój ślad, gdyż lokatorką tego domu przez dłuższy czas była Oktawia Rodkiewiczowa, jeszcze przed okresem naleźcowskim i bliższej znajomości z wielkim pisarzem. Przyszła żona autora „Popiołów” nie pozostawiła po sobie dodatniego wrażenia. Plotki, które pokutują w tym domu z racji jej pobytu, przedstawiają nam postać daleką od sielankowego ideału, jaki figuruje ostatnio w książkach na ten temat. Była podobno bardzo nerwowa, nierówna, o zacięciu histerycznym. Hodowała u siebie w pokoju przeróżne gady — kijanki i trytony, ku obrzydzeniu i utrapieniu gospodarzy. Może właśnie te jej inklinacje do brzydkich i nieapetycznych stworzeń wyrobiły jej nieprzychylną opinię wśród otoczenia. Zresztą, jak tam

było naprawdę, trudno ustalić, pozostały tylko ustne tradycje.

Jak na te wszystkie tradycje i położenie w sercu Kazimierza przystało, właściciele „Anioła” znajdują się pod urokiem muz. A więc uprawiają sztukę piękne. Większość z nich maluje — malarstwo to nie wykracza poza ramy prac amatorskich, ot, takie kulturalne pacykowanie i nikomu z nich laurów specjalnych nie przyniosło. Oprócz jednej osoby. Tak, ale historia Ireny Kunickiej i jej przegród artystyczna jest tak osobliwa, że warta jest nie tylko uwamiętnienia, ale nawet specjalnych studiów.

Irena Kunicka upodobała sobie posesję rodzinną w Kazimierzu i pozostała jej wierna nawet w najcięższych chwilach życia. Gdy z nastaniem chłódów jesiennych i zbliżaniem się zimy z „Anioła” wyfruwali wszyscy na wyraj, byle uniknąć trudów i niewygód — Irena pozostawała cały rok, jak to się mówi, niezależnie od pogody.

Czas bezpośrednio po wojnie były niełatwe, ciężko było samemu wyżyć się, a jeszcze trudniej utrzymać i konserwować zaniedbany dom i całą posesję. Obronić ją nie tylko przed wichrami jesiennymi, które tu hulały ze specjalną zjadliwością, ale i przed ludźmi oraz beznymi, a okrutnymi zarządzeniami ówczesnej biurokracji.

Walczyła, pracowała i sobie jakoś ze wszystkim dawała radę. Aby się uniezależnić od kaprysów rynkowych dostawców — kupiła krowę.

Tę to właśnie krowę widziałem, gdy po raz pierwszy poszedłem pod opłotki „Anioła”.

Wszyscy w Kazimierzu znali jej charakterystyczną sylwetkę. Smukła pani o czarnych włosach i zielonych oczach. I tak trwała na swym posterunku długo i uparcie. Rodzina ją odwiedzała i zapewne też pomagała, ale wiosną, latem. Gdy zaś pospadały z drzew liście i wiatry o sile huraganu mocowały się z drzewami i wstrząsały ścianami domu, w pustych pokojach pozostawała tylko jedna kobieta. No i ta krowa żywicielka w obórze i ten zły pies.

Aż nagle... Irena Kunicka nigdy nie rzeźbiła, jeśli brała do ręki ołówek lub pędzel, to bez przekonania i powodzenia. Ot, tak — wszyscy w rodzinie

## PAMIĘCI PAWŁA CAZINA

POLSKI PEN-Club uczcił pamięć Paul Cazina, pisarza i tłumacza dzieł literatury polskiej na język francuski. Prezes Penclubu, Jan Parandowski podzielił się ze słuchaczami wspomnieniami sięgającymi młodych lat Cazina i wielkiej przyjaźni, jaka łączyła tych dwu wybitnych ludzi. Włodzisław Natanson wygłosił prelekcję pt. „Paul Cazin jako pisarz i tłumacz”, a aktor Mieczysław Voigt odczytał piękne fragmenty z książki Cazina „Humanista na wojnie”.

Paul Cazin, znakomicie władający językiem polskim, znakomity w naszym kraju i w naszej literaturze, zetknął się z Polską po raz pierwszy jako mały chłopiec. Było to zresztą tylko spojrzenie na mapę Europy i na dziewiczą nazwę stolicy: Varsovie. Sam mówił później, że było w tych trzech sylabach coś urzekającego, coś, co zostawia na wargach jakiś słodki smak. Przyjechał do Polski pierwszy raz w r. 1901 i spędził kilka miesięcy w poznańskim, w Rogalinie w majątku Raczyńskich. Tam zaczął się uczyć polskiego języka. Nie przestraszył go trudność słów, na dźwięk których każdy Francuz ucieka w popłochu, jak np. „przeziębienie”. Poznał język tak gruntownie, że rozmiłowany w staropolszczyznę, przełożył na francuski pamiętniki Paska. Boy wyszukujący pereł literackich do swych tłumaczy, czytając przekład Cazina, raz po raz łapał się na chęci... przełożenia go na język polski!

Paul Cazin władał zresztą wieloma językami. Charakterystyczne są jego listy do przyjaciół (wystawione wraz z książkami i innymi pamiątkami w specjalnej gablotce) zaczynające się po polsku, przechodzące potem w grekę czy łacinę. Był to wybitny humanista, miłośnik kultury hellenistycznej, który, powołany na front podczas pierwszej wojny światowej, zabrał do piekara „Hładę” i inne arcydzieła epoki. Tytuł jego książki „Humanista na wojnie” ma zresztą wiele znaczeń, a przejmujące

karty z frontu świadczą o najgłębszym potępieniu wojny, o wielkim huncie człowieka przeciw bezwzględnej przemocy. „Przeklęty niech będzie ten, co nie przeklina wojny!” woła Paul Cazin. Wszyscy, w których uderzył huragan wojny jeszcze straszliwej od tej przez niego opisywanej, mogą z mocą powtórzyć te słowa.

Cazin wielokrotnie odwiedzał Polskę, zachwycał się Krakowem, a także małymi miastami Podkarpacia, jak Biecz, Krosno, Jasto. Przypominał mu one ciszę jego rodzinnej Burgundii i miasteczko Autun, w którym spędził większą część swego życia. Był człowiekiem małych miast, Paryż wielkie stolicę męczyły go. Jakkolwiek lubił podróżować, czego zresztą odbiciem jest jego książka „Paul qui roule”, najszerzej był w ciszy małego miasteczka, wśród spokojnych, dobrych ludzi. Instynktownie uciekał od wielkomięskiego ruchu, którego padł ofiarą; zmarł na skutek potrącenia przez samochód. Choć miał już ponad osiemdziesiąt lat, jednak był jak młody Jan Parandowski — pełen niesłyszanej wprost żywotności i mógłby jeszcze długo żyć gdyby nie ten wypadek.

Przez długie swe życie Paul Cazin utrzymywał kontakt z wybitnymi przedstawicielami naszej literatury, jak Reymont, Zapolska, Weyssenhof, tłumacząc ich utwory. Zgromadzonego część tych tłumaczeń w gablotce pod fotografią Cazina. Jest tam przede wszystkim „Pan Tadeusz”, „Przygodki Podillipskiego”, „Zegar słoneczny”. Kilka fotografii, portrety, dawne listy i kilka nowych z r. 1962. „Byliśmy wtedy skandalicznie młodzi” — pisze w jednym, wspominając odległe lata. „Wkroczyłem w dzwiny krzyżyk” — czytamy w innym. Pismo ma równe, poehyle, nie robi żadnych błędów w polskiej pisowni.

Mimo woli ogarnia wzruszenie nad tą miłością do Polski, nad umiłowaniem naszej kultury i języka, godne prawdziwego podziwu. Nowela o trzech panach Nowakach, szkice biograficzne, skondensowany wstęp do francuskiego przewodnika po Polsce — to tylko część tych ustawicznych dowodów ciągłego współzycia z naszym krajem, który uważał za swą drugą ojczyznę.

Licznie zebrani w sali Penclubu w Pałacu Kultury przedstawiciele świata literatury wysłuchali w skupieniu wspomnień o tym wielkim naszym przyjacielu, godnym długiej i wdzięcznej pamięci.

Józefa Radzyńska

po trochu tym się bawili, to i rósł. Nie przeprowadziła w tym kierunku żadnych studiów. Była już kobietą dojrzałą i żyjąc w samym sercu Mekki malarzy pozostała plastyce zasadniczo obojętna.

Razu pewnego, jak twierdził powszechna fama, zwróciła uwagę na ptaszka, który codziennie o tej samej porze przylatywał pod jej okno, siadał stale na tym samym kamieniu, ostrzył dzióbek i zawzięcie kul. Któregoś dnia wzięła do ręki ten kamień i poczuła — jak to już sama opowiada — nieodparty mus, by w tym kamieniu zacząć rzeźbić.

Od tego dnia zaczęła się ta dziwna przystawa. Jakby nawiedzona duchem Apollina, rzuciła wszystko, co nie jest jej sztuką. Nabywa potrzebne sprzęty, urządza niezbędne akcesoria, sprząda bryły kamienia. Dom jej zamienia się w pracownię rzeźbiarską. Sama w kitlu roboczym, zaabsorbowana, zapracowana, lecz już inaczej niż poprzednio. Na „Aniele” rozlegają się dniem i nocą — nie stukania dzieciola i kowalików, jak dotąd, lecz młotki i dłuta rzeźbiarskiego. Powstają w niebywale szybkim tempie coraz to nowe rzeźby różnorodnych rozmiarów. Jakby zadośćuczynienie za te lata przeszłe, jałowe, bez sztuki. Wieść o cudzie rośnie, na „Anioł” podążają ciekawi, wierzący i niewierzący.

Ja sam przez czas dłuższy należałem do tej drugiej kategorii. Zawsze nie dowierzałem tym wszystkim nawiedzeniom i objawieniom. Myślałem: ot, kobieta w samotności zbliżowała i wyprawia takie histeryczne hece. Lecz, gdy moja żona — która ma doskonałe wyczucie, obejrzała te prace i wróciła zachwycona — poszedłem i ja i zmieniłem zdanie.

Zresztą niebawem zjechała specjalna komisja fachowców z Zarządu Głównego Związku Plastyków, oceniła wszystkie prace nader pozytywnie i przyjął Kunicką do Związku jako członka rzeczywistego. No i odtąd zaczęło się całe pasmo powodzeń, uwiecznionych wyjazdem za granicę i tam zdobywaniem dalszych laurów.

No i pomyśleć — czy ta historia, absolutnie prawdziwa, nie posiada wszystkich cech cudu, powołania, nawiedzenia. Ja wierzę, że tu w Kazimierzu jest wszystko możliwe i że przez tyle lat gromadzone fluidy najczystszej sztuki mogą czasem się zmateriałizować, wcielić w konkretną osobę.

Kunicka od szeregu lat mieszka poza krajem. Rodzina pełni funkcję kustosa osieroconej pracowni. Właśnie tam zaszedłem, korzystając z pobytu w Kazimierzu i uprzejmego zaproszenia.

Zawsze na mnie duże wrażenie robi pracownia rzeźbiarska. Jest w niej coś niezwykłego i niesamowitego. Te torsy z kamienia i gipsu, te poszczególnie członki ciała ludzkiego porzucane po kątach i na podłodze. Nieukończony postacie. Akt tworzenia przerwany w połowie. Maski twarzy o pustych oczodolach — jakby w chwilę po przejściu bachantek i rozerwanu Orfeusza, Disiecta membra poetae.

A gdy jeszcze ta pracownia przez artystę jest opuszczona od lat. Gdy odszedł duch, który ożywił te wszystkie stwory. Gotów jestem zareczyć, że tam nocami musi straszyć.

Ale teraz jest dzień — słoneczny dzień jesienny. Przez szerokie okna wchodzi do środka słońce, no i oczywiście Wisła. W tym świetle oglądam poszczególne posągi i figury. Na honorowym miejscu leży tu rzeźba, od której się wszystko zaczęło. Słucham już po raz nie wiem który objaśnień i komentarzy. Zresztą olbrzymia większość prac jest rozpoczęta i nieskończona. Widać, że ich twórca odszedł nagle. W pół drogi.

Wychodzimy znów na przestrzeń i słońce, które się chyli ku zachodowi. Skośne promienie oświetlają złote liście klonów i czerwone już festony dzikiego wina. Drzewa i krzewy wyglądają jak posągi z brązu. Powietrze jest czyste i chłodne.

Patrząc na rzekę i daleką mgłą już przypłyśniony brzeg przeciwny, na tak dobrze znajomy krajobraz niby ten sam, a zawsze inny, i myślę o wielu rzeczach i o tym „Aniele” w Kazimierzu. I przewożąc sobie, że największy rzeźbiarz świata miał właśnie na imię Anioł, wprawdzie na drугle, ale go stale używał. I że aniołowie w legendach i apokryfach byli zazwyczaj pośrednikami we wszelkich objawieniach i powołaniach.

I myślę, że ten protoplasta rodu Kunickich, który to uroczyście „Aniołem” nazwał, dobrze uczynił.

\* Fragment przygotowany do druku książką pt. „Pożegnanie z Kazimierzem”.



CECYLIA BŁONSKA



Z TWÓRCZOŚCI RZESZOWSKICH PLASTYKÓW: MARIAN ZIEMSKI — MADONNA Z GETTA (oklej)

BEZ przesady stwierdzić można, że zajęcia, wykłady, kontakty nie są czymś mniej ważnym i z obowiązków tylko „odfajkowanym” przez zainteresowanych — na co dzień poważnych pracowników Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, pracowników rad powiatowych, sekretarzy z tzw. gromadzkiego szczebla. Przy dość wyczerpującej pracy zawodowej, absorbujących zajęciach społecznych, słuchacze z Zawodowego Studium Administracyjnego prowadzonego od lat pięciu w Rzeszowie przez Katedrę Prawa Administracyjnego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, solidnie traktują możliwość zdobycia tą drogą wyższych studiów zawodowych. Spotkania zaś z wykładami, objęte programem zajęć, jak i te świadczące o wspólnie rozwijającym życiu towarzyskim, poświęcone swobodniejszej wymianie myśli i doświadczeń, są na ogół traktowane jako swego rodzaju wydarzenie.

Może wpływa na to niezwykle staranny dobór prelegentów, którzy regularnie przybywają do Rzeszowa, by na miejscu prowadzić ze słuchaczami wykłady i zajęcia. Bywa tu często dziekan Wydziału Prawa prof. dr Józef Mazurkiewicz i prodziekan tego wydziału docent dr Henryk Reniger, specjalista od zagadnień cywilnego prawa gospodarczego prof. dr Stefan Buczkowski, od zagadnień prawa pracy — prof. dr Eugeniusz Modliński. Są wśród wykładowców młodzi naukowcy, wychowankowie UMCS, jak doc. dr Jan Maraszczyk, doc. dr Wiesław Szydło, prowadzący ze słuchaczami rzeszowskiego Zawodowego Studium Administracyjnego wykłady z teorii państwa i prawa i in.

Całością terenowego studium kieruje profesor dr Kazimierz Sand, który, nie ograniczając sprawy do formalnego kierownictwa, częstokroć występuje z rozmaitymi inicjatywami, świadczącymi o głębokiej znajomości zagadnień terenu. Do częstych gości należy rektor UMCS profesor dr Grzegorz Leopold Seidler.

Kontakty lubelskiego Uniwersytetu nie zacieśniają się do grona studiujących. Na odbywających się, przy udziale Egzekutywy KW PZPR, członków Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, spotkaniach z profesorami lubelskiej wyższej uczelni, omawia się potrzeby i perspektywy studiów.

W czerwcu bieżącego roku na spotkaniu z udziałem rektora prof. dr Seidlera, gospodarzy Rzeszowszczyzny z I sekretarzem KW PZPR tow. Władysławem Kruczkim, skonkretyzowano formy dalszych studiów dla absol-

wentów Zawodowego Studium Administracyjnego.

Zwazywszy, że w ciągu dwu lat studium ukończyło 80 absolwentów, obecnie zaś korzysta zeń 180 pracowników rad narodowych, nie jest to zagadnienie białe. Tą drogą szkoli się wysoko kwalifikowana kadra dla potrzeb administracji państwowej i gospodarczej; kierownicy wydziałów Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, pracownicy prezydiów powiatowych rad narodowych, wśród których najliczniej reprezentowany jest powiat rzeszowski i przemyski. Dostęp na studia mają pracownicy z 3-letnim stażem w administracji państwowej.

W wyniku wspólnych rozmów i narad utworzono kolejno w Rzeszowie Studium Eksternistyczne Wydziału Prawa UMCS. Bez przerywania zawodowej pracy absolwenci ZSA (Zawodowe Studium Administracyjne) zdobywać mogą stopnie magisterskie. Już pod koniec roku przyszłego eksternistyczny Wydział Prawa, któremu wiele inicjatywy i serca poświęca profesor dr Czesław Gofron kierownik studiów eksternistycznych UMCS, opuszcza pierwsi magistrów.

W jakim stopniu tematyka Wazszych prac dyplomowych a następnie i magisterskich związana jest z prawnoadministracyjnymi zagadnieniami regionu? — pytam członka samorządu studenckiego i starostę III roku ZSA ob. Jakuba Ciastonia.

Katedra Prawa Państwowego i Administracyjnego UMCS, pod kierunkiem Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, prowadzi szczegółowe badania nad działalnością komisji rad narodowych, jako jednej z podstawowych form ludowladztwa. Temu też niezmiernie ważnemu dla prawidłowej działalności rad narodowych zagadnieniu w dużej mierze poświęcone są prace dyplomowe. Jest na warsztacie praca na temat działalności komisji gromadzkiej rady narodowej w bieszczadzkiej wsi Hoczew na terenie powiatu Lesko, o formach działalności komisji GRN w wielkiej wsi Medyka w powiecie przemyskim, gdzie, obok licznie zamieszkałych chłopów, GRN styka się w swej codziennej praktyce z liczną zalogą tamtejszego węzła PKP. Są na ukończeniu prace na temat doświadczeń komisji PRN Przeworsk, traktujące o doświadczeniach komisji Wojewódzkiej Rady Narodowej i in. Wkrótce ukaże się z druku praca Józefa Krajnika „Kierowniczka rola partii w MRN Rzeszów”, będzie opublikowana wyróżniona rozprawa Kazimierza Wójtowicza „O działalności kolegiów karno-administracyjnych”.

Jaka pomoc dla studiujących stanowią sesje naukowe, których uczestnikami byliśmy w Rzeszowie w roku 1961, a następnie z końcem roku ubiegłego?

Sesje naukowe organizowane przez uniwersytet lubelski dla słuchaczy z Rzeszowszczyzny w dużej mierze uzupełniają naszą wiedzę, dają wiele cennego materiału licznemu aktywnemu gospodarstwu, który też w nich bierze udział. „Prawne zagadnienie sportu”, które stanowiło jeden z tematów ostatniej sesji naukowej, było zdaniem znawców odkrywcze w swoim rodzaju, dające pierwszą bołą próbę syntezy prawnego „usytuowania” sportu. Kolejno debatowano nad prawnymi aspektami ochrony zabytków i ochrony przyrody, nad problemem, ciągłe żywotnym w naszym województwie, aktywizacji małych miast. Szkoda tylko, że materiały z tej sesji dotychczas nie zostały opublikowane.

Obok tak szeroko rozwiniętych studiów z dziedziny administracji, UMCS prowadzi placówki naukowe z innych dyscyplin. We wsi Równia koło Ustrzyk czynna jest placówka Instytutu Geografii, gdzie kontynuowane są dla Wydziału Nauki o Ziemi, badania fauny i flory Bieszczadów. Wiele mówi się, — sprawa pozostaje jeszcze w tej chwili w sferze zamierzeń — o zorganizowaniu przez UMCS studiów eksternistycznych w Rzeszowie z dziedziny matematyki, fizyki, historii, a także i geografii.

Inne badania, inny kierunek zainteresowań na „osi Lublin — Rzeszów” reprezentuje Katedra Etnografii i Etnologii UMCS w Lublinie.

O tej dotychczasowych osiągnięciach i zamierzeniach mówi kierownik katedry profesor dr Pomań Reinfus: Pożawszy od r. 1959. ekipy studentów etnografii UMCS prowadzi corocznie badania w Beskidzie Niskim. Badano

kamieniarstwo w powiecie gorlickim — w Bartnem, w Komańczy i okolicach, w latach 1961—63 ekipy skierowano do wsi, w których skupia się przemysł ludowy (wyrób przedmiotów drewnianych) i handel (jak np. we wsi Łosie znanej z handlu mazią i smarami). Prowadzone były i nadal są kontynuowane badania pasterstwa, rolnictwa i innych dziedzin kultury ludowej na tym terenie. (Niektóre prace prowadzone są przez katedrę wspólnie z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku).

Od kilku lat katedra kontynuuje badania kultury ludowej na Pogórzu Gorlickim realizowane pod egidą Komitetu Frontu Jedności Narodu w Gorlicach. Komitet ten powierzył również Katedrze zorganizowanie sekcji etnograficznej na sesję naukową, która odbędzie się w Gorlicach w maju roku przyszłego w ramach obchodów 20-lecia PRL.

Katedra czyni starania w tym kierunku — mówi dalej prof. dr Reinfus, — by studenci etnografii UMCS byli odpowiednio przygotowani do pracy w województwach wschodnich, gdzie w zagadnieniach etnografii na plan pierwszy wysuwa się problem wzajemnych wpływów, znamienych dla pogranicza polsko-ruskiego. Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku ufudowało dwa stypendia dla etnografów — studentów UMCS, a równocześnie skierowało na studia jednego ze swych młodych pracowników — wszystko oczywiście z myślą, iż zasilią oni kadre placówki.

Z wyników dotychczasowych badań katedry zaczynają się ukazywać pierwsze prace drukowane: praca starszego asystenta mgr Krystyny Marczałowej, traktująca o przemysle kamieniarskim w Bartnem, Romana Reinfusa — „Ludowa rzeźba lemowska w kamieniu”. Tematyce Rzeszowszczyzny poświęcone są opracowywane aktualnie dwie prace magisterskie i jedna doktorska.

W rozmowie z nami prof. dr Reinfus wypowiedział również wiele uwag raczej już praktycznych, na temat możliwości zasilenia placówek kulturalnych Rzeszowszczyzny absolwentami reprezentowanej katedry, wysuwając na czoło problem, wcale niełatwy, mieszkaniowy dla nowej kadry i, chyba słusznie, proponując w związku z tym bardziej przemyślaną akcję studenckich, kierowania „własnych” związków z miejscem macierzystym kan-

dydatów na studia uniwersyteckie, dających pewną rękojmię, że istotnie powrócą w rodzinne strony.

\*

Różnorodne kontakty, nasila się w związku ze zbliżającymi się obchodami 20-lecia PRL. Wszak obydwa nasze województwa, rzeszowskie i lubelskie łączą sprawą pierwszorzędną rangi. Pierwsze w kraju: zemia lubelska, następnie rzeszowska i białostocka — zostały wyzwolone w pamiętnym roku 1944. Stąd też propozycje, by pod kierunkiem Katedry Historii Nowożytności UMCS opracowane zostały szczegółowe monografie tych właśnie trzech pierwszych wyzwolonych województw i by odbyto wspólną na ten temat sesję naukową. Do udziału w pracach nad monografią rzeszowskie środowisko naukowe zaprasza rektor UMCS prof. Seidler.

Oto przedsięwzięcia, które z pewnością przyczynią się do dalszego pogłębienia wymiany naukowo-kulturalnej, jaka odbywa się na osi Lublin — Rzeszów. Poważny udział Lublina, wiekowego ośrodka uniwersyteckiego, i pomoc katedr UMCS dla Rzeszowa — znajdują pełne i rozległe udokumentowanie.

## MR PRESIDENT

(Dokończenie ze str. 6)

zdolnych wszelki polot, inicjatywę i zapał do pracy. Nawet Pentagon i wywiad potrafił Kennedy przy pomocy wybitnych i oddanych mu mózgow okiełznać w ich dążeniu do krzyżowania rozumnych planów politycznych. Kennedy bał się wpływu Kongresu cpanowanego przez lobbyistów reprezentujących różne egoistyczne „grupy nacisku”, ale nie bał się ograniczenia swej władzy przez wybitnych uczonych i fachowców: pozwalał im rządzić we własnej intencji i pod jego czujnym okiem.

Drugim czynnikiem ograniczającym faktycznie władzę prezydenta stała się opinia publiczna — opinia szarego obywatela.

O tym w następnym artykule.

Emanuel Iserzon

## WIELEMIR CHLEBNIKOW

### Irańska piosenka

Jak po rzeczce, po Iranie,  
Wzdłuż zielonych jego smug,  
Wzdłuż głębokich jego strug,  
W słodkiej pobliżu wody  
chodzi sobie dwóch cudaków,  
Strzela sobie do szczupaków,  
wycelują rybie w leń,  
Stój, płaszyno, i na brzeg!  
Chodzą sobie, pogadują,  
Frawda, pamięć mnie nie zwodził.  
Zupę warzą, pokosztują,  
„Ech, to życie, lez krynlca!”

Po niebie samolot chodzi,  
Zuch, obłoków pobrat miły,  
Gdzież to chusta-latawica,  
Samolotu wierna żona?

Przypadkowo się spóźniła,  
Czy też w lochy gdzie wtrącona?

Baśniom z góry wierzyć wołę:  
Dawne baśnie — faktem już.  
Lecz i na mn'e przyjdzie kolej,  
Z mięsa pozostanie kurz.  
K'iedy zaś sztandarów brzemień  
Dźwiznę tłum uszczęśliwiony,  
Obudzę się, wdeptam w ziemię,  
Drząc o czersep zakurzony,  
Czy też wszystkie swoje prawa  
W piec przyzwołości cisnę prosto?  
Hej, poczernej łąko, trawo!  
Stań kamienna, rzezko słostro!

Przełożył  
Józef Maśliński

# PROMIENI

To był walc poważny alejami liści  
i piszczałki złote i muzyczna rosa.  
I chwila za chwila, i chmur było przyście  
i księżyc był w chmurach, jak grzebień we włosach.

Tak płynęły gwiazdy i nieba i rzeki,  
kosz z płakami, z blaskiem rozkwitał dopiero.  
Nagle nuty ptasie i gwiazdne i błękit  
w Acheront.

Ściany twego domu, jak nokturn otwarty.  
Umarłeś. Echo kroków odpadło od ścian tych.  
Patrz, serafin śpi tutaj o świecę oparty.  
O Konstancy srebrny, szalony Konstancy.

Gdy mówieś, w twą rosnącą mowę  
wchodził wiatr, jak drogą szedł najszerzą.

Nawet księżyc i godziny południowe  
przystawały, by napatrzeć się twym wierszom.

Bo w twych wierszach słońca, nieba kawał,  
kosz z płakami, dźwięki, proste dźwięki.  
A gdy ktoś był smutny, to twój wiersz przystawał  
jak ktoś mądry obok i jak ktoś zyczyłwy.

Noc za oknem, a na szybie skaza,  
noc, jak cień rosnący na ciemnych obrazach.  
Jedna nuta ostra i nuta napięta.

Jedna tylko gwiazda świeci ponad chmurą,  
jak szczyt smyczka srebrny ponad partyturą,  
jak w twym wierszu nagle, muzyczna pointa.

I liście i listki,  
bas i światła wszystkie.

I dźwięki i tony  
i znów liść zielony.

Rzeczy, rzeczy, rzeczy,  
rozwgar spraw człowieczych

wiązanych co rano  
mową układaną.

Chwila, chwila każda  
i księżyc i gwiazda.

Płaki gadające  
i słońce i słońce.

I skurcz w sercu nagły —  
zostały, zostały.

A on zawsze wróci z daleka i znikąd,  
a przyplynie burzą, odpłynie muzyką,  
jeszcze wróci, jak w serce słoneczny bumerang,

w lekkość i w sen wejdziesz, za promieniem stanie  
księżycowym — nocą — i rozszepcze granie,  
wszystkie bzy i gwiazdy z kluczy pootwiera.

On, ten wiatr cygański, dźwięczność i natchnienie,  
światło co rozbliska i co gasną cienie,  
zieleń nagle z dna naglej zieleni.

On nieustępliwy, złoty i srebrzysty,  
ton idący ku nam z wielu strun najczystszych,  
deszcz ze słońce wiosennych. I z chmur. I z promieni.

## Przypominamy Kielcom

BOHDAN  
KRÓLIKOWSKI



Prof. Juliusz Nowak-Dłużewski

ZACZEŁO się od rozmowy. Poruszano temat prowincji, jej impasu, potrzeby i sposobów jej ożywienia. Odezwał się Profesor: „To bardzo proste, trzeba tylko zmienić nazwę. Zamiast „prowincja” powiedzieć „region”, postępowanie dostosować do zmiany nazwy, a wszystko będzie inaczej”.

Tu mała przerwa na „dane personalne”. Profesor — to Juliusz Nowak-Dłużewski, profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalność: historia literatury staropolskiej. Syn Ziemi Kieleckiej, urodzony 31.III. 1893 r. Gimnazjum w Kielcach. Studia w Krakowie (uczeń I. Chrzanowskiego). Doktoryzował się pracą o satyryce politycznej Sejmu Czteroletniego. Habilitował się monografią o Stanisławie Konarskim (nawiasem mówiąc, też kielczanin). W dwudziestoleciu międzywojennym praca nauczycielska w Warszawie. Okupacja w Kielcach (szczegóły niżej). Od 1947 r. znów w Warszawie. Znany badacz i wydawca tekstów literatury staropolskiej, autor szeregu książek, rozpraw i artykułów w wielu czasopiśmie (m. in. w „Kamieniu” esej o Dygasińskim — pisarzu regionalnym).

Praca Juliusza Nowaka-Dłużewskiego dla Kielecczyzny zaczęła się niedługo po I wojnie światowej. Rozpoczął ją ogłaszając w prasie kieleckiej i warszawskiej artykuły tematycznie związane z Kielecczyzną. Później był jednym z założycieli warszawskiego Koła Kielczan, członkiem redakcji i współpracownikiem „Pamiętnika Koła Kielczan” — poważnego periodyku regionalnego, wychodzącego w Warszawie w latach międzywojennych (ostatni tom wyszedł w roku 1938).

Lata wojny spędził Profesor w Kielcach, gdzie od roku 1943 należał do grona organizatorów i wykładowców kieleckiej filii tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich działającego w Warszawie (por. W. Kowalenko: „Tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich w latach 1939—1944”, Poznań 1946).

Była to (jak dotąd) jedyna w dziejach Kielc szkoła wyższa. Liczba słuchaczy dochodziła do 200 (ilość jak na tajne nauczanie olbrzymia), dzielonych na zespoły 5—14 osób. Wykładowców było od 24 do 36. Pierwszą sekcją była właśnie filologia polska, którą J. Nowak-Dłużewski nie tylko zorganizował, ale również w znacznej części podtrzymywał prowadząc wykłady z teorii literatury i je-

zyka starosłowiańskiego oraz proseminarium z literatury polskiej.

Po wyjściu Niemców Kursy Uniwersyteckie ujawniły się i kontynuowały działalność, trwały do czerwca 1945 r., zatwierdzone przez Ministerstwo Oświaty.

Lata 1945—1946 to okres, w którym Juliusz Nowak-Dłużewski zorganizował w Kielcach, dosłownie z niczego Bibliotekę Wojewódzką i Muzeum Świętokrzyskie. Zaczęło się od tego, że w styczniu 1945 r. doszły do Kielc niepokojące wieści o „rozprasaniu” („szaber”?) cennych zbiorów podworskich. Powstał wtedy Tymczasowy Komitet Organizacyjny Muzeum Regionalnego w Kielcach, do którego oprócz Profesora wchodził m. in. J. Czarnocki i B. Pniowski. Rychło Komitet uzyskał pełnomocnictwo wojewódzkiego Wydziału Kultury oraz mandat dla Nowaka-Dłużewskiego na prowadzenie i organizację akcji zabezpieczenia zbiorów dworskich.

Jeszcze w kwietniu 1945 Komitet uzyskał budynek, w którym zresztą do dziś mieszczą się Biblioteka i Muzeum. Dowodem zrozumienia i poparcia dla poczynań Komitetu i jego Prezesa był fakt, że Naczelna Dyrekcja Muzeów w r. 1946 zaproponowała Nowakowi-Dłużewskiemu poszerzenie zasięgu akcji o całe województwo lubelskie.

Zwieziono do Kielc ok. 40 tys. książek (nie licząc mebli, obrazów i innych dzieł sztuki) w tym kilka tysięcy starodruków. Ze źródeł, które dały zbiory największe i najcenniejsze, warto wymienić przede wszystkim bibliotekę, archiwum i galerię obrazów Wielopolskich z Chrobrza, bibliotekę Deskurów z Sancygniowa (ok. 6 tys. dzieł) pełną starych druków, specjalizujących się w historii i literaturze polskiej, zbiory Popielów z Kurozwęk i Dembińskich Gór (niestety tu tylko resztki). W grudniu 1945 r. dokonano podziału na Muzeum Świętokrzyskie i Bibliotekę Wojewódzką, którą J. Nowak-Dłużewski jako organizator i pierwszy dyrektor prowadził do lata 1947 r., do chwili swego wyjazdu do Warszawy.

Nie na tym koniec kieleckich prac Profesora. Trzeba jeszcze wspomnieć o trudach wydawniczych, których owocem były: „Pamiętnik Kielecki” i własne prace naukowe — J. Nowak-Dłużewski „Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu” (1947), „Poezja powstania Kościuszkowskiego” (zebrał i opracował J. Nowak-Dłużewski 1946), „Antologia współczesnej liryki świętokrzyskiej” (wybór: J. M. Gisges, wstęp: J. Nowak-Dłużewski 1946).

J. Nowak-Dłużewski przez cały czas swej działalności uniwersyteckiej dbał o rozbudzenie w uczniach „zdrowej i zanej żytki regionalnej”. Wyrażało się to m. in. w sugerowaniu prac o tematyce kieleckiej, do doktorskich włącznie.

Profesor szukał i innych dróg. W ubiegłym roku akademickim założył w Warszawie Koło Kielczan studentów UW, którego celem ma być głównie kształcenie przyszłych regionalistów, planowanie badań regionalnych, obsadzanie młodym narybkiem „terenu”.

Był to jeden z ostatnich akordów działalności Profesora na UW przed odejściem na emeryturę.

(Dokończenie ze str. 6)

stołu. — Pierwsze święta w wolnej Polsce. Na szczęście!

Miła, do dziś nieznamo pani z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego nie była zdziwiona, gdy na jej biurko padały niemożliwe do wstrzymania lzy. Czy wzruszenia? Radości? Szczęścia? Wspomnień? Nadziei? No i rzeczywiście święta razem z rodziną. Żyję bowiem nadzieją, że wszyscy są zdrowi. Przez pół roku wysłałem do kraju ponad 20 listów. Pocztą cywilną i wojskową, angielską i niemiecką, przez Paryż i Londyn, przez tych, którzy wracali wcześniej, i przez tych, którzy korzystając z powojennego zamieszania, krążyli po obu stronach granicy. Później okazało się, że większość dotarła do żony, ale wysłane w równej ilości odpowiedzi gdzieś utknęły: korespondencja z komunistycznej Polski, nawet ta najbardziej prywatna, nie mogła „zatruwać”. Któregoś dnia natomiast otrzymałem z Londynu list od szwagra, którego zresztą nigdy jeszcze nie widziałem na oczy, bo już pamiętny wrzesień rzucił go na drugi krancie świata. W tym pierwszym, zapomniałem liście nawymyślał mi, że nie wracam, tylko w ferworze zapomniał napisać, czy żyją również córka i matka — oraz gdzie szukać całej rodziny, od której jakimś cudem dostał list.

Oczekując na pociąg, który nie wiadomo kiedy wyjedzie, postanawiam jechać do Warszawy, gdzie ostatnio mieszkaliśmy. Zaledwie jakiś kolejarz zapowiedział, że odjedziemy dopiero za kilka godzin, gdy na peron wtoczył się pociąg. Szturmem zdobywamy puste zresztą wagony i dopiero w czasie jazdy orientujemy się, że w niektórych przedziałach brak szyb.

Jazda do Warszawy dłuży się niesamowicie. Nie tylko dlatego, że nam się spieszy. Jedziemy ponad 14 godzin. Z Pragi do śródmieścia kursuje znakomita na owe czasy komunikacja — wozy konne i chyba dwie zdezelowane ciężarówki. Mam na sobie mundur i dzięki temu nie nie płacę. Patrząc na miasto, które opuszczaliśmy w październiku poprzedniego roku, po największej tragedii w jego dziejach. Patrząc i oczom nie wierzę. Gruzów i wypalonych ścian jeszcze więcej, niż wtedy. Po upadku powstania niszczycielskie ekipy hitlerowców dobrze wypełniały swoje zadania. Gdy najkrótszą drogą wędruje na Mokotów, w niektórych miejscach tracę orientację, chociaż właśnie tutaj przeżyłem kiedyś kilka lat. Kiedyś... Jak to musiało być dawno... Nie, to nie było dawno. Przecież ludzie ci sami, chociaż ich mniej, życie niemal to samo, chociaż inne. Nawet cegły te same, tyle że kiedyś były domem, a teraz są gruzem. Jednak prawdą jest to, co mówił warszawskie radio, że stolica jest, że żyje, że odbudowuje się...

Dom, do którego tak spieszyłem, stał jakimś cudem prawie nienaruszony. Wchodząc na pierwsze piętro zmoczyłem serce tak, jakbym się drapał na wieżę Eiffla. Uspokój się, głupie serce — przecież wszystko jest w porządku. Dlaczego ręka tak słabo, nieregularnie stukła w drzwi? Przede mną jakiś nieznanymi mężczyzna. Nie, nie zna, nie słyszał, w całym domu wszyscy są nowi, dozorczy w ogóle nie ma. Jadę do naszego poprzedniego mieszkania w Aninie. Długo krążyć po lesie i nagle stwierdzam z przerażeniem, że po domku nie zostało nawet gruzów. Zużyto je do naprawy innych, tylko uszkodzonych domów. Funkcjonującą już kolejką elektryczną dojeżdżam do Milanówka. Znajomi są, ale o rodzinie nie wiedzą. Podobno ktoś z rodzi-

## GALAZKA ŚWIERKU

ny wyjechał do Wrocławia, ale nie mają żadnego adresu i nie wiedzą kto. Abym wypoczął, zatrzymuję mnie na noc. Przegadaliśmy ją do rana.

Wracam na Pragę po bagaż, zostawiony u współtowarzysza powrotu. Na jakiejś ulicy staje mi przed nosem autobus, który jedzie do Łodzi. Przepuszcza przechodniów i rusza dalej. Wskakuję w bieżący. W każdym bądź razie z Łodzi do Wrocławia bliżej niż z Warszawy. Konduktorka chce pieniądze za bilet, ale nie mam ani grosza. Płacę paczką papierosów amerykańskich, angielskim mydłem toaletowym i paczuszką holenderskiej herbaty. W ten sam sposób opłacam łóżko w jakimś łódzkim hoteliku. Zresztą początkowo nie chcieli mnie tam wcale przyjąć. Pomogła dopiero telefoniczna interwencja jakiegoś podpułkownika z komendy miasta, do którego zaprowadził mnie pewien cywil z opaską na ramieniu.

W hotelu dowiaduję się, że o świecie z pobliskiego placu odjeżdża — albo nie, jeżeli nawali — autobus do Inowrocławia. To przecież rodzinne miasto żony. Może tam jest? A ponadto znów bliżej Wrocławia. Wykorzystując wciąż noszony mundur robię marsową minę i przepycham się przez tłum przyszych pasażerów. Konduktorka pomaga mi w zdobyciu siedzącego miejsca, „zapomina” sprzedać mi bilet i jedziemy. Rozklekotany autobus jęczy, stęka i pryca, co kilkadziesiąt kilometrów staje w najmniej oczekiwanym miejscu, ale kierowca okazuje się doskonałym mechanikiem i ruszamy dalej. Jedziemy cały dzień. Żyję z handlu wymiennego — papierosy za chleb z masłem, znalazła się nawet wędlina.

Wreszcie zajeżdżamy na jakiś plac. To rynek w Inowrocławiu. Wokół brakuje kilku domów. Czy ten, którego szukam, istnieje? A jeżeli istnieje, czy są w nim moi najbliżsi? Przed autobusem gromada ciekawych jak zwykle chłopaków. Podaje panięskie nazwisko żony — mojego nikt tu nie zna.

— To tu, na pierwszym piętrze — krzyczy jeden z urwipolców, wyrwa mi z ręki bagaż i już skacze po schodach. Sekunda olbrzymiej, niepowtarzalnej radości — a zaraz potem wątpliwości. Może ten chłopak myślał o siostrze żony, może o kimś z dalszej rodziny?

W jasno oświetlonym prostokacie drzwi coś ciemnego. Aż mnie oczy bolały od tego wysiłku patrzenia. Dlaczego ta postać ma taki dziwny kształt, dlaczego tak się chwieje?

— Synu... Tata...

Do dzisiaj nie wiem, ile czasu upłynęło, gdy usłyszałem na schodach znajome kroki. W pokoju paliła się już świąteczna choinka. Skoczyłem pod gałęzie, tam, gdzie tradycyjnie kładzie się prezenty. W otwartych drzwiach stanęła żona. Dostrzegła mnie natchnieniem. Ledwo zdążyłem podtrzymać ją.

Na honorowym miejscu przez wiele, wiele dni leżała mała, niepozorna gałązka świerku. Ta z Gdyni. Była przecież pierwszym powitaniem z krajem, w którym odnalazłem rodzinę, pracę, radość życia.

Jerzy Dostatni



## Teatr i varia

(3)

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Przejazd z Nowego Sadu do Lublany, przez niemal całą szerokość północnej Jugosławii, był dla każdego (każdej!) z nas próbą wytrzymałości. Autokary musiały przebyć te sześćset kilometrów jednym tchem, bo wyruszyliśmy z dwugodzinnym opóźnieniem. Wyłączono motory zaledwie na kilkanaście minut — by spożyć sielski posiłek, którym potraktowali nas w ogródku przydrożnej restauracji nasi nowosadzcy koledzy teatralni towarzyszący nam teraz wiernie w wędrowce po ziemiach jugosłowiańskich. Stanęliśmy w Lublanie dopiero o godzinie 20. Takiego już mamy pecha, że najbardziej malowniczymi serpentynami jedziemy o zmroku i w mroku.

Nasz Hotel „Ilyria” to piękny, nowoczesny gmach i, jak większość hoteli nowoczesnych, zlokalizowany w znacznym oddaleniu od centrum miasta, w zabudowującej się dopiero dzielnicy. Ale połączenie autobusowe podobno dobre, jutro błyskawicznie nauczę się z niego korzystać. Na razie spóźniony obiad — „w domu”. Zostawiłam w restauracji hotelowej 500 dinarów, koszt skromnego posiłku (zupa, sztuka mięsa, sałatka), dwukrotnie większy niż w lubelskiej „Europie”. Z droższymi artykułami żywnościowymi, a co zatem i przyrządzanych z nich dań, polski podróżny musi się oswoić i brać ją pod uwagę przy zapoznawaniu się ze skalą wyższych od naszych wynagrodzeń za pracę.

szawa). Lecz nie da rady: Serbia, jak ktoś słusznie zauważył, posiada najdawniejsze w Jugosławii tradycje państwowe, a Belgrad liczy ze cztery razy więcej ludności od stolicy Słowenii. Niezależnie od tych sceptycznych refleksji kontempluję z przyjemnością urodę Lublany. Miło jest wędrować nadbrzeżem nieznanego mi z imienia dopływu Sawy — w scenerii elegijnej i swojskiej. Topole gubią już słabsze liście, na balkonach bielizna suszy się w jesiennym słońcu. Trochę włoskich reminiscencji. A oto romantyczna góra zamkowa, przyciągająca turystę jak magnes (ale nie jestem turystą, nie starczy mi czasu na zwiedzenie zamku, który, nawiasem mówiąc, wygląda wieczorem przy efektywnym „podświetleniu” wręcz zjawiskowo). Głębiej w sieci ulic starych, lecz zaplanowanych z myślą o reprezentacyjnej

spekt. walory dialogu jakoś lepiej docierają do widowni...

Dzisiaj jest szczęśliwy dzień. Rozpoczął się nad wyraz atrakcyjną wycieczką poza Lublanę, aż do jaskini w Postojnej. Jej stalaktyty i stalagmity — profuzja „kolumn”, „zasłon”, „gron”, białych, różowych, żółtawych, liczne wnęki małe i olbrzymie, całe to dzieło multityśiącletniej pracy upartej rzeki Pivki, frapuje ogromem nawet tego, kto widział już w swoim życiu nie byle jakie pieczary, choćby w niezbyt dalekim od nas czeskosłowackim Smokowcu. Tak zwana „sala koncertowa” może pomieścić dziesięć tysięcy osób. Co prawda na razie widziałam tam tylko kiosk pocztowy i bufet z kanapkami, ale przewodnik zapewniał, że w pełni sezonu odbywają się tu rzeczywiste koncerty, gdyż sala jest bardzo akustyczna. Fantazja dając po linii najmniejszego oporu odtwarza melodię Griega. Opuścić muszę przybytek króla gór oszłomiona secesyjną hojnością przyrody. Zwiedzanie — trochę na piechotę, więcej wagonikami — trwało ponad półtorej godziny. Uczony grotolaz-hobbysta z pewnością skrzywiłby się na tę kolejkę elektryczną, my nie narzekamy (5 kilometrów pod ziemią na własnych nogach — dziękuję!). Chwałę sobie też oświetlenie a *giorno*, które zresztą wywołuje z tych niesamowitych struktur iskrzenie się wręcz nadrealne.

No i jesteśmy znów na poczciwej skorupie ziemskiej. Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów, a przerycimy się w całkiem odmienny nastrój. Morze! Nareszcie szafirowy jak na pocztówkach kawałek Adriatyku, wyblagany u organizatorów naszej wyprawy. Oczywiście żaden Dubrownik (gdzie Rzym, gdzie Krym), ani nawet Rijeka czy Opatia, tylko po prostu Koper. Polakowi brzmi to jakoś zabawnie, ewokuje myśl o ogórkach, ale miłośnica położona nad zatoką, niedaleko od niedostępnego Triestu, jest urocza. Pozejmowaliśmy nowe kurtki, słońce prażyło. Intensywna ultramaryna zwabiła Mikulskiego do kąpieli. Wmawiał potem, że woda jak w wannie. Nie sprawdzałam.

Dawno już czas nie wydawał mi się takim tyranem: na łażenie po miasteczku dano zaledwie godzinę. Co tu można zdziałać? Połknąć w trattorii talerz zupy i szklankę wina, pogapić się na wystawy sklepowe, poczytać szyldy dwujęzyczne, uwzględniające potrzeby mniejszości włoskiej, no i napić trochę wzrok włoską architekturą placu, gdzie renesans żyje w harmonii z gotykami. Zegnaj, Koprze, trzeba śpieszyć na przedstawienie.

Po spektaklu „Bobbyego” odrobiłam jeszcze zaległą lekturę recenzji nowosadzkiego periodyku „Trybuna”. Przychylna ocena ma tytuł „Serdeczny aplauz”. Zaśpiewajmy więc jak w „Królowej przedmieścia”:

„Będzie klawo, będzie klawo, będzie klawo...”

Na razie tyle. „Jest” dośpiewamy sobie po Belgradzie.

Kartki dzienniczka mówiące o końcowym etapie wyprawy teatralnej odtworzę dla Czytelników „Kamery”, sine ira et studio, w czwartym (ostatnim) odcinku niniejszych impresji.



W Lublanie

Wytworna „Ilyria” jest jeszcze trochę „niedotarta”. Po zakwaterowaniu w komfortowym pokoju zapragnęłam nadto otworzyć *porte-fenêtre*. Powstał z tego problemik nie lada. Na dzwonki alarmowe zbiegły się aż trzy osoby z personelu hotelowego, których zgodny wysiłek zaledwie pokonał złośliwość martwego przedmiotu: wymyślnego, supernowoczesnego pedału uruchamiającego zasuwki okienne. Przypomniał mi się opór świeżo wstawionych drzwi balkonowych u mnie w Lublinie, tyle że tamte jeszcze pachną ładnie lasem. O, dynamiko powojenna!

Lublana, noc z 22 na 23 października

Jakże mi przykro, że nasz spektakl nie był sukcesem. No tak, trzeba sobie powiedzieć szczerze: dozwolne, zgrabne, lekkie jak pianka lubelskie przedstawienie „Królowej przedmieścia”, które Ukleja opracował z ogromnym nakładem inwencji reżyserskiej, uległo na scenie lublańskiej skrajnej wulgaryzacji. Trudno tu doszukać się bezpośrednich winowajców, zakrawa to na jakiś fatalny spontyzm, spowodowany różnymi przyczynami. A więc przede wszystkim zadziwiał niewątpliwie coraz więcej wzrastające zmęczenie zespołu (po części rezultat zbyt „mocnych” wrażeń). Zniweczyło ono precyzję wykonania, zastąpioną „pantomimiczną” ekspresją, jeszcze bardziej nadgorliwą niż w Nowym Sadzie. Psychologicznie rzecz biorąc: zespół jakby utracił wiarę, że sztuka została wybrana zgodnie z gustem tutejszego adresata, i zaczęła nadrabiać miarę, przebiegając miarę w pikanterii. Ukleja krąży za kulisami niczym tygrys — który prawdziwy artysta nie byłby rozwścieczony na widok zniekształcenia swego dzieła. Niefortunnym zbiegiem okoliczności zaprezentowano lublanianom widowisko bynajmniej nie typowe dla poziomu sceny imienia Osterwy, poziomu dość wysokiego, na który stawiali ci, co wysyłają teatry za granicę. Tymczasem tutejsza widownia wymaga od artystów najlepszej formy, przyzwyczała ją do tego na co dzień *Slovensko Narodno Gledališče*, w którego gmachu produkował się nasz zespół (podobno Słowacki Teatr Narodowy wybiera się do Polski w listopadzie ze „Sprawą” Primoż Kozaka i „Jajkiem” Felicjana Marceau). A więc na żadną pobłażliwość w Lublanie liczyć nie można, zwłaszcza, że przyjmowani tu jesteśmy w myśl przysłowia „*les amis de nos amis sont non amis*”, czyli na zasadzie przyjaźni z trzeciej ręki, bo bezpośrednim naszym gospodarzem jest kierownikstwo Serbskiego Teatru Narodowego w Nowym Sadzie...

Ale dość narzekania, może „Wielki Bobby” lepiej „chwyci”.

Ten wieczór, który mnie tak zasmucił, poprzedziło sporo ciekawych wrażeń. Zerwałam się z łóżka o siódmej rano i po skonsumowaniu dobrego a taniego śniadania w nowoczesnie urządzonej barze naprzeciwko hotelu, pomknęłam (autobusem) do centrum.

Lublana ma zacięcie „stołeczne”. Chyba ciągoty do rywalizacji z Belgradem (znamy to: Kraków — War-

roli głównego miasta — niegdysiejszej prowincji austriackiej, natrafiłam na okazały gmach Słowackiej Akademii Umiejętności, mieszczący bogatą Bibliotekę uniwersytecką. Gdzieś w sąsiedztwie zatrzymałam się zaintrygowana oryginalnym zespołem rzeźb przed budynkiem jednej z lublańskich szkół. Głowy wielkich ludzi na wątlach, niewysokich kolumnkach — nie jest to specjalnie udane z punktu widzenia estetyki, ale świadczy bardzo ładnie o pamięci narodowej miasta, które tak długo było pod obcym zaborem.

W witrynach sklepów najruchliwszej arterii handlowej — obfitość niezwykła, wręcz orgia komercyjna: eleganckie swetry, lakiierki, powódz koronek... Nie zauważyłam jednak na ulicach ani w teatrze, by kobiety były ubrane gustowniejsz od naszych. Zresztą samo przeładowanie wystaw sklepowych klóci się poniekąd z nowoczesnymi zasadami estetycznej ekspozycji, przypominając po trosze nasze komisy.

Lublaniacy, podobnie jak my, mają kompleks „kultury zachodniej”, kontrastujący nieraz z realnymi możliwościami i dyspozycjami. Ale tak jak wszędzie, rzeczy, które mogą się mniej podobać, sąsiadują tutaj z takimi, których trudno nie podziwiać. Uderzyły mnie, na przykład, wybitną brzydota witryny z koskami pełnymi sztucznych kwiatów, przeznaczonych w tej katolickiej republice do ustawienia na grobach w związku ze zbliżającym się dniem Wszystkich Świętych. Są również szpetne jakieś wieńce przy cmentarzu na Lipowej lub gipsowe popiersia Chopina w Dusznikach. Zachwyt natomiast budzi wzorowa czystość Lublany, nadzwyczajny ład ruchu ulicznego, który imponuje przemyśleniem najdrobniejszych szczegółów (choćby te zrozumiałe dla każdego sygnały na przejściach albo specjalne pasy jezdni dla rowerzystów, czy też betonowe standy dla ich stalowych koników przy gmachach publicznych. *Nota bene*, o rowerzystach trzeba tu szczególnie dbać, jest ich zatrzęsienie (przeciwnie, nie widać prawie motocykli, tej zmyry naszych ulic i szos).

W sumie, choć to nie bezkrytyczna miłość od pierwszego wejrzenia, Lublana zaczyna mi się coraz więcej podobać. Niewątpliwie jest miastem bogatym, uprzemysłowionym, mądrze zagospodarowanym, rozbudowującym się szeroko i wysoko. Można jej stawiać jak najpomyślniejsze horoskopy.

Lublana, 23 października. Wieczór

Przed wszystkim o rzeczy najważniejszej: „Wielki Bobby” wyszedł z opalów lepiej niż „Królowa przedmieścia” (taka jest transkrypcja tego tytułu na miniaturowym czerwonym afiszu przed wejściem do teatru — Lublana, posługująca się alfabetem łacińskim, nie użytkowała afiszy nowosadzkich, drukowanych cyrylicą). Przedstawienie, tym razem po solidnych próbach, było sprawniejsze, ważki problem sztuki, acz ujęty w spektakl statyczny, wzbudzał re-

## JAN BOLESŁAW OŻÓG

\* \* \*

Góry zamkowej nie było wcale widać,  
otoczyły ją mgły i mrok.

(Franz Kafka — Zamek)

Uciekał, księżycu, księżycu,  
Już słyszysz tętent ich koni.

(F. Garcia Lorca — Romanca o księżycu)

Na górze fortecy  
kraty i kajdany,  
szyldy kolorowe,  
złoczone talerze,  
pętla nie o głowę  
zawadzi o więzienie,  
nagan rąb w plecy  
na paclerz poranny.

W twierdzy tak jak w kinie,  
palenie wzbrownione,  
w twierdzy jak w kościele  
albo jak na ścianie,  
w twierdzy palne zielenie  
i strach nieustannie,  
i strach mknie po szynie  
jak muły spłoszone.

W twierdzy pod blachami  
bar, stół, plecyk z rurą,  
nad drzwiami fryzjera wyołoczony talerz.  
kał serce otwiera  
w cztery światła strony,  
cebuli piórkami  
lepi cerkiew burą.

Za twierdzą na łące  
wierzbą na kształt procy.  
Kapliczka barwista  
jak chustka rzeszowska.  
Modelka przezczysta —  
śliczna Matka Boska  
od Nieustającej  
Miłosnej Pomocy.

# NARAZIE— w kilku słowach...

EDWARD NADULSKI

**W** HISTORII narodu duńskiego i polskiego wiele można znaleźć faktów, które zbliżyły oba kraje w rozwoju życia gospodarczego, kulturalnego, w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe. Tegoroczny październikowy pobyt w Danii polskiej delegacji kulturalnej był więc jeszcze jednym z faktów nawiązujących do przyjaznych i życzliwych stosunków pomiędzy naszymi krajami.

W ciągu dziewięciodniowego pobytu polska delegacja miała możliwość zwiedzić wiele placówek kulturalnych w trzech największych miastach Danii. W Kopenhagie poznaliśmy m. in. takie zabytki i placówki artystyczne, jak Zamek Królewski, Biblioteka, Muzeum Narodowe, Muzeum Thorwaldsena, muzea etnograficzne, Opera Królewska. Poza Kopenhagą zwiedziliśmy na wyspie Fionii miasto Odense i istniejący na terenie tego miasta skansen, tzw. Stare Miasto, Muzeum Andersena oraz na Jutlandii uniwersyteckie miasto Aarhus, gmachy rad miejskich w obydwu miejscowościach, uniwersytet w Aarhus i nowo wybudowaną szkołę średnią. W czasie przejazdów między tymi miastami poznaliśmy miejscowość Herning i fabrykę koszuł prowadzoną przez pana Damgaard, przewodniczącego Rady Kultury Danii, a także Uniwersytet Ludowy na przedmieściu Herning.

Był to pierwszy pobyt w Danii ministra kultury z kraju demokracji ludowej\*). Dlatego też stał się on jednym z większych wydarzeń tak w życiu politycznym, jak i kulturalnym.

\*) Wzmiankę o tym pobycie zamieścił mi w nrze 21 „Kamery”. Polska delegacja kulturalna, z ministrem Galiniem na czele bawiła w Danii w dn. 2—11.X., na zaproszenie duńskiego ministra kultury J. Bemholta.

Odbyło się wiele spotkań i przeprowadzono dużo rozmów na temat rozwoju życia kulturalnego w Polsce i w Danii. Poruszono sprawy dalszej wymiany przedstawicieli instytucji kulturalnych, środowisk twórczych i działaczy kultury, w sprawie też dokonania przekładów najcenniejszych dzieł literatury. Gościnność i przyjaźnielski stosunek towarzyszący pobytowi polskiej delegacji rokuje jak najbardziej pomyslną nadzieję. Dobry to jest objaw, gdy w tym trudnym świecie, w którym żyjemy, w świecie pełnym jeszcze kontrowersji i konfliktów, znajdują się wartości ogólnoludzkiej kultury, które łączą narody, przyciemniają i likwidują dzielące różnice. Jest wiele rzeczy pozytywnych, które znajdują artyści i działacze kultury Danii przyjeżdżający do Polski — wielka sieć uniwersytetów ludowych w naszym kraju, troska państwa o rozbudowę ośrodków kulturalnych, domów kultury, sieci kin, rozwój kinematografii, osiągnięcia naszych reżyserów i scenarzystów filmowych. Działacze polscy ze swej strony mogą poznać w Danii m. in. wielkie zabytki architektury, bogate muzea, ale co powinno zrobić na nich szczególne wrażenie, to — współczesny rozwój twórczości plastycznej, która wybija się na jedno z czołowych miejsc. Oto przykład: Fabryka w Herning kierowana przez pana Damgaard, produkująca 2 tysiące koszuł dziennie, została zamieniona wraz z przyległym ogrodem w jeden wielki zespół plastyczny. Otoczenie zakładu niskopiennym drzewostanem, trawniki, małe sadzawki, rzeźby w plenerze — w niczym nie przypominają siedziby zakładu produkcyjnego. Wnętrze fabryki, meble o nowoczesnym kształcie frapują wielobarwnością. Pomieszczenia socjalne, klubowe, biurowe, korytarze wypełnione są dziełami współczesnych malarzy i rzeźbiarzy. Są tam prace wielu twórców europejskich, a wśród nich i malarzy polskich — Dominika i Markowskiego. Trudno ocenić już dziś wyniki tego eksperymentu, jest on jednak dowodem wielkiej troski i chęci uczynienia zakładu pracy miejscem estetycznym, przyjemnym. Plastyka — to hobby pana Damgaard. Zakładem jego opiekuje się od strony estetycznej artysta, który czuwa nad doborem dzieł sztuki i wystrojem plastycznym. Przy zakładzie znajdują się wspaniałe urządzo-



Polska delegacja kulturalna przed makietą osady wikingowskiej, z tyłu rekonstrukcja jednej z chat.

Na zdjęciu, od strony lewej: obok tłumacza — generalny dyrektor Ministerstwa Kultury Danii H. Rohde, minister Kultury i Sztuki Tadeusz Galiniński, dyr. Zespołu do Spraw Plastyki W. Wilski, dyr. Zespołu do Spraw Muzyki W. Weinbaum, sekretarz Ministerstwa Kultury Danii W. Vilstrup.

ne pracownie: malarska, rzeźbiarska i ceramiczna. A oto drugi wymowny przykład troski o sztukę i jej wpływu na otoczenie: działalność ośrodka plastycznego Louisiana, położonego w odległości 40 km od Kopenhagi, nad brzegiem morza. Nowe, piękne parterowe pawilony wkomponowane w ogród dają wspaniałą możliwość do eksponowania współczesnego malarstwa i rzeźby. Przestronne sale wystawowe służą spotkaniom malarzy, literatów, historyków sztuki, wielu działaczy kultury. Pomieszczenie Louisiany spełniają dużą rolę w upowszechnianiu twórczości plastycznej. Warto zaznaczyć, że wśród wielu wybitnych prac eksponowanych w salach wystawowych Danii znajdują się liczne prace polskich malarzy: Kobzeja, Tadeusza Brzozowskiego, Jana Lebensztajna i in.

Wystawa polskiego plakatu otwarta w czasie pobytu delegacji polskiej cieszyła się dużym powodzeniem. Pols-

cy plakaciści są znani w Danii, nie też dziwnego, że właśnie polski grafik, J. Świerzy, opracował plakat do ostatniego filmu duńskiego Hemninga Carlssena, do którego muzykę skomponował Krzysztof Komeda.

Wiele można by wyliczać pozytywnych osiągnięć w dziedzinie współpracy kulturalnej Polski i Danii. Wiele można wyliczyć nazwisk polskich i duńskich aktorów, artystów, działaczy kultury, którzy przebywali w przyjaźniowym kraju. Ta wymiana kulturalna i bezpośrednia współpraca odbywa się w bardzo przyjaznym klimacie. Społeczeństwo duńskie czeka na polskie filmy, na występy polskich śpiewaków, polskich artystów, tak samo jak i my oczekujemy przyjazdu duńskiego baletu czy wystawy plastycznej.

Jest to chyba jedna z najważniejszych konkluzji, jaką nasunął mi krótki, lecz bogaty we wrażenia pobyt w Danii.

(Dokończenie ze str. 4)

Oszolomienie pierwszych dni, tygodni — zaczęło mijać. Do jakich rzeczy można się przyzwyczaić. Chroniły nas robotnicze przepustki, byliśmy hitlerowcom potrzebni, bo potrzebny był im węgiel.

Tworzyliśmy grupę młodych rozpaleńców, byliśmy nadal głodni wiedzy, nauki, książki. Bardziej może potem zaczął nam ten głód doskwierać, niż głód chleba, niż głód cukrowego buraka, niż głód główki cebuli...

Zbieraliśmy się często w swych domach. Gromadziliśmy skrzętnie książki. Każda kartka druku, polskiego druku, miała dla nas wagę złota. Co tam złota! Chleba!

W Sosnowcu wymyszkowałem któregoś dnia zakonspirowaną... księgarenkę. To był antykwariat, najdziwniejszy w świecie zbiór, skarbnica najwspanialszych strzępów, książek, ich fragmentów, ocalałych z porozbijanych przez faszystów publicznych i prywatnych bibliotek. Chodziło się tam, z zaoszczędzoną marką czy dwoma i bolesz szarpała serce, gdy nie można było pozwolić sobie na kupno książki, która mogła otworzyć niebo, najpełniej, najbardziej po ludzku uszczęśliwić.

Na półce, obok której stała anioł — ekspedientka, prześliczna blonddziewczyna, wśród wielu innych książek, obok Ralfa Waldo Emersona, obok Czernyszewskiego, obok Bruno Winawera, wyszukałem — „Króla Duchy”. Chciwymi oczyma polykałem te niezwykłe, arcypiękne strofy:

A nie — pawiego nawet nie bierz pióra  
Ni kwiatka — ani patrzaj w zwierciadła,  
Króla gdy zbudzisz — mów, że wrogów chmura  
Granice wzięła — zamki już napadła;  
Król obudzony niechaj państwo budzi,  
Reszta jest dziełem lat — i dobrych ludzi...

Wszyscy byliśmy bardzo młodzi i w naszym patriotyzmie było wiele mistyki. Z każdej strony wiersza robiliśmy przepowiednie o najbliższych, o przyszłych losach naszego podeptanego kraju...

Niestety. Moje dwie marki nie wystarczyły na „Króla Duchy”. Blonddziewczyna od niechcenia przerzuciła zaczęła przedwojenne jakieś numery „Dodatek Literacko-Naukowy” IKC. I wśród nich wygrzebałem trzy numery pisma, takie trzy zadrukowane zeszytiki, o różnokolorowych okładkach.

„KAMENA”! Słyszałem wiele o tym miesięczniku wychodzącym w dalekim Chełmie Lubelskim. Tu u nas w Zagłębiu nigdy, nigdzie nie można go było kupić.

Wracałem z Sosnowca do Niwki i czytywałem się w pismo. Była wiosna 41, na skarpach i w rozdolach pozostałych po przedwojennych bledaszybach pieńcza już młoda soczysta trawa, z całymi żółtymi ławicami podbiałów. Do nocej szechy mia-

łem jeszcze kilka godzin czasu. Przysiadywałem na podbiałowych pustkowiach i chłonałem każdy wiersz, każde słowo. Byłem właścicielem tylko trzech numerów: pierwszego, premierowego, wydanego we wrześniu 1933 roku, dziesiątego „słowińskiego” z datą lat 1933—1934 i wreszcie czwartego, z grudnia 1935 roku.

Do dziś przechowuję te drogie numery „Kamery” w swojej domowej bibliotece. Dobre pamiętki, przedmioty moich wzruszeń serdecznych w latach, które do dziś zjawiają się w najgorszych koszmarnych snach. Z ich kartek poznawałem poetów, których nigdy dotychczas w dziewiętnastoletnim życiu nie znałem. Miałem najbliższych kilku przyjaciół — z nimi po sto razy recytowaliśmy te wiersze,

Szybko mrok zapada w ciasnej ulicy,  
Domy szczytami schodzą się prawie,  
Na wąski nieba skrawek  
wychynał róg księżycy.

To Franciszka Arnsztajnowa z wiersza „Na Olejnej”. Karmiliśmy się każdym słowem, rozkosz arcydąską dawało śledzenie myśli poety, piękno słów i skojarzeń, metafor.

śpiewała daleko gdzieś  
w słonecznikowych słońcach zagubiona  
wieś  
może były polne prace czyjeś  
może len się po kądzieliach wije  
nie wiadomo jak stały chaty  
nie spamiętać dokąd szły drogi

Tym wierszem bliski i drogi stał mi się Józef Czechowicz. W tych latach, nie wiedziałem jeszcze, że Poeta, którego tak pragnąłem zobaczyć, poznać — nie żyje, że padł ofiarą pierwszych nalotów hitlerowskich bombowców, na Lublin. Później już, po latach, w powojennym (grudzień 1945 — styczeń 1946) numerze „Kamery” znalazłem studium Kazimierza Wyki o Czechowiczu i w nim takie zakończenie:

„Zamknięta jest karta twórczości Czechowicza. Za sobą mając dwudziestolecie, które swoją ramą ogarnęło tę twórczość, przed sobą nowe roczniki żywych i dziesięciolecia czasu, roczniki, co wydać może z całym innych postaw duchowych, co może szukać będą innej sztuki, jakżeż im przekazaćemy krótko Czechowicza, my cośmy świadkami byli, co wiele zawiadziliśmy tej poezji?”

Poznałem więc nowe nazwiska. Ludzi, którzy istnieli, naprawdę tworzyli piękno. Franciszka Arnsztajnowa, Józef Czechowicz, Antoni Madej, Józef Mondschein, Grzegorz Timofiejew (którego po latach poznałem w Łodzi, z którym niejedną godzinę przegadał mi). Stefan Napierski, Paweł Hertz, Leon Pasternak, Jan Spiewak, Czesław Janczarski, Kazimierz Andrzej Jaworski wreszcie,

## MOJE SPOTKANIA

założyciel, wydawca, poeta, tłumacz — wszystko co chcecie, dla „Kamery”. I wielu wspaniałych poetów słowińskich, francuskich.

Do dzisiejszego dnia pamiętam i często sobie recytuję taki wiersz Milii Buresz — czeskiej poetki, po mistrzowsku spolszczony przez Józefa Czechowicza:

„Błąkał się w łąkach czarny koń,  
Glaskał guziczki dmąc w swą organkę  
piosenką rozpiął jej błękę  
na brzegu strumyka wierzby piasły  
w różowym walczyku plusku.  
Błąkał się w łąkach czarny koń  
miesiąc mu biały w orzywie spłynął  
motyl admirał ku jego snom  
chylił się w gronach kaliny”.

Rozumiem, jak bliska Czechowiczowi musiała być poezja Milii Buresz. Przecież i jego poezja, to poezja wyobraźni, poezja miłości ziemi, związaną z klimatem jej piękna. Nie znam tego wiersza w oryginale, ale dla mnie, w spolszczeniu, jest on wierszem, który stanowi prawdziwy klejnot, małe malarskie, muzyczne arcydzieło. Bo czy malarz po przeczytaniu wiersza nie mógłby go namalować? Bo czy muzyk — nie mógłby skomponować z tych słów najwspanialszej arietki, melodii tak barwnej, bajecznie kolorowej, jak... no, na przykład — „Dla Elizy” Beethovena?

To był wrzesień 1933 roku. To był rok, w którym niedaleko od naszych kopalń, na zachodzie — szalały nazistowskie bandy. To już było po całopaleniu, jakie hitlerowcy urządzili Marksowi i Mannowi, Leninowi i Zweigowi, Kellermanowi i Sinclair'owi.

W 1933 roku Hitler doszedł do władzy. W pierwszym numerze „Kamery” pisał autor używający pseudonimu Flamen:

„Stup dymu, wzbijający się ponad Placem Opery w Berlinie pamiętnej nocy 10 maja 1933 r., słup dymu ze sfośu inkwizycyjnego powitany faszystowskim podniesieniem ręki przez współczesnych Hunów — ma głębsze symboliczne znaczenie, niż to się hitlerowcom wydaje.”

Spłoneli Marks, Engels, Bebel i Lenin: odtąd niemiecki robotnik ma być bezdusznym niewolnikiem. Padli ofiarą płomieni Remarque, Renn i Barbusse, gduż przed się będzie do wojny, którą należy gloryfikować.  
Zagorzał Tomasz Mann: dzikus w brunatnej koszu-

# Pół wieku nowatorstwa

ANNA KAMIENSKA

stytucyjną. Ponad pół wieku „nowatorstwa” — ponad pół wieku permanentnej rewolucji literackiej — to wystarczy, aby nagromadzić odpowiednią dozę sceptycyzmu i zastanowienia. Dyskurs historyczny i życiowy, z jakim dziś już śledzimy walkę, zwycięską zresztą walkę kierunków awangardowych, poszukujących z tradycjonalizmem w literaturze — pozwala nam stwierdzić — jak iluzoryczne są wszelkie zwycięstwa literackie, jak trudno, niezmiernie trudno odciąć się od tradycji, od zależności, od manieri czasu, jak młodzięncze „potrzęsanie kwiatem nowości” ustąpić musi głębszemu, historycznemu rozumieniu procesów dziejących się w kulturze.

Poezja sama bardzo szybko wycofała się z burzyliwej postawy futuryzmu, który postulował niszczenieabytków, bibliotek, dzieł sztuki, zacyznanie wszystkiego od nowa. Przekonano się, że zacyznanie cywilizacji i kultury od nowa nie jest możliwe, niestety, a może na szczęście. Ile w hasłach futurystycznych było żartu i fanfaronady, ile zaś rzeczywistości groźby — trudno powiedzieć. Że groźba taka dla kultury istniała w żartobliwych pomysłach głoszonych w przededniu rozwijającego się w łonie Europy faszyzmu — nie trzeba nikogo przekonywać po niszczyielskich możliwościach II wojny światowej.

Niemniej hasła oryginalności za wszelką cenę i nowatorstwa — były rozwijane dalej z najbardziej płodnymi i pozytecznymi wynikami przez poetów wielu nurtów poszukujących, a nas przede wszystkim przez Peipera, Przybosa, Czechowicza, Ważyka. Doniosłość historyczno-literacka tego postulatu nowości polega a nas na rozbijaniu wielkiej, ale wciąż zawadzającej w rozwoju naszej poezji i w ogóle literatury — tradycji romantycznej, a właściwie post-romantycznej.

Warto sobie uprzytomnić, że trzeba było na to pracy kilku pokoleń, aby

usunąć jak zawaladrogę model poetyki, model odczuwania i stylu, model piękna, jaki narzucił całym pokoleniom romantyzm. Ożywić język, odrzucić martwe słowa i zwroty, jak to robią pszczoły, gdy oddzielając woskiem obce i martwe ciała, wyrzucają je poza obręb ula, w którym toczy się życie — iluż wybitnych, średnich i zupełnie zapomnianych poetów spełniało to zadanie odnowienia języka, a zarazem uczenia odbiorców na każdy fałsz słowny, na frazes.

To są procesy długie, nigdy nie zakończone, póki rozwija się żywy język. Jednocześnie jednak doświadczenie nowatorskiej pracy w stylu i języku literatury — ukazało nam, jak wielki, złożony i niepodzielny, jak piękny jest organizm literatury narodowej. Nie jest to dziedzina, której odcyć ogon nagle może zamienić się w samodzielne ciało. Istnieje tajemny (przynajmniej dla laików, nie dla badaczy kultury, ale i ci powinni mieć odrobine podziwu dla zjawisk badanych), istnieje tajemny i nieublagany krwiobieg literacki, przepływanie w siebie rytmów, wzruszeń, obrazów. Jeśli zdarzyłby się twór literacki poza tym krwiobiegiem, byłby martwy i uschły.

Niemożliwa jest w kulturze poezja i sztuka samородna, jak niemożliwa jest absolutna oryginalność.

W wierszach ludowego poety prymitywnego słyszymy pogłos hymnów średniowiecznych, albo zniekształcony przez wieki odbioru głos psalmów Kochanowskiego. I to sprawia, że nieporadny, nieukształcony twór literacki żyje i oddycha, a nawet wzrusza.

Z drugiej strony w wierszach nowatora Czechowicza słyszymy pogłos rytmów poezji staropolskiej i jeszcze głębiej — ludowej i to sprawia, że akceptujemy także nowatorstwo, asymilujemy je w języku jak świeży pokarm.

Piękne hasło nowatorstwa spełniające tak wielkie zadanie w literaturze,

może świętę u nas nie gasie, ma miejsce, gdzie rozwój literatury odbywał się bez zewnętrznych zahamowań i przeszkód — hasło to ma dziś tendencję do skostnienia i do hamowania rozwoju poezji. Przeczy więc sobie. To jednak bynajmniej nie może i nie powinno być rozumiane jako powrót na podwórko tradycjonalizmu czy też pasażu. Pasaż jest sztuką bezwładu, paraliżu, niezdolną do rozwoju.

Uniwersalizacja hasła nowatorstwa łączy się u nas z tendencjami krytyki poszukującej „tworca idealnego” poezji, a gardzącej skromnym opisywaniem i interpretowaniem zjawisk literackich. Staje się to dla samej poezji niebezpieczne.

Młodzi poeci jak mogą bronią się przed niebezpieczeństwem nieustającego, pozornego nowatorstwa uciekając do poezji rozmyślnie wtórnej, pastiszowej, parodystycznej, w której diabeł nowoczesności macha tylko od wewnątrz ogonem. Tak dziś trochę diabolicznie wygląda „potrzęsanie kwiatem nowości”.

Ale to już dalsze, zbyt skomplikowane sprawy, które przenieść trzeba do innego listu.

JERZY KSIĘSKI

## Drogi najszersze

Polne drogi w jesień odchodzą „Wielki Wóz” ponad nimi przepływa; Droga polna piachem sypana Filozofom się nawet nie śniła.

Drogi polne... spokój obrzumił Wstęp śródpólnych, gdzie skrzypią koła;

Kurzu bure ognisko dymi. Wrzesień przeszedł boso przez pola.

I październik w kłosach człapie Ma parasol ze stogu siana. Polne drogi, których nie ma na mapie Mgła wilgotna otula od rana.

Milczą godnie przydrożne kamienie, Drogowskazy, przez czas szlifowane... Jest w nich mądrość i zwykle wzruszenie Na rozstajnych drogach skamieniałe.

# Z „KAMENIA”

li nie może mieć współczucia nawet dla umierających w Davos suchotników.

Na stos Arnolda Zweiga! Gdy się morduje Stellinga, cóż warta jest głowa rosyjskiego chłopca. Już nikt odtąd w Niemczech nie upomni się o życie biednego sierżanta Griszy.

Wassermana w ogień, gdy tysiące niewinnych Maurizjusów zapelnia obozy koncentracyjne!

Kellermana też. Nie trzeba „Glupców”, gołębiego serca pastorów. Młody Nazi nie zrozumie miłości Ingeborgi.

Zniszczyć Sinclair'a. Niemiec „Emile” już odnalazł swoją prawdę. A „Bostonem” jest każde miasto germańskie. Toistoja spalić! Szkodliwe są wyrzuty sumienia Niechludowa, Piotr Bezuchow wart więzienia.

Litości, litości przynajmniej dla Jacka Londona. Wszak to siła, hart, zdrowie, a przynioty te przydadzą się i hitlerowcom. Ale London jest magajskim humanitarystą, występującym w obronie nawet meczonych zwierząt. Ale London czci kobietę, gdy w brunatnym domu znaczą się nad nią, skoro myśli inaczej, niż Fuehrer. Ale London potępił bestię Wolfa Larsena, a z kogoż się składają przywódcy Nazi?

Płomienie stosu, na który barbarzyńcy cisnęli dzieła największych pisarzy, nie wyrządziły książkom żadnej szkody. Ale blask ognia oświecił wyraźnie oblicze niemieckiego faszyzmu.

Czytaliśmy te słowa, kiedy już but Nazi deptał Europę. Czytaliśmy je i wówczas, gdy hitlerowscy rozbojnicy poszli na Wschód — po życie sierżanta Griszy...

My uczyliśmy się. Każdą książkę — od pierwszej do ostatniej strony. I zawsze wracaliśmy do tych trzech numerów „Kamenu”. Wiersze znaleźliśmy na patyku. Na numerze mickiewiczowskim z czerwca 1934 roku zacząłem uczyć się... języka rosyjskiego. Bo były tam artykuły i wiersze w tym języku. Skąd w latach okupacji w „Ostchlesien”, jak Niemcy nazwali górnicze Zagłębie Dąbrowskie, można było dostać rosyjską książkę? Nie mogło być o tym mowy. Ojciec mój wypisał mi rosyjski alfabet i mając kilka cennych kartek rosyjskiego tekstu, chłonałem chcency fragmenty z mickiewiczowskich „Kniż polskich wie i naroda i polskiego straniczestwa”. Wszyscy znamy i lubimy „Sonety krymskie”. Znalazłem jeden z najpiękniejszych sonetów, w tłumaczeniu A. A. Fieta:

„Akkermanskije stiepi”.  
Wpływaj na prostor suchogo okieana,  
I w zieleni moj woz nirjażet jak ladja,  
Sriedi zielonych traw i mież cwietał skolzia,  
Minuja ostrowa korallona iz burjana.

Uż sumrak — ni tropi nie widno, ni kurgana;  
Nie ozarit li put' zwiezda, mnie swiet liza?  
Wdali tam obłako, zarnicu-lwiżu ja?  
To swietit Dniestr: wozszla lampada Akkermana.  
Kak ticho! — Pостоim, — Ja słyszu stado meczita;

To żurawli; zraczkom ich sołok nie najdiot.  
Ja słyszu, motylk na trawkie szewielitsa,  
I gruđiu skolzkoiż uż po zieleni polziot.  
Takaja tisz, czto mog by w słuchie otrazitsa  
I zow s Litwy... No niet, — nikto nie pozowiot.

Dzisiaj jeszcze, wracając do tych trzech numerów, jakże często otwieram mickiewiczowski numer, czytając „Akkermanskije stiepi”, porównując je z oryginałem. To są najmiłsze chwile, to sięganie do dawnych wspomnień, egzaltacji, wzruszeń.

Wówczas już, angażując się w pracę konspiracyjną PPR, zastanawiałem się — kim są ludzie redagujący „Kamenu”, jakie jest ideowo-polityczne oblicze twórców zamieszczających swoje wiersze i prozę w tym piśmie? I gdzie rzuciły ich wszystkich losy wojny, okupacji.

W artykule wstępnym (choć drukowany był niezasłabonowo, wewnątrz numeru) pt. „Spojrzenie wstecz”, czerwonym ołówkiem zakreśliłem sobie w tamtych latach takie słowa:

„Rozumiemy dobrze jednak społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościńskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowionym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady nie tylko dla tego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrał swoją rolę, stał się przetrzytkiem, tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopyty świeżych, zdrowych sił proletariatu...”

No tak. Czy mogłem zdziwić się teraz biedowaniu „Kamenu”? Temu, że wychodziła najczęściej staraniem i osobistym finansowym nakładem poety i szlachetnego człowieka — Kazimierza Andrzeja Jaworskiego? Że — mało była czytana? Że nie znalazł „ię ani jeden urzędowy mecenas, który podjąłby się wydawania tego potrzebnego, cennego pisma. Raz tylko lubelski Związek Literatów dał jednorazowo 20-złotowe subsydium na numer mickiewiczowski. Pisali tedy gorzko w owym „Spojrzeniu wstecz” redaktorzy „Kamenu”, do mieszkańców ówczesnego 30-tyśięczonego Chełma:

„...kto tu „Kamenu” prenumeruje i czyta? Bądźmy szczerzy i nie owijajmy sprawy w bawełnę. Kto miejscowej tzn. inteligencji interesuje się „Kamenu” i losom tego pisma? Na liście naszych prenumeratorów nie figuruje ani jeden miejscowy lekarz, ani jeden adwokat, ani jeden farmaceuta, żaden oficer,

nikt z inżynierów, rejentów, komorników, geometrów, urzędników Starostwa, Magistratu, banków itd. Garsć nauczycielstwa i trochę młodzieży szkolnej — oto nasi czytelnicy. Och, inteligencja nasza jest rozbrajająco szczerą. Nie sądzi, by wydawanie pisma literackiego w Chełmie podnosiło to miasto pod względem kulturalnym. Nie stać jej nawet na snobizm. Po prostu stwierdza, że sprawy poruszane w „Kamenu” są jej absolutnie obce i obojętne...”

„Kamenu” nie mogła znaleźć mecenasa w starostwie czy magistracie, bo była pismem postępowym, lewicującym. Bo grupowała poetów, pisarzy — najlepszych patriotów, ludzi dostrzegających społeczną niesprawiedliwość ustroju w Polsce.

Nie wiem, kto w Sosnowcu był czytelnikiem, prenumeratorem „Kamenu”, której trzy numery znalazłem w małym antykwariacie w okupowanym mieście. Ja dzięki niej poznałem poetów rosyjskich, czeskich, ukraińskich, francuskich, polskich. Potem już, po wyzwoleniu, kiedy można było korzystać obiema rękami z ksiązek na półkach licznych księgarń, sięgalem do rosyjskich poetów — Sergiusza Jesienina, Mikołaja Jazykowa, Walerego Briusowa, Antoniego Fieta, Teodora Sologuba, Borysa Pasternaka. W Moskwie kupiłem sobie całego Lermontowa, Puszkina, Lesię Ukrainkę, Mamina-Sybirjaka, Czechowa, Majakowskiego (13 tomów!). Tamte jednak wzruszenia były najsilniejsze. Do dziś utkwil mi w pamięci taki „Wieczór” Jazykowa, wydrukowany w grudniowej „Kamenu” 1935 roku:

Był wieczór, spal już świat; w spokojnej rzeki szkłe nabyły złotem gwiazd lśnil nieba siny sklep,  
i nocy sennej tren ciemnością powleczony przez dywan ciągnął się doliny rozpachnionej; na brzegu skłisztątych wód wśród rozłożystych drzew i łał, i kłaskał wciąż słowika srebrny śpiew.  
I wtedy pośród krzów, schylonych ponad wodą, młodzieniec piękny szedł, a z nim dzieweczyna młoda, i tak się zdało im, wsluchanych w serca szepł, że dla nich wieczór ten słodzącą cichą krzepł, że dla nich złotem gwiazd mrugała wód równina i w biały zawój mgły spowiła się dolina,  
i tylko dla nich tam, wśród rozłożystych drzew i łał, i kłaskał wciąż słowika srebrny śpiew.

„Kamenu” dziś jest pismem stojącym na własnych nogach. Stała się dwutygodnikiem społeczno-kulturalnym, który zasięgiem swego działania ogarnął Lublin, Białystok, Kielce i Rzeszów.

„Kamenu” wciąż młoda — pisaliśmy niedawno w „Magazynie Niedzielnym” kieleckiego „Słowa Ludu”. Dodabym jeszcze: „Kamenu” zachowała swoją „twarz” — którą miała w „zamierzonych”, trzydziestych latach. Jak najbardziej potrzebne jest, aby stała się ona w pełni również kieleckim pismem, znanym tutaj i czytany. Od nas samych tu, w Kielcach, to zależy.

Tadeusz Bartosz

# SMUGA ŚWIATŁA

ZYGMUNT MIKULSKI

nie też WPana, dla którego mam zawsze jednostajny szacunek i afekt.

Stanisław August król

O Imienniku WPana w Gwardii Kor. będącym w podających się wakacjach miał będę pamięć.

Trochę się rozsmakowuję w tych „pierwiastkowych sesjach” i „jednostajnych szacunekach” z racji ich — trudno — stylizacyjnej osobowości, ale pobłażliwość szybko ustępuje miejsca trwdości. Ostatecznie i my będziemy od kogoś o te sto siedemdziesiąt lat starsi, a jeśli narzędziem porozumienia w przyszłości ma być język „Rachunku zachciankowego”, „Owocu z moich piasków”, czy „Autoportretu z bykiem”, jak zapowiada Julian Przyboś... Przepraszą, proszę mnie zdjąć z Pegaza (byka?) przewidywać.

Naczynia z okresu ceramiki sznurowej, monety rzymskie sprzed 2000 lat, zeszyt „Annales UMCS” z pracą o kościach człowieka neolitycznego sprzed 5000 lat znalezionych w Poniatówce. Bliżej naszych czasów kusze, pancerze, miecze. I te „końskie”, na parę rąk, które zawsze przenoszą wyobraźnię w niesprawdzalny, egzotyczny wymiar. Dyrektor chełmskiego muzeum, Kazimierz Janczykowski głośno kibicuje ukazanej historii rzucając tej i tamtej grupce słówko pobudzające smak oglądzin, potem zaproszony przez organizatorów na dobre galluje, długoszuje, jankocznarunku na temat przeszłości Wojsławic. Co to jest zainteresowanie historyczne? Czyba coś z metafizycznej inklinacji do uchwycenia przemian czasu. Znam to, ale w swej historycznej laickości nie nadto podzielam uczucie nakazujące tę psychiczną potrzebę kontentować towarzystwem dat i faktów. Wydaje mi się, że należyć obcuje z duchem temporis perfecti kontemplując ślad kuli na biurku, przy którym w r. 1863 zginął Tytus Wojciechowski (co nie eliminuje uznania z powodu tak swobodnej przechadzki po niedostępnym mi rewirze chronologii).

Tak czy owak, okoliczność jest niecodzienna. Rzucisz spojrzeniem w okno i widzisz te wojsławickie lessy, derby (które podobno miały zatrzymać na stałe rycerza Wojsława z drużyny Leszka Białego), a tu wyodrębniony prostopadłością sal z takim arsenałem historycznych autentyków. Przeszłość w szeptach. Spacer po epokach. Jest jakaś śmieśność w łatwości przejścia od ekspozycji do ekspozycji, między które historia musiała kłaść czasem ładnych parę stuleci.

„Dniowy” motor Wojsławic rozkręca się na dobre. Już nie tak łatwo dryfować między poszczególnymi miejscami imprez, bo ludność przybyło z sąsiednich wsi. Jeżeli Polska jest placem budowy, Wojsławice są teraz placem widowń. Odchodzę w kierunku (trochę dziwne, że tak niewielkiej) wystawy rolniczej i po drodze spotykam parę kwiatków, które nie spawowały z odejściem lata i z determinacją trwają do końca. Pomarańczowe. Jaka to nazwa? Czyba nagietki. Zrywam kilka i sporządzam z nich ostatni w tym roku, skromny bukiet. Rozmiarów peczą strotek, które się wyskubuje z pierwszego wiosennego runa. Kokoszę się z tym trochę za długo ostentacyjnie manifestując przyrodoność na rydlowską modłę, ale usprawiedliwia mnie przecież atmosfera pikniku. Zresztą jest to coś w rodzaju okolicznościowego znaczącego w jednym egzemplarzu.

Osada ulega pewnemu „wynaturzeniu”, jak przeladowany cygański wóz, na którym grubo przekroczone limit ładowności. „Element napływowy” wyraźnie dominuje nad miejscowym i przez swą liczebność odbiera mu nawet prawo gospodarza. Wojsławiczaninem jest jest teraz bardziej oglądając i uczestnicząc w imprezach, aniżeli od dziesiątków lat mieszkając w osadzie. Nie dziwnego. Istnieje Wojsławicę niskich okienek, pochylonych płotów, skrzeczącej szarzyzny dnia powszedniego i Wojsławicę nagłego imprezowego fajerwerku potrząsające przyjeźdnymi zespółami jak Wypiańskiego Bronowice ekiną rydlowskiego wesela. „Tęgo gram, tęgo gram” — chce się słyszeć w tej mieszaninie ciemności, światła, muzyki, pojeździe estradowych desek oddających jak beben echo młodości.

W sali gimnastycznej światło kilkakrotnie gaśnie i dzieci mimo że grają z nut nie przerywają rozpoczętej fra-

zy. Na dalsze taktę czekają do zabłysnięcia żarówek, co ma jakiś efekt humorystyczny: jakby współzależność dźwięku od widoczności („Bez okularów nie slyszę” — Majakowski).

Rynek następnego dnia to spotkanie byłych wojsławiczan z wojsławiczanami obecnymi. Dzień jakiś czysty, jakby ogolony na tę uroczystość. Odświętności dodają i przybysze, którzy ścignęli w strony rodzinne tym razem z nierodzinnych powodów. No, wiadomo, że to się zwykle urządzi według „jubileuszowego” klucza i że „rodowa” дума osady chce się wylegitymować parantelami najznakomitszymi, jednak zdumiewa trochę i ta mimo upływu znacznego czasu solidarność z „macierzą” i — przede wszystkim — ten inny, typowo nie wiejski zarys indywidualności. Czy chciałbym tu słyszeć o samych burakach, pszenicy i eternicie? Nie, ale można być zaskoczonym tą inną tonacją, innym „emploi” osobowości, gałką utoczoną jakby z innego warsztatu. To chyba najlepszy wykładnik tych lat dwudziestu dodanych do historycznej pięćsetki. „Jutro” Wojsławic nie zamyka się w obrębie osady, rzutuje na ogólnospołeczną płaszczyznę przemian, jakie zwykłyśmy łączyć z przymiottnikiem Ludowa.

To ci, dla których powrót na wieś odbywać się może tylko w formie do-różnej wizyty. Nie dlatego, żeby od wsi stronić, ale dlatego, że zakorzeni- nilli się w nowym życiu zbyt mocno. Powtórne przeplacowanie może się nie udać. Co innego młoda rozsada wysyłana na naukę do miast dla pokrycia zapotrzebowania na agronomów i zootechników. Ale zawsze „kraj lat dziecińczych...” Dlatego spotkanie ma coś z koleżeńkiego zjazdu z niezmordowanym refrenem: „a pamiętasz...?”

Także ta gładkość, sprawność słowa. Może dobrali samych mówców, może oratorskie zdolności wyzwała okoliczność takiego spotkania, dość że zmysł wrażliwego słuchacza sam się naprasza z cenzurką. Szczególnie ta satysfakcja, kiedy umiejętność Ładosza, czy Przybyskiego daje się skonstatować tu, w „takiej sobie” wiosce. Ten efekt jest zawsze dobitny. Spodziewasz się jakiegoś językowego samodzięła, użytkowania mowy na etapie rzetelnego, ale swojskiego rękodzięła, a tu — nie tylko ci zaproszeni — wyjeżdżają w najlepsze z długim, a nie poplątanym okresem, celnym słówkiem schwytanym w rytmie zdania, metaforą znaczącą powyżej swej treści semantycznej. Powtórzmy: w takiej odległości od „centrów kulturalnych”, od „osrodków fermentu”, od „wielkomięjskiego promieniowania”. Okazuje się, że warszawa jest nie tylko w Warszawie.

To i dobrze się siedzi w tej sali. Ta sama, w której wczoraj dzieci grały na mandolinach i przypadkowo w ciucubabkę z żarówkami. Teraz słonce wchodzi przez wszystkie okna pewne zawsze chętnego przyjęcia. Myślę: jak często Wojsławicę (miejscowość jako reprezentacyjna przeciętna) mają podobny jubel na uroczniczenie prowincjonalnej szarzyzny? Ile Dni w dniach? Ale — nie siedzę tu miesiącami, żeby zyskać wystarczającą orientację, a statystyka nie powie niczego. Jest tylko pewne, że dziś się odbywa wielkie „rozgrzeszenie z prowincji”, a jutro nie obejdzie się bez ponowienia startów w „socjologiczny awans”. Trzeba nie znać specyfik i wyczulenia wiejskiej społeczności, by przypuszczać, że obecna „zaszłość” zapadnie głuchą kartą w kronice osady. Ze nie wytworzy łańcuchowej reakcji zamiarów i przedsięwzięć.

W osadzie trwa ciągła migracja obecnych oderwanych teraz od wszystkiego, co nie jest planszą, dźwiękiem, widownią. Jarmark atrakcji, karuzela z imiennami. W Wojsławicach odkryto żyłę zabawy i eksploatuje się ją rozrzutnie, w pośpiechu, w wielkim tłumie skupionym tu nie przez bodźce gospodarce. Od orki, od koni, od ciągłej krzątaniny w obojętnej przepustka na pięćsetdwudziestolecie dni-nizje. Jakiś wielki przerzut ku treściom „wyższego rzędu” przyjmowanym trochę na sposób oświecenia high life'm na hollywoodzkim filmie. To znaczy z przyjemnością percepcji i przekonaniem o nieatrwalności zajęcia jako reguły na co dzień. Tym bardziej więc okazja każe nachwytać się tych fajerwerków.

Nie dziwnego: chmury. Czyli już sama naturalna sceneria. Estrada na otwartym powietrzu, nad nią wieczor-

ne niebo, nocne niebo, oświecenne niebo. Widziałem kiedyś „Lilję Wenodę” w plenerze i ciemny przetrwot niebieski, ta przepaść wzniosła, jednakożo współgrała z ludzkim efektem dzieła. Tu przecież nie tragedia, a jednak to skłębienie w górze wcale nie dyszarmonizuje z charakterem wólowskiego. Przeciwnie: tworzy wspaniałego kontrast. Reflektory wydobywają sylwetki tancerek i nadają im wygląd postaci „w bieli szat” napół zjawiskowych, napół wywołanych przemożnym imperatywem życia. Czuje się młodość. Nie tę od niewielu lat. Tę od ciągłego zaczynania, ciągłej gotowości, nieustannego nurtu idącego wbrew nawet takim potęgom, jak owa ciemna ostateczność w górze.

Tańczy Zespół Ziemi Lubelskiej. Ostatni punkt programu, ale za to w obrębie estradowej przepłatkanki trwający prawie od rana. Dzięki temu wcale nie doznaje się przykrego uczucia.

(Dokończenie na str. 19)

## STEFAN WOLSKI KLUCZ

Cóż jeszcze dodać do tej ciemnej kropli  
i jakim kluczem złamać  
krąg czyniony z pustki?...  
I kiedy w środku, jak iskra z soczewki  
ty z dźwignią blagi,  
tamten z parabellum  
albo ze stenum  
a dzisiaj z polaris...  
Cóż jeszcze dodać  
i jak wytłumaczyć?

A przecież kropla i kropla do kropli:  
czas...  
W ostrym nurcie  
rzucisz jeszcze życie,  
to blade jutro nieznanie nikomu:  
tyle miliardów, ile w sumie głosów...  
I on, oblrzymi...  
I swój chór już strol  
w sciszone zgrzyty  
i w podniebne grzyby.

Ach, ty zaklęty królewicu z bajki,  
i ty, królewno...  
Gdzieście się zgubili,  
jak z dźwigni blagi?...  
Tamten już z polaris.  
I zanim noc was pochłonie i ściemni,  
noc osobista, intymna, ostatnia,  
on może wydrzeć wam, wylupić życie.

Gorzy smak słowa...  
antycyfiteor...  
Wokoło niego wrzawę czynią młodzi,  
ci, gołowi, pryszczaci i smutni,  
i ci, brodaści, którzy już wypili  
wielki dzban złudzeń  
i już splodzili belkotliwe hymny  
albo obrazy pijanego świata:  
kiermasz nonsensów,  
musujący klekot.

W coś trzeba wierzyć,  
lecz w coś trzeba wierzyć!  
To ich ojeowie drogami na Berlin...  
i mieli wiary pełne magazynki.  
I nawet tamci, z Warszawskiego  
sierpnia...  
kiedy was jeszcze nie było  
w metrykach

Jak zboże w suszy,  
jak ziemia bez wody...  
I cóż...  
mizerne i spalone skwarem.  
A czym zapłodnią nam idące jutro?  
Tej ziemi twistem, gorzalką i kawa  
nie wzniesiesz wyżej,  
słońcem nie napolisz  
i słodkiej bulki nie okraszisz masłem.

Więc pytaj teraz,  
kim jest ów oblrzymi,  
co chór już strol w nuklearne tony.  
Kwiat także wierzy,  
i promień słoneczny  
od wiewów ciepłe mu podaje usta.  
I ptak, gdy skrzydła rozwiera nad  
gniazdem  
i dziób obraca, skąd idzie zniszczenie.  
Och, zagubieni, smutni królewice,  
i wy, królewny, pięknie malowane,  
gdzieście zgubili wasze jędrne życie,  
wasze strzeliście, smagle ideały,  
i wasze księżki,  
wasze madre księgi!...

Cóż jeszcze dodać  
i jak wytłumaczyć czas w ostrym nurcie  
gdy cieknie przez palce?

W coś trzeba wierzyć...  
lecz w was trzeba wierzyć.

S IADAMY przekazani dolinie wzgórzem. I znów nas podejmuje nowo. Teren jest tak ukształtowany, że do Wojsławic wlezie nas jakby siła topograficznego przyciągania. Zanim się ukaże osada, czuje się ją intuicją, zmysłem przestrzeni, jak bliskość morza.

„320 lat Wojsławic”. Dlaczego pięćset dwadzieścia? Pomyślane „z cyrklem i fajerwerkim”. Ze niby pół tysiąclecia należy historii, a dwadzieścia lat do towarzystwa powojennej terażniejszości.

„Cyrk i fajerwerk” widoczne są również w scenografii. I to już na wstępie, ponieważ napisy na słupach witają gości na długie wiorsty przed osiedlem. Jeśli by sądzić o rozmiarach ludzkiego skupiska na podstawie odległości, na jaką odrzucilo oznajmiające je sygnały, Wojsławice należałoby uznać za równorzędne Warszawie. Emblematy na słupach oprócz powitalnych inskrypcji zawierają ornamenty herbowe, wśród których na naczelnym miejscu wysuwa się głowa... osiołka. Bravo za śmiałość.

Jeszcze nie wyjeżdżajmy. Niech oczekiwanie nie stanie się spełnieniem. Wiatr — chyba zamówiony na tę okazję — czyni honory domu przejawsz nas na tych imprezowych rogatkach i pokazuje wszystko od początku: od ukształtowania okolicy. Czoło samochodu, jak obiektyw kamery, staje przed coraz innym widokiem.

Ale w samej osadzie wiatr staje się partnerem zbyt wymagającym. Prawda, że uroczystość jest szczególna i nie spokój codzienności będzie tu atmosferą, ale nie dostosowały się do wymagań chwili termiczne potrzeby ciała ludzkiego. Marzną i przez to czują się trochę niepełnoprawnym gościem.

Zaangażowany wiatr okazał nadgorliwość i wobec gospodarzy. Część tych słupów leży. Bardzo ładne i nieschematyczne są kolory flag umocowanych na słupach jeszcze stojących. Mają w sobie jakąś samorodność ludowej ornamentacji. Pisanka, zapaska łowicka... Nie spotkałem opisów folkloru, w których etnograficzna dokładność szlaby w parze z sugestywnym przekazem walorów estetycznych. Taki opis musiałby być z kolei magisterską pisaną.

Ludzi sporo. Te niecałe 2000 mieszkańców chyba in gaemio — oczywiście licząc tylko „produkcyjną” część ludności — uczestniczy w swych „Dniach”. („Raz na pięćset dwadzieścia lat...” — usłyszałem na uwagę o niezbyt ciepłym ubraniu się kogoś z widzów). Obiepiają coraz inne miejsca osady w zależności od tego, gdzie w danej chwili coś się odbywa. Wizualny przewodnik po imprezach.

Do szkoły świeżo położony chodnik i wysypana piachem droga. Surowość powietrza i surowość traktu. Idzie się pod górę i mija wież strażacką. Szkoła trochę w splendide isolation od codziennego, gospodarskiego życia osady (aczkolwiek jej personel nauczycielski jak rzadko gdzie angażuje się poza murami sal lekcyjnych). Nic dziwnego: znajduje się na miejscu dawnego zamku właścicieli Wojsławic, hrabiów Potetyłów, którzy od r. 1793 władali tym obszarem. Ba, Czy „Rzeczpospolita Babińska” była jedynym przykładem możnowładczych skłonności polskiej szlachty na historycznej Lubelszczyźnie? Oto dokumentic sporządzony w sensie niezamierzenie humorystycznym, a zawierający zestawienie zbiorów w dobrach Wojsławic z r. 1829. Tytuł: „Zboże w snopie w Państwie Wojsławickim”.

Dokumenty, dokumenty. Poziomo leżące gablotki zajmują środek sali z wystawą historyczną i oszkloną płaszczyzną przyciągającą nosy ciekawych. Rynienki z ziarnem wiedzy dziobanym przez przegodnych adeptów muzy Klio. Pochyliam się i trafiam na własnoręczny podpis króla. A także na piśmownie „z juwenaliów”:

9 martii 1790

Mości Panie Kasztelanie Chełmski! Na list WPana 2-go marca z Chelma pisany tym chętniej odpowiadam, iż w nim widzę nie tylko chwalebna zyczliwość y pilną pracowitość WPana, ale oraz rostrópne w pierwiastkowych Sessjach Komisji Cywilno-Wojskowej zarządzenie tym niesnaskom, któreby za sobą mogły pociągnąć między Gronem Komisarzow nieukontentowania y przykrość. Te wszystkie zarządzenia y zalutwienia, o których mi WPan donosisz, niemogę tylko pochwalić, również jak rozkład Komisarzow na komplety. Wszystko to moy Kasztelanie dowodzi mi jak umieć chwalebnie dopełniać obowiązków swoich dla Ojczyzny; dla której, gdy kto z obywatelów dobrze czyni, nie tylko mi istotne przynosi ukontentowanie, ale daie powod oświadczenia mu moiej uprzejmości, a partykular-

# WIERSZE POETÓW RZESZOWSKICH

ZDZISŁAW OSTROWSKI

## Wigilijnie

Otwarty talerz z pudrowaną rybą  
w niedosyt bieli ząbkują dziasta  
skupienie wsparte o garbaty cień  
nadziewanego na widelec dzwonka  
Odruchy żrenie potykają rżęsy  
wprawdzie wytarte od bezsennych  
nocy  
w obszarach płót na wzniesieniach  
poduch  
kiedy to rybę zaciska się w pięści  
aby uchylili drzwi od zejścia w wodę  
Tu rytualne zanikanie w dół  
tężenie szyi z samosądem świecy  
podziały misek z drylowaniem ości  
pod ruchem palców które mogły  
dojrzać  
Kiedy nadejdzie zza okna skrót czerni  
zgniotą szczękami swoją Rybę.

WIESŁAW KULIKOWSKI

## Wieczór w Rudniku

Wiatr poczerpniał  
nad domami  
— Okna stały się pustym polem,  
przygarbiły się cienie starych sadów.  
Poplątały się ullice, wyplecione  
[z wikliny  
na krzyż  
i w poprzek.  
— Szukał na nich siebie człowiek.

Uciechło miasteczko  
jak wiklinowy dzwon  
na dnie Sanu.

BARBARA TONDOS

## Z Bieszczadów

wiatr zapomniane chustki szarpie  
dary bogom  
za śmierć  
za życie  
w misce grzyba łapami wsparta  
mysz  
wodę pije  
za drzwiami skrzypiącymi  
brązowo  
dręwniano

tu jest czas pamiętania  
świętych  
o twarzach srebrnych  
przezroczytych aniołów —  
czerwień  
ze słońca ciepło czerpie  
zieleni szat malowanych  
cisza  
otula  
cerkiewkę

STANISŁAW RYSZARD  
KORTYKA

## Zasłuchanie

śpiewaj mi śpiewaj  
klekotliwy wozie  
niech twoich czterowirów migotliwe  
kregi  
toczą się w ciszę polnego skupienia

śpiewaj mi śpiewaj  
bursztynowy ianie

niebo tak wysoko rysują jastrzębie

śpiewaj mi śpiewaj  
wiklinowy gąszczu

pakulami wiatr zaścielił sianokosów  
błękit

chcę z podwórza  
pochwyć  
choć ostatnią strofkę

może gdzieś głos dziecka  
przeleci skroś różowych obłoków  
baldachim

może z kurzem  
osiądzie  
trzepoczący powiew

KRYSTYNA  
SZYMONOWICZ

## Dolina w Rajskim

Janowi Grygielowi

Rajska dolina  
Sanu przesiekło zielona

pachniesz wciąż w mojej pamięci  
bukietem zmieszanych woni:  
 płamą tęczową u stóp sennego  
 kiwona  
(kolysze się jak ptaszek z wystaw  
 zegarmistrzów  
 dziobiących wodę w szklance)

i goryczą gałązki olejowej farbującej  
 ochrą  
 łuską rybią zawiewasz oślizgłą  
 i mokrą

i słodkim lenistwem poziomek  
dojrzewających na rudej polance.

## TADEUSZ PIEKŁO Niknące

weląz bliżej  
z niskich nieb powietrza  
opada jasny ptak ujrzenia

wieczór przerdzewiał  
cieknie sepią  
w wędnący fiolecie  
w plamy cienia

owoce sekund  
dławia gardło

a cisza śmierć ich trzykroć dzwoni

zmierzch  
o szept więcej

chore światło  
błagalnie wznosi prośbę dłoni

## Stary człowiek i wieś

WOJCIECH  
JANKOWERNY

MAM pisać o człowieku, o jego  
wszechstronnych zainteresowa-  
niach, o działalności rzućkiej i  
impulsywnej, która nie tylko wslawi-  
ła jego imię, ale także niewielkiej ma-  
zurskiej wsi, Starym Juchom, dodała  
rangi i znaczenia. Rozmawiając z tym  
siwym już człowiekiem doznawałem  
dziwnego uczucia. Cały czas widzia-  
łem odrębną jednostkę wyróżniającą  
się spośród 1200 mieszkańców. A jed-  
nak powstał ten człowiek wielokrotnie  
rozpyłała się, ginęła, ustępując miej-  
sca poczynaniom całej wsi, jej życiu  
i problemom.

Stąd dylemat: czy pisać tylko o Ka-  
weckim i tych jego przedsięwzięciach,  
które wyraźnie przez niego były in-  
spirowane i realizowane, czy ukazać  
wszystkie osiągnięcia mieszkańców?  
Ograniczenie się do pierwszej możli-  
wości nie oddałoby w pełni zasług czło-  
wieka, którego celem życiowym jest  
wyzwalanie inicjatyw miejscowej lud-  
ności, dążenie do podnoszenia jej po-  
ziomu kulturalnego i standardu życia.  
Lojalnie więc uprzedzam  
czytelnika, że czasem zniknąć może on,  
by tym wymowniej stopić się w jedno  
z tym, do czego dąży, co chce osią-  
gnąć.

Kiedy Kaweckie zakładał tu swój uni-  
wersytet ludowy w r. 1947, Stare Ju-  
chy przedstawiały istną wieżę Babel.  
Oprócz tubyliczej ludności — Mazu-  
rów — przeważnie starców i dzieci,  
zastał całą gamę wszelakiej zbieraniny.  
To osiedleńcy. Zajęli nadszarpnię-  
te szabrami gospodarstwa. Nie znali się.  
Każda rodzina żyła oddzielnie. Do  
Starych Juch napływali ludzie nie tyl-  
ko z różnych wsi, ale i z różnych czę-  
ści kraju. Tymczasowością ciężyla nad  
wszystkim. Pierwszym osiedleńcem,  
który świadomie związał na stałe swój  
los z Juchami, był właśnie Kaweckie.  
Początkowy okres przyniósł mu trochę

JOZEF KURYLAK

## Moja zielen

Jej imion  
Nie trzeba słuchać uchem sierpna  
Tętniąca katarakta  
Wzbięła śpiewem świtu  
Zieleni ptaków  
I dzieci  
Księżyców i zatok  
Do moich stóp podchodził  
Do dłoni  
I włosów

Tak obecna przepływa  
Przez czerwone światło  
Lściem w który patrzyły żrenice  
[Ravela

Tak dzika  
Ze zarasia  
Krzykliwą bujnością  
Rudy pędził Cézanne'a  
I ucho Van Gogha

Jest to zielen powszechna  
Dostępna żrenicom  
Zdźbia  
Kamienia  
Kuglarza  
Pod pulapem śmiechu  
A ja  
Gwiazdami wraca  
Oślepiła gałązka  
Mam zieleni której nigdy nie mogę  
[zapomnieć

To zielen Nagasaki  
Hirozmy zieleni  
Pełna krzyku  
Rąk pełna  
Ciemności i ognia  
To zieleni krwią nagrzana  
Upalna  
Jak lato  
Która co noc mnie dusi  
Którą widzę co dnia

upokorzenia i drwin. Kiedy remonto-  
wał niewielki domek, kiedy na przy-  
legającym do niego pustym placu sad-  
ził drzewa owocowe i kwiaty, kwitno-  
wano jego wysiłki znaczącym ruchem  
ręki koło czoła. Nie zrażał się. Wiedział,  
że z czasem we wsi przestaną wzru-  
szać ramionami. Dziś wspomina tamte  
czasy jak mrzonkę. Mieszkańcy Sta-  
rych Juch zmienili się nie do pozna-  
nia. On sam cieszy się zaufaniem i sza-  
cunkiem. Na ulicy kłaniają mu się  
wszyscy od dzieci do starców z usza-  
nowaniem, ale on w swej prostocie  
stara się zawsze uprzedzić pozdrowie-  
nie.

Uniwersytet istniał w Juchach do  
roku 1952. Szkolono w nim na 6—9-  
miesięcznych kursach młodzież z ca-  
łego województwa białostockiego. Jego  
kierownik wyznaczył uniwersytetowi  
podwójną rolę. Miał on z jednej stro-  
ny szkolić działaczy kulturalnych, z  
drugiej zaś przyczynić się do repolo-  
nizacji Starych Juch i integracji spo-  
łecznej jego mieszkańców. Obydwa za-  
dania spełnił znakomicie. Do dziś w  
wielu wsiach białostockich działają  
uczniowie Kaweckiego. Istnienie uni-  
wersytetu rozbudziło zainteresowania  
kulturalne wśród mieszkańców Juch i  
dopomogło im w przewyżczeniu róż-  
nic oraz uczucia tymczasowości. Wieś  
stała się ośrodkiem szkoleniowym wie-  
lu organizacji. Mieszkańcy zaczęli  
myśleć innymi, szerszymi kategoriami.  
Potrzeby rozdziły się jedna po drugiej.  
A że nie oglądano się na nikogo, w  
czym bezsprzecznie zasługa Kaweckie-  
go, zaspokajano je własną zaradnością.

Stare Juchy zasłynęły nie tylko w  
powiecie, ale i w województwie. Dziś  
już można mówić o popularności w  
całej Polsce tej wśród jezior poło-  
żonej, schludnej i gospodarnej wsi.  
Tu, w Juchach, odbyła się pierw-  
sza wyjazdowa sesja białostockiej  
WRN — wydarzenie z pewnością do-  
niosłe. Tu otwarto swego czasu pierw-  
szą w województwie bibliotekę gromad-  
zka, która zdobyła sobie wiernych  
czytelników. Niespokojny duch Ka-  
weckiego nie ustawał w poszukiwa-  
niach. Wymyślał coraz to nowe spra-  
wy. Podszepetywał ludziom, namal-  
wał władze. A że dawno już minęły  
czasy, kiedy się z niego podśmiewano,  
myśli i inicjatywy jego szybko i chę-  
tnie podejmowano.

Powstała więc w Starych Juchach  
dobrze pracująca świetlica, założono  
stałe kino, które dosyć często gości  
również przyjeżdżające do wsi teatry.  
Ostatnio otwarto schludną i estetycz-  
ną klubokawiarnię młodzieżową, gdzie  
przy kawie, melodiach z płyt, prasie,  
na pogwarkach chętnie przesiadują  
nie tylko młodzi, ale i starsi mieszkańcy.  
Młodzież czynem społecznym wykona-  
ła fundamenty pod budujący się pa-  
wilonu Domu Książki. W przyszłości za-  
mierza ją mieszkańcy Starych Juch wy-  
stawić wiejski dom kultury.

WOJCIECH KAWIŃSKI

Mój sen nie śpiewa  
jeszcze ciemności  
i nie przepływa przez niego  
liś twojej twarzy

ciepły strumień czasu  
stoi przy żrenicy nieruchomo

słońce północy  
mierzy  
swoim słabym  
lecz zjadliwym promieniem

nad morzem  
pod szarym przypliwem drzew  
uderza serec  
i wysycha cierpliwie  
w ciele zamkniętym  
jasna krew  
potwierza i soli

Kaweckie zorganizował w Juchach  
jedyne w województwie, a może na-  
wet w kraju, wiejskie ognisko mu-  
zyczne. W ciągu 10 lat istnienia prze-  
szkoliło ono ponad 400 uczniów. Nie  
wszyscy co prawda są muzykami.  
Zresztą nie o to chodzi. Wszyscy na-  
tomiasz potrafią grać choćby dla  
własnej przyjemności i są obcy z kul-  
turą muzyczną.

Ciekawe, że kilku młodych Mazu-  
rów, którzy wyjechali z Polski, w li-  
stach wspomina ognisko. Nie pozba-  
wione jest to znamiennej wymowy.

Nie sposób pominąć też historycz-  
nych i etnograficznych zainteresowań  
Kaweckiego, którym poświęca on wie-  
le czasu i energii. Stały się one jego  
pasją. Nieustrudzony zbieracz w pokoi-  
ku na strychu zgromadził pokaźną bi-  
bliotekę o tematyce mazurskiej. Od  
pierwszego dnia pobytu we wsi spisu-  
je też kronikę wydarzeń. Ten bo-  
gaty materiał umożliwił mu prowadze-  
nie prac nad historią regionu. Znalazł  
wiele dowodów świadczących o pol-  
skości tych ziem i ich mieszkańców.  
Wśród nich natknął się na znamioną  
ciekawostkę. Z papierów gestapo do-  
wiedział się o pobycie w sąsiedniej wsi  
Niemki z Berlina, która mieszkając  
wśród Mazurów mówiących językiem  
niemieckim obawiała się o swe bezpie-  
czeństwo. Prosiła ona gestapo o opie-  
kę, „bo tu wszędzie mieszkają sami  
Polacy”.

Kaweckie napisał trzy prace historycz-  
ne. Monografię Starych Juch, historię  
szkoły tej miejscowości oraz historię  
powiatu. Żadna z nich (a szkoda to dla  
regionu) nie ukazała się jeszcze dru-  
kiem. Ostatnio pracuje nad dziejami  
szkolnictwa w powiecie elckim. Docie-  
kania historyczne pozwoliły mu udo-  
wodnić, że w 1961 r. minęło 500-lecie  
istnienia wsi. To ważne odkrycie stało  
się nie tylko okazją do urządzenia ob-  
chodów, ale także podjętą do kon-  
kretnej działalności. Z okazji pięćset-  
lecia wybudowano nową szkołę, zało-  
żono we wsi chodniki, urządzono pięk-  
ny skwer i doprowadzono do por-  
ządku obejścia odnawiając budynki i  
zakładając płoty.

Historyczna pasja Kaweckiego po-  
zwala mu wygłaszać ciekawe i pozy-  
teczne prelekcje o regionie. W zbiorach  
swych zgromadził wiele pieśni mazur-  
skich. Część z nich opublikował w  
„Literaturze Ludowej”, a około 500  
melodii przesłał do Państwowego In-  
stitutu Sztuki.

Oprócz przynależności do ZSL i ZNP  
Kaweckie (od 42 lat jest nauczycielem)  
działa w Towarzystwie Rozwoju Ziemi  
Zachodniej, Naukowym Towarzystwie  
Białostockim oraz Towarzystwie Miłoś-  
ników Ziemi Elckiej, którego był  
współzałożycielem. Towarzystwo to nie  
zawęża swej działalności do badań hi-  
storycznych, ale równocześnie dba o  
rozwój gospodarczy i kulturalny po-  
wiatu.

Regionalistyczne zacięcie Kaweckie-  
go przejawia się również w jego „pry-  
watnym” hobby — malarstwie prawie  
w całości poświęconym najbliższym  
okolikom.

Ten obrótny człowiek zasiadał w Wo-  
jewódzkiej Komisji Oświaty i Kultury.  
Obecnie piastuje godność radnego Po-  
wiatowej Rady Narodowej. Wysiłki  
jego doceniono nie tylko w Starych  
Juchach, nie tylko w Elku i nie tylko  
w województwie. W 1959 r. odznaczo-  
ny został Krzyżem Kawalerskim Orde-  
ru Odrodzenia Polski, a później odzna-  
kami: złotą ZNP, zasłużonego działa-  
cza kultury i zasłużonego działacza  
TRZZ.

Jeden człowiek. Aż dziw, że tyle po-  
trafił dokonać. Bo na jego konto na-  
leży jeszcze wpisać ośrodek zdrowia  
oraz niemal wszystkie istniejące we

(Dokończenie na str. 14)

czasu. Motorem wprawiającym w ruch maszynę był hosjanin Michał, bas w chorze cerkiewnym, sune cniopisko, któremu jednak pot spływał z twarzy przy tej czynności. On też czasem siał dar caciunki, sie woiaiem, gdy to robił sympatyczny Goldman albo dorywczo pracujący w drukarni Szapiro, którego zenek\* ochrzcił „szapirografem”. Obaj Żydzi byli inteligentniejsi od Rosjanina i lepiej od niego orientowali się w polszczyźnie, toteż mniej robili błędów przy składaniu, nie mieliśmy maszyny do pisania i czerzy musieli się biedzić nad rękopisami. A my z kolei nad korektą „szcotek”, którą przeprowadzaliśmy kilkakrotnie.

Uroczysty dzień, w którym odbywało się drukowanie „Kameny”, gromadził w ciasnym przejściu między maszyną a pulpitemi oprócz kręcącego korbą Michała — Zenka i mnie, pilnie czuwających nad pracą, Goldmana lub Szapiro, a czasem i któregoś z Bronfeldów. Co kilkanaście arkuszy przekrzykiwaliśmy hasła maszynę wołając: stop! i Michał przerywał pracę, a myśmy brali do ręki kolejny arkusz uważnie patrząc, czy odbicie nie jest za mocne lub za blade i czy któraś z części nie jest zanieczyszczona; czasem w ostatniej chwili dostrzegaliśmy jakiś przeoczony błąd korektorski. Gdy znaleźliśmy defekt, czerzy usuwali go przez odpowiednie zabiegi, po czym Michał ruszał dalej. Procedura ta w czasie obustronnego drukowania arkuszy powtarzała się wielokrotnie. Stałiśmy tak przy maszynie do późnego nierzaz wieczora, ale dzięki cierpliwości naszej i drukarzy otrzymywaliśmy jednak w tych prymitywnych warunkach coraz lepsze rezultaty. Podkreślić tu należy wyjątkową uprzejmość zarówno właścicieli drukarni, którzy nam pozwalali tak gospodarować w lokalu, jak i czerów-maszynistów, którzy żadnym słowem nie wyrażali nam swego niezadowolenia, że przysparzamy im pracy. Okładki i linoryty pod czujnym okiem Zenka odbijano na amerykańce. Potem jeszcze falcowanie i intrroligatornia.

Po otrzymaniu kompletu gotowej już „Kameny” wkładaliśmy numery do specjalnych kopert z nadrukiem naszej firmy, wpisywaliśmy na nich adresy (zazwyczaj robił to Waśniewski swym pięknym kaligraficznym charakterem pisma), po czym zamienialiśmy się w gońców redakcyjnych i zanosiliśmy to wszystko na pocztę: były to egzemplarze dla prenumeratorów, zamiejscowych kolporterów, gratisowe i zamienne. Pewną część nakładu zatrzymywaliśmy dla Chełma: do nabycia w kiosku i rozprzedawcy wśród kolegów w szkole (udziałowcy otrzymywali „Kamenę” bezpłatnie). Cena zeszytu wynosiła 50 groszy.

Zastanawialiśmy się nad tym, czy pierwszy numer „Kameny” zaopatrzyć w słowo wstępne od redakcji, które zawierałoby program pisma. „Skamander” chytrze zaczynał od zdania: „Nie występujemy z programem”, by na trzech stronach wyrazić jednak swe credo poetyckie. „Ponowa” — „myszką i gryzbem rozkładu cuchnącemu inteligentowi polskiemu” i ludowi polskiemu „zastuchanemu w błędne głosy — pogłosy rozbrzmiewającej wichrami po polach złotej harfy Wenedów” — zwiastowała „PONOWE”. „Czartak” twierdził, że „manifesty, programy, bezprogramowość, gigantyczne recitale, hasła, hejnały, tromtadryzmy, fidrygalizmy — wszystko to obmierza do cna”, „o przyszłości nie rozstrzygał”, „ślubował życiu” i wzywał „braci wielkiej PRACY”, aby się zbudziło. „Reflektor” (w pierwszej deklaracji) buńczucznie „przekreślał spuściznę duchową Słowackiego”, a w drugiej zapowiadał „świadomy eklektyzm” z orientacją na „człowieka współczesnego, tj. człowieka żyjącego w mieście pośród nowoczesnej techniki i w nowym układzie społecznym, a u nas w Polsce, nawet i przede wszystkim politycznym”.

Nie, nie chcieliśmy ani mętnej grandflokwencji, ani szumnej deklaracji: obawialiśmy się słów bez pokrycia. Niech nowe pismo mówi samo za siebie. „Kamena” zresztą nie będzie reprezentowała żadnej grupy poetyckiej, żadnej szkoły. To nie znaczy, żeby redakcja nie miała programu, lecz niech się on wyłoni z zawartości miesięcznika.

Alle zamykała rok pierwszy wydawnictwa i nieśako podsumowując dotychczasową pracę w końcowym artykule „Spojrzenie wstecz” zamieszczonym w numerze 10. Pisałem m. in.:

„Rozpracowując nasze wydawnictwo nie poprzedziliśmy go, jak to jest we

zwyczaj, żadnym słowem wstępnym, żadnym credo mieszającym w sobie program pracy. Uczyniliśmy to świadomie. Nie chcieliśmy powtarzać szumnych frazesów o sztuce przez wielkie S, o nieśmiertelności piękna, o stogunku poezji do szeregu zagadnień, jakimi nabrzmiwa dzień dzisiejszy. Wiedzieliśmy, że abyśmy mogli wyżyć, jak wykoszławia najwznioślejsze hasła, jak z dumnych sztandarów zostają strzępy kolorowych galganków. Nie chcieliśmy więc wyprzedzać faktów i czekaliśmy, by wypowiedzieć się później, gdy pierwszą część pracy mieć już będziemy za sobą. Nie znaczy to jednak, byśmy nie mieli pewnej wytycznej postępowania, pewnych norm, którymi kierowaliśmy się w swej drodze dotychczasowej. O nich dzisiaj chcemy pomówić, by zestawiliśmy to, czego się chcieliśmy, z tym, co się osiągnęło, ostrzec się błędów na przyszłość.

Wystarczy przejrzeć nazwiska pisarzy, których utwory znalazły się w pierwszym roczniku „Kameny”, aby stwierdzić, że rekrutują się oni w przeważającej większości z tak zwanej

blizszych naszych sąsiadów — czeską, słowacką i rosyjską. Nie uwzględniłiśmy dotychczas twórczości jugosłowiańskiej: chorwackiej, serbskiej i słoweńskiej oraz białoruskiej. Braki te uzupełnimy w roku przyszłym: I numer rocznika drugiego „Kameny” będzie poświęcony poezji jugosłowiańskiej. Koroną naszej tegorocznej akcji zmierzającej do zbliżenia kulturalnego narodów słowiańskich jest obecny numer mickiewiczowski (...). W przyszłym roku projektujemy wydanie specjalnego numeru tatrzańskiego, zredagowanego wspólnie z literatami słowackimi (...).

A więc: umiarkowany awangardyzm, lewicowość społeczna i polityczna oraz kulturalny słowianofilizm — to trzy zasady, na których opierała się „Kamera”. O ile drugiej i trzeciej pozostała przez cały czas wierna, o tyle awangardyzm ustępował nieraz eklektyzmowi.

Startowaliśmy w pierwszym tygodniu września 1933 r. Zielona okładka w symbolicznym kolorze nadziei okrywała optymizm towarzyszący realizacji naszych zamierzeń. W numerze znalazły się wiersze poetów lubelskich: Franciszki Arnsztajnowej, która otwierała zeszyt utworem „Na Olejnej”, Józefa Czechowicza, moje i Antoniego Madeja, wydrukowane w porządku alfabetycznym tak, jak to tutaj podaję. Zresztą Arnsztajnowa byłaby zawsze pierwsza, choćby jej nazwisko zaczynało się od litery Z: seniorka poezji lubelskiej, debiutująca jeszcze w dobie Młodej Polski, autorka nowych, wcale nie passeistycznych wierszy o Lublinie, mimo różnicy wieku obcująca blisko ze swymi znacznie młodszymi kolegami, stanowiła jakby ogniwo „między dawnymi a młodszymi laty”. W numerze znalazły się także przekłady z poezji francuskiej: „Ostrokoły” Apollinaire’a w tłumaczeniu Czechowicza i „Zapach twojej sukienki” zwabia wszystkie pszczoły” Fr. Mauriaca — w moim. Czechowicz zasilił również dział słowiański spolszczeniem wdzięcznego liryku poety czeskiego Mili Bureša. Prócz tego Madej dał przekłady trzech wierszy Jarosława Zlatoukala oraz wiele informacji dotyczących ruchu wydawniczego w Czechosłowacji do kroniki słowiańskiej, w której ja z kolei wspominałem o tragicznej śmierci Mikołaja Chwyłowaja.

Prozę literacką reprezentowała złośliwa diatriba „Siup dymu” piętnująca pamiętne majowe autodafę na Placu Opery w Berlinie, kiedy to na stosie wzniesionym przez hitlerowców spłonęły arcydzieła literatury światowej. Podpisałem ten pamfletik pseudonimem Flamen, który sobie obrałem dla posługiwania się nim w projektowanych wypadkach tego rodzaju przeciw faszyzmowi. Podobał mi się i znacznie — kaplan, i skojarzeniowo — flamma, płomień. Użyłem go zresztą tylko dwa razy.

W stałej rubryce pt. „Noty” — zw — (Waśniewski) pisał o „Zagadnieniach kultury duchowej w Polsce” Leona Chwistka, a —kaj— przypomniał o 25-leciu śmierci Ludwika Stanisława Liścińskiego, dopominając się o wznowienie „Pamiętników włóczęgi” i „Halucynacji”, co parokrotnie (i po wojnie) powtarzałem w „Kamenie”, wciąż jak dotąd bezskutecznie. Tam też zamieściłem krótkie wzmianki o wileńskim ruchu poetyckim („Antologia poezji społecznej” i pierwsze zbiorki T. Bujnickiego, i J. Zagórskiego) o esajach St. Napierskiego: „Od Baudelaire’a do surrealistów”, wreszcie nawiązując do oświadczenia Karola Radka podczas niedawnej jego wizyty w Polsce i listu otwartego chełmianina p. Eliasza Dobkowskiego do Penklubu i Ligi Praw Człowieka i Obywatela, w którym twierdził on, że „posiada w swym ręku niezbité dowody niewinności Brzozowskiego” i żądał konfrontacji z Burcewem „celem obalenia jego oskarżenia opartego na oszczerstwach Bakaja”, przypomniałem o kwestii rehabilitacji Stanisława Brzozowskiego. (Do tej sprawy wracałem nieraz w „Kamenie”; na mój wniosek Lubelski Oddział ZLP wystosował w lutym r. 1960 pismo do rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego domagające się wszczęcia procesu rehabilitacyjnego, co dotychczas jeszcze nie nastąpiło mimo kilku publikacji powojennych, m. in. w „Twórczości” i „Świecie”, przemawiających na korzyść autora „Legendy Młodej Polski”).

Numer zamykała rubryka „Pro urbe sua”, która wraz z linorytem Waśniewskiego przedstawiającym kościół Mariacki w Chełmie nadawała pismu akcent regionalny. W rubryce tej prowadzonej tylko w pierwszym roczniku poruszaliśmy różne sprawy dotyczące życia kulturalnego w mieście.

# START „KAMENY”

## (II)

awangardy, to jest reprezentująca te indywidualności, które gardząc utartymi szlakami, z trudem i mozolem przedzierają się przez wciąż jeszcze według nich dziewiczą puszcę poezji, której pragną być pionierami. Stoimy na tym stanowisku, że powaga dziejów, w których żyjemy, wymaga i szczególnie poważnego ustosunkowania się do słowa będącego materiałem twórczości literackiej, że w okresie inflacji poezji budulec tym posługiwać się należy ostrożnie, ekonomicznie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności cechującej świadomego artystę. Stąd sympatie wiążące nas z awangardą poetycką wysuwającą celowość ekonomicznej konstrukcji wiersza, jako jedno z zasadniczych wymagań współczesnej poezji. Ciążąc jednak ku awangardzie „Kamena” nie zajmowała nigdy stanowiska krańcowo jednostronnego, dlatego też na jej kartach znajdowały się utwory i innych pisarzy (...)

Będąc pismem literackim „Kamena” nie wiąże się z żadnym obozem politycznym. Chłuba naszą właśnie jest ta okoliczność, że utrzymując się zupełnie samodzielnie, nie licząc jednorazowego subsydium Zw. Literatów w Lublinie na numer mickiewiczowski, potrafiliśmy zachować całkowitą niezależność ideową. Rozumiemy jednak dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przelomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu (...).

To właśnie rzeczowe ustosunkowanie się do współczesności dzisiejszej każe „Kamenie”, abstrahując znowu od wszelkiej polityki, zwrócić specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie, a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów — narodów mających mało perspektyw dzielących je, za to wiele punktów stykowych — łączących. Przy tym kulturę tych narodów młodą jeszcze, choć nieraz bardzo ciekawą, poza niekiedy wyjątkami dotyczącymi naszych najbliższych sąsiadów — Rosjan i w mniejszym stopniu — Czechów, najmniej znamy. Dlatego „Kamena” z literatury niepolskiej najwięcej uwzględniała słowiańską, dając w dziełach numerach przekłady utworów bułgarskich, czeskich, słowackich, serbołużyckich, rosyjskich i ukraińskich. Najszerzej potraktowaliśmy poezję naj-

Tak się przedstawiał zeszyt pierwszy „Kameny”. Na szczupłych 16 stronach chcieliśmy dać materiał o dużym ciężarze gatunkowym, prezentującym nas nie tylko pod względem artystycznym, ale i ideowym. Programowe „Spojrzenie wstecz” miało się ukazać dopiero po dziewięciu miesiącach, ale już tutaj z grubą można się było z nim zapoznać: wiersze nasze miały reprezentować umiarkowany awangardyzm, „Siup dymu” podkreślał nasz humanizm i humanitaryzm i wyznaczał miejsce po stronie przeciwników faszystów, a wiersze czeskie i kronika słowiańska wskazywały na naszą orientację słowiańską. Poza tym przekłady z poezji francuskiej i noty, w których poruszaliśmy różne sprawy dotyczące ogólnej kultury polskiej, świadczyły o tym, że nie zamierzaliśmy zamykać się tylko w zaścianku regionalnym (choć — poeci lubelscy, a miejsce wydawnictwa — Chełm, znany dotąd w literaturze jedynie dzięki Reymontowi) i że interesujemy nas sprawy sięgające daleko poza Lubelszczyznę.

Można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością wyczekiwaliśmy teraz wypowiedzi zarówno prywatnych w listach, jak i publicznych w druku, na temat naszego startu. A egzemplarze recenzyjne i wymienne wystawiliśmy do wielu ważniejszych czasopism i dzienników.

Czechowicz pisał z Warszawy: „Winisz „Kameny”. Nie to, że zewnętrznie niedociągnięta, nie to, że tu i owdzie mogłaby być lepsza. Całość jest pięknym wysiłkiem. Nie ustaję. Ze swej strony pomogę Ci jak umiem — to znaczy — dam kupę materiału”.

Wśród przysłanych mi przez Czechowicza materiałów znajdował się wiersz Światopelka Karpińskiego „Dno” i dwa przekłady z poezji ukraińskiej (liryki O. Oljczyca), które potrzebne mi były do następnego numeru.

Recenzja na razie ukazała się w „Robotniku” (12 września 1933 r.). Właściwie była to raczej dłuższa informacja. Nie podpisał autor podawał treść numeru i cytował z rubryki „Pro urbe sua”: „Pismo literacko-społeczne w Chełmie. Komu i na co potrzebne? W Chełmie, gdzie tygodnik wyłącznie sprawom regionu poświęcony z trudnością wychodził. Kto będzie czytał te wiersze, których nadmierna ilość w pierwszym numerze niejednego przestraszy”. „Redakcja jednak — pisał recenzent dalej — nie zraża się i zapowiada, że pismo poświęcone będzie nie tylko literaturze polskiej i obecnej, lecz także walczyć będzie o podniesienie kultury miasta”. Autor tej informacji podał szczegółowy adres wydawnictwa i nazwisko „dobrze znanego czytelnikom naszym” redaktora, pochwalił oświadczenie i wkładkę Zenona Waśniewskiego, jako „Jadną”, orzekł, że „Kamena” pod względem rewnetnym przedstawia się bardzo estetycznie — lekka przesada: jeszcze nie nauczyłem się właściwego łbania — i życzył nowemu pismu „powodzenia, na które ze wszech miar zasługuje”.

Zdawałem sobie sprawę, że ta „recenzja” była nieco „kumotarską” (nie znano jeszcze wtedy tego wyrazu) jako że z „Robotnikiem” współpracowałem już od lat dziesięciu. Mimo to podniosła ona nas na duchu: przecież z informacją o „Kamenie” zamieszczoną w stołecznym dzienniku zapoznają się tysiące czytelników.

Kazimierz Andrzej Jaworski

# STARY CZŁOWIEK I WIEŚ

(Dokończenie ze str. 13)

wsi instytucje usługowe i administracyjne. Nie chodzi przecież o to, że nie on własnoręcznie je zakładał. Ale jego ruchliwość emanująca na mieszkańców i władze nadrzędne pozwoliła Juchon stać się takim, jakimi są.

Starszy, niespokojny pan dobrze się czuje wśród swoich — w Starych Juchach. Zrósł się z nimi na zawsze. Nie sposób sobie wyobrazić wsi bez niego. Wiele jego pasji stało się sprawami ogółu i odwrotnie. Tu pozostanie do końca i nie zaprzestanie pracy. Cieszy się, że z GRN, GS i innym instytucjami potrafi „się dogadać”, że jeśli im coś podszepnie — zrobią. Raduje go, że mieszkańcy go zrozumieją. O przyszłość swej inicjatywy nie niepokoi się. Ma następców. Potrafił zapalić młodzież do społecznikostwa. Trochę mu tylko przykro z powodu braku zainteresowań historycznych u młodszych. Tej jego pasji, przynajmniej dotychczas, nikt nie podziela.

Wojciech Jankowerny

\* Zenon Waśniewski

# K R Ó L jednej nocy

**J**OZEFA Czechowicza znamy przede wszystkim jako wybitnego poetę. Mniej znane jego utwory prozaiiczne i sceniczne, a prawie nieznana jest jego publicystyka. Ma ona dwa nurty. Jeden — to felietony i artykuły o charakterze literackim, a nawet poetyckim, w których problemem jest zagadnienie artystyczne albo wizja apollinińska. Tematem ich są nastroje, sny lub zgroła fantasmagoryczny świat zwiędłych wewnętrznych.

Ale jest również inny Czechowicz — publicysta, szperacz w przeszłości, poszukiwacz konkretnych zdarzeń niezwykłych, a małą czasu przesłoniętych. Szukał treści w „Staruch kamieniach” i w księgach zapomnianych.

Ciekawą jest rzeczą, że do jego bujnej wyobraźni nie przemawiała legenda, ale fakt historyczny na skraj legendy umiejscowiony. To co było niezwykle, niecodzienne, — ale zdarzyło się rzeczwiście, tylko do nas w formie jakby opowieści dawnej dotarło.

Właśnie poniżej przytaczamy jeden z takich artykułów, drukowany w „Expressie Lubelskim” 15 stycznia 1933 roku.

Artykuł ten nosi tytuł „Król jednej nocy. Żyd wybrany wolą ludu ukrył się w progi królewskiego Zamku.

Patrząc na basztę zamku lubelskiego i niski a długi masyw jego murów, trudno jest porozić się z faktem, że dawne siedlisko chwały, gniazdo królów, siedziba Długosza jest dzisiaj miejscem hańby i kaźni.

Zamek jak okret wznosi się nad falą lamanych dachów Podzamcza. Majestatyczny i groźny niejedno widział i niejedno zapewne przetrwał.

Wśród starych Żydów utrzymuje się legenda, że widział nawet pewnej nocy króla żydowskiego.

Miało to być tak:  
W ciepły wieczór lipcowy umarł na Podlasiu ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August. Pierwsza wolna elekcja zwoływana to do Knyszyna, to na polach między Bystrzycą a Lublinem, to znów w Srodzie i Kaskach, jakoś nie dawała rezultatu. Rok Pański 1572 dobiegał końca, a w kraju trwała bezkrólewie.

Pewnego dnia gromada mieszczan i Żydów lubelskich udała się do wielkiego uczonego w Piśmie, a zarazem słownego na całą Polskę bogacza Szola Wahla z zaproszeniem, kto będzie królem. Wahl namyślał się długo i po namyśle wyrzekł własne nazwisko „Wahl”.

A słowo „Wahl” znaczy po niemiecku i po żydowsku „wybierajcie”.

Alle tłum znając Szola Wahla jako człowieka prawego, zrozumiał rzecz inaczej. Błysły pochodnie i oto poprowadzono na Zamek w triumfie nowego króla polskiego. Rządy jego trwały jednak tylko jedna noc, bowiem nad ranem przemaszerowało wojsko z kasztelanem lubelskim na czele i zajęło Zamek Królewski.

Faktem jest, że Szol Wahl (właściwie nazwisko Szol ben Juda Katzenellenbogen) był za czasów Batorego i Zygmunta Wazy w wielkich łaskach, że często bywał w dworze oraz że dostąpił zaszczytu wypożyczenia pieniędzy tym monarchom, za co miał puszczoną w pacht starostwo brzesko-litewskie.

Z czynów historycznych owego Szola Wahla wymieniać by należało założenie starej synagogi w Lublinie, oraz wyjednanie u króla przywileju na założenie „jeszowytu”, czyli szkoły rabinackiej w tymże mieście.

Król jednej nocy umarł w roku 1617 sył zaszczytów, wiedzy i bogactw.

Treść powyższego artykułu Józef Czechowicz oparł na pracy historyka austriacko-żydowskiego Balabana. I jeszcze jedno jest ciekawe. W Lublinie przed wojną mieszkał wraz z rodziną kupiec Katzenellenbogen, działacz społeczny, radny i laurik miejski, do 1939 roku, który twierdził, że jest w prostej linii potomkiem owego Szola Wahla i ma na potwierdzenie tego stare dokumenty. Ławnika Katzenellenboga na mordowali Niemcy w 1943 roku. Wnuk Katzenellenboga żyje i jest w Izraelu znanym aktorem i poetą.

WG

15.500 ludzi otwiera codziennie we wczesnych godzinach rannych kioski „Ruchu”, by dostarczyć spieszącym do pracy miliony egzemplarzy gazet i czasopism. Zaden sklep PSS, gastronomii, GS nie zdobył sobie w ciągu dwudziestu lat takiej popularności, jak budka „Ruchu”, w której o każdej porze dnia można nabyć oprócz prasy, papierosy, papier listowy, pocztówki, znaczki, przesek od bólu głowy, przybory do pisania, nici, igły i nawet środki, które dawniej kupowało się wyłącznie w składach aptecznych obsługiwanych przez personel płci męskiej.

Co drugi obywatel ma „swojego” kioskarza, z którym utrzymuje poprawne stosunki, niekiedy nie bez wysiłków zabiega o jego względy, po to jedynie, aby ten skromny pozornie pracownik, w oczach klienta potentat, zostawił pod ladą ulubiony magazyn, paczkę poszukiwanych papierosów, szczególnie ciekawy numer gazety.

O budce „Ruchu” marzą młodzi i starzy, być kioskarzem w osadzie czy na wsi to więcej niekiedy niż posada w Radzie Narodowej, niż stanowisko naczelnika Straży Ogniowej, tak niedawno przecież uchodzące za najbardziej reprezentatywne. O względy kioskarza zabiegają notable, sam przewodniczący musi nie raz i nie dwa zażać pokornie miejsce w kolejce i zrzućszy pychę z serca prosić o „Przekrój”, kupon Toto-Lotka czy tabelę wygranych.

Znam kioskarza, który funkcję swoją sprawuje od dziesięciu lat bez przerwy. Nie bez dumy powtarza, iż rozbudził w swojej osadzie gustu publicystyki, ukształtował poglądy polityczne i estetyczne, nauczył sztuki wybierania.

Jest tak w istocie. Poszukującym rzadkiego tytułu klientom, kioskarz potrafił z żelazną logiką wytłumaczyć, iż „skoro tytuł ten jest rzadko spotykany i do danej osady nie dociera, znaczny pismo nie jest lubiane, ani popularne, nie warto więc wydawać na nie pieniądze”. Czyż nie lepiej wobec tego czytać to, co przez wszystkich uznane zostało za dobre, za łatwe do strawienia, za papkę, którą przylecia się bez trudu pomiędzy jednym a drugim sztachnięciem papierosa. W ten sposób kioskarz wybrał sam z kłopotliwej sytuacji i odzwyczail od niewczesnych, wysublimowanych ciągów klientów poszukujących takiego na przykład pisma, jak „Problemy”, „Nowe Książki”, „Wychowanie” czy nawet „Ty-

## Dziesięć milionów słów

**J**OHAN Steinbeck, poprzedzany przez małżonkę, wchodzi do przepelnionej sali konferencyjnej Domu Literatury w Warszawie. Reflektory kamer świecą ostro i pisarz mruczy oczy. Gdy siada na podium, widzę, że jedno oko ma zupełnie przysłonięte: okazuje się, że ma chore oczy i bezlitosne światła muszą przyciemnić.

Steinbeck ma twarz wilka morskogo: mocną, wyraźną, opanowaną. Broda i wąsy, fajka. Gdy zaczyna mówić, głos jego cichy i miękki wydaje się nie należąc do niego. Lecz po chwili rozumiemy, czemu ten głos tak drży tamowanym wzruszeniem i bólem: pisarz mówi o zamordowanym prezydencie swego kraju. O Johnie Kennedym, prawym, dobrym, młodym i wielkim prezydencie, którego pogrzeb właśnie się odbywa. Na wniosek Jarosława Iwaszkiewicza zebrani czczą jego pamięć minutą ciszy. John Steinbeck zaciska usta, pani Steinbeck płacze.

Tak, ta tragiczna śmierć zaważyła na całym spotkaniu Steinbecka z pisarzami polskimi. Laureat nagrody Nobla, który w swej opanowanej prozie potrafił godzić okrucieństwo życia z poczuciem humoru, z trudem mógł cień tego humoru pokazać.

Z sali padaly różne pytania. O karierę pisarską Steinbecka, o kłopoty amerykańskich pisarzy, o zainteresowania, o wrażenia z Europy, z Polski. Ku naszemu zdumieniu dowiedzieliśmy się, że amerykańscy pisarze mają trudności naszym podobnie: problem „łatwiej napisać niż wydać” między i ich. Powieści Steinbecka też nie od razu chętno drukować, droga do sławy była trudna.

„Aby zostać pisarzem, potrzeba wpród napisać pięć milionów słów” — mówi Steinbeck. „Po dziesięciu milionach można być artystą”. Lecz warto przez to przebrnąć, jeśli już nie dla sławy, to dla tych jedy-nych momentów cudu, zachwycenia, dla tych błysków światła i zadziwienia, jakie spływają na pisarza w momencie tworzenia. Owa chwila natchnienia rekomenduje ból życia.

Zapytany o swe metody pisarskie, o swój niejako techniczny warsztat, Steinbeck powiada, że pisze zawsze ołówkiem, na zółtym papierze, po czym wszystkie czyta i nagrywa na magnetofon dla sprawdzenia dwiętności i płynności języka. Jeśli mu się rzecz nie podoba, niszczy rękopis i zaczyna od nowa. Wszystko jest wiele razy przerabiane i przetwarzane. Warsztat pisarski to trudna sprawa!

# Do „Ruchu” przyjazna epistoła noworoczna

WALDEMAR BABINICZ

godnik Kulturalny”. Za jednym zamachem zdołał przekonać swoich mocodawców że leżące od lat na składzie „widokówki” imieninowe z niebieskookimmi pocztylionami, kędzierzawymi aniołkami i pierśmiastymi panienkami, które od dawna uważane były za niechodliwe cegły (widokówki oczywiście, mogą być towarem — poszukiwanym. — Wszystko można sprzedać „każdemu jednemu” klientowi, trzeba tylko umieć do niego podejść — twierdzi nasz kioskarz — i podchodzić jak umie, przysparzając „Ruchowi” i sobie glorii i niezłych dochodów.

„Ruch” jest przedsiębiorstwem. Nie urzędem, nie instytucją naukową, czy nawet usługową, lecz zwyczajnym przedsiębiorstwem. Dochodowym oczywiście, jak wolno sądzić z olbrzymich obrotów. Po cóż by miał istnieć, gdyby dochodów tych nie przynosił, prawda? Dochody swoje czerpie ze sprzedaży wyjątkowego towaru. Kioskarz to nie ekspedient w sklepie GS, w gospodzie czy knajpie. Nie sprzedaje napojów alkoholowych, nie rozpija ludzi. Kioskarz popularyzuje prasę i książki (niektóre), upowszechnia czytelnictwo, należy więc do kategorii ludzi wrażliwych na słowo drukowane, współodpowiedzialnych za upowszechnienie kultury. Być może, że nie zawsze zdaje sobie sprawę z ważności swojej funkcji, być może też, iż nie wszyscy pracownicy „Ruchu” z wysokich i najwyższych szczebli, odpowiedzialni za stronę handlową przedsiębiorstwa, mają czas zastanowić się nad gatunkiem, jakością i niewymierną wartością rozprowadzanego towaru. Ostatecznie towar z małymi wyjątkami jest chodliwy, nawet wtedy, kiedy zamiast 30—40 tytułów przysię się do kiosku na głębokim zapleczu 3—4 lub zgola jeden. I tak pójdzie. Ludzie muszą przecież coś czytać, nie? Po to ich tej sztuki nauczono.

Alle nam odbiorcom i nam piszącym to nie wszystko jedno. „Ruch” — przedsiębiorstwo z równym szacunkiem winien traktować każdego klienta: i tego, który nabywa w kiosku paczkę zapalek za 50 gr i tego, który kupuje na niedziele kilka magazynów, gazet, tygodników i dwie — trzy paczki „Rarytasów”.

Steinbeck czyta niesłychanie dużo wszystkiego, począwszy od „comicsów”, skończywszy na dziełach historycznych i lingwistycznych. Szczególnie lubi angielskich pisarzy osiemnastego wieku, rosyjskich i francuskich dziewiętnastego. Wyznaje postać, że dobro jest silniejsze od zła. Pisarzem polskim, których wielu przeszło przez piekło wojny, trudno taki pogląd w pełni podzielić. Na tym tle wywazuje się ciekawa dyskusja, w toku której Steinbeck przyznaje się, że nie chciał opłacać Oświęcimia, że wolna dla niego to koszmarny sen że z wyjątkiem domu opowiadań i reportaży oraz powieści „Księżka zaszedł” nigdy nie zapragnął poruszać, ani nawet dotykać tych tematów, nie czuł wewnętrznej potrzeby. Rozumiemy, że był zbyt oddalony od wojny, zresztą przyznał się też, że było wielu innych, którzy bardziej znali te bolesne tematy — zostawiał je dla nich.

— Najpiękniejszą rzeczą w Polsce jest młodzież — mówi pisarz, jakby chciał naprawdę uciec od poruszonej sprawy — tak, młodzież, szczególnie krakowska. No i Jezierza mazurek. Byliśmy tam z żoną stającą się z prostymi, dobrymi ludźmi. To, że nie znaliśmy ich języka, w niczym nam nie przeszkadzało. Rozumieliśmy się bez słów. Bo jednak dobrze ludzka jest silniejsza od zła...

Steinbeck mówi wiele o Ameryce: Panuje w Europie dość młode pojęcie, które widzi w Ameryce tylko wykulturowanie i jej przerosł nad duchem i humanitką. A przecież w Stanach jest najwielce orkestr symfonicznych, a na przedstawienie „Hamleta” przybywa dwieście tysięcy ludzi. Wystawy obrazów odbywają się na ulicach, koncerty pieśni ludowych w parkach i wtedy grzmie imprezujący, wielki chór: trzy tysiące ludzi śpiewa. Jest w Stanach trzy teatry, poeci są czczeni i lubieni. Tak, nie tylko technika jest tam wspaniała...

Kamery fotografują widownię, pisarz mruczy chore oczy w świetle reflektorów, pani Steinbeck czuła i dbała o męża, sroga na zegarek. Kilka słów o niej: jest to trzecia żona Steinbecka, pani o dużej kulturze, spokojnej urodzie i głębokim, ładnym głose. Mówi z wielką swobodą, czując się do słów męża wiele uwagi. Ona też w półtora-oddzienne rozmowie pisarza ożmiała koniec spotkania, edw następnego dnia czeka dalsza droga po Polsce i Europie.

Do pisarza cisną się polscy koledzy z jego książkami po autografy. Mrucząc oczy, wyraźnie zmęczony Steinbeck podpisuje cierpliwie, wreszcie uchodzi, zabrany przez żonę i prezesa Iwaszkiewicza.

Patrząc na jego mocne ręce, które napisały miliony słów, na pochylone plecy i mimo woli przypomina mi się, co rzekł o życiu: To nieustająca walka. Walka, w której zwycięża praca i wola.

J. R.

Podobnie i z innym towarem „Ruch” — przedsiębiorstwo z równą troskliwością dbać winien o rozprawianie „Przekroju”, „Swiata”, „Polityki” i „Kamenu”.

Wolno sądzić, iż w sztabie „Ruchu” zatrudnieni są nie tylko wysoko-kwalifikowani specjaliści od handlu i dystrybucji, ale i uczeni na problematykę oświatowo-kulturalną działaczy „z żył”. Ci działacze wiedzą zapewne o tak zwanej unii zawartej między czterema województwami. Nie tylko zresztą wiedzą, ale i są jej gorliwymi rzecznikami na froncie „Ruchu”. I im zapewne leży na sercu sprawa rozprowadzania jedyne pisma kulturalno-społecznego wychodzącego na terenie tych województw, i im zapewne zależy bardzo na tym, aby pismo to znalazło się na czas we właściwych rękach, u odbiorcy białostockiego, lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego. I nie tylko u tego, który szlifuje bruki Krakowskiego Przedmieścia czy Sienkiewicza, ale i tego, który mija kioski „Ruchu” we wczesnych godzinach rannych, zdążając do fabryki, biura, warsztatu czy gospodarstwa. I jakże to zrobić, aby marzenia sztabowego pracownika — działacza „Ruchu”, wydawcy i redaktorów „Kamenu” stały się rzeczywistością?

Ludzie jak ludzie. Jeśli mój znajomy kioskarz wyłoży i podsunie im jakies pismo kupią je mniej lub więcej chętnie, po roku czytać je będą systematycznie, po dwóch twierdzić będą żarliwie, że jest to ich pismo ulubione. Przedsada? Och, najwyżej jeden rok odchylenia. Nie to jest ważne.

Artykuł niniejszy nie należy do kategorii złośliwych. W działalności „Ruchu” dostrzegam wiele, nawet bardzo wiele momentów pozytywnych. Szczególnie ujęło mnie, a nie tylko mnie, to przedsiębiorstwo decyzyjnej powołania do życia kiosków — klubów — kawiarni. Widziałem kilka. Działają bez zarzutu. Oczywiście za wcześnie na ocenę i — ostrożnie, żeby nie zapeszyć. Ale oto „Ruch” staje się par excellence instytucją oświatową, której profity oblicza się nie tylko w złotych. Zresztą mądre przedsiębiorstwo zawsze woli mieć do czynienia z inteligentnym, czytelnym odbiorcą.

Dawniej, w pierwszym dwudziestolecu, wawianictwo w stadium rozruchu zawierało ciche porozumienie z kolporterami, dawano im o grosz lub dwa więcej od numeru i mówilo się, że gazeta „idzie jak woda”. Ale dziś? Któż by śmiał? Dziś apeluje się do świadomości. I to jest też żenujące. Apelować do świadomości wysoce uświadomionego sztabowca? Phi donc.

Więc może zasiąść przy okrągłym stole i wspólnymi siłami, przy maksimum dobrej woli znaleźć sposób na lepsze rozprowadzenie „Kamenu”? Ba, ale wszelkie dwustronne narady mają wtedy tylko sens, jeśli 1) obie umawiające się strony zasiadają przy stole na równych prawach, 2) jeśli umowy są skrupulatnie realizowane. Obawiam się, iż nawet nie wszyscy w „Ruchu” wiedzą o istnieniu „Kamenu”, mimo że liczy 30 lat od chwili powstania. Na pewno nie wiedzą o niej w kiosku w Pałacu Kultury i Nauki, choć słyszałem, jak ten i ów się o nią dopominał, nie wiedzą o niej kioskarze w Puławach, w Nalęczowie, w Radomiu i w wielu innych miastach, osadach i wsiach czterech województw, chociaż „Kamena” właśnie o mieszkańcach tych miejscowości pisze najwięcej.

Może więc zaapelować do dobrej woli wszystkich sztabowych i szeregowych pracowników „Ruchu”? Konkretnie: żeby „Kamena” uznana za pismo czterech województw, znalazła się we wszystkich kioskach tychże na prawach pisma uprzywilejowanego (no bo jakże? we własnym domu, na własnych śmieciach), żeby na zasadzie równorzędności partnera znalazła się w klubach MKIP, w nowo otwartych klubach — kawiarniach we wsiach i w osadach.

Bogaci stryjaszkowie z Ameryki też pamiętały niekiedy o swoich krewnych w kraju. Cóż dopiero swojacy. Nie do najuboższych zaś należy „Kamena”. Ma opiekunów, przyjaciół, współpracowników. Ho, ho.

Więc może dojdziemy do porozumienia, miły, kochany „Ruchu”!

# „Fizycy“ czyli „Wyzwolenie“ po szwajcarsku

JOZEF MASLINSKI

ZACZNIJMY rozmowę od bajek. W „Fizykach“ Dürrenmatta jest policja, ale czy to przeszkadza? W dobrej bajce wszystko się kończy uczą: „I ja tam byłem, miód i wino pilem“. Sprawozdawca z uczy jest pomostem do rzeczywistości. Czemuż nie miałby nim być policjant?

Policjant — to paszporty, granice, to ta *réalité, qui nous commande*, ta popolność, która skrzeczy swoje nakazy i zakazy. Przekroczyć te ograniczenia, pójść za porzywem serca i urządzić świat po swojemu, po ludzku, po bohateru — oto wspólny mianownik bajki, oraz... kawiarnianych rozważań o polityce. A także wielkiej tradycji romantycznej naszego teatru! Panie, gdybym to ja miał władzę!... (kawiarnia). Czapkę niewidkę i kij — samobij!... (bajka). Daj mi rząd dusz! („Dziady“). Nigdy nie zamrze ów naiwny, często wstydlawy głód porządkowania świata. Marzenie o nadzwyczajnej potędze, jakiejś super — maszynie dającej władzę nad ludźmi, kojarzy się tu z żądzą bohaterstwa: i w bajce i w romantyzmie. Czarowiec w „Róży“ Zeromskiego też coś wymyślił. Ba! Nawet pozytywista Prus kusi swego Wokulskiego wielkim wynalazkiem...

I oto jesteśmy wśród współczesnych „Fizyków“. Platon chciał ze swego państwa wypędzać poetów. Wielokrotnie, zwłaszcza podczas wojny, słyszałem od chłopów, że należy wypędzić z kraju „takich zanadto wybitnych“, żeby nie nabroili kosztem społeczeństwa. Genialny fizyk Moebius uważa podobnie. Odkrył on wszystkie prawa przyrody, ba, nawet wynalazek robienia wynalazków, regułę odkrywania wszech reguł! (Coś w rodzaju kija-samobija...) I zrozumiał, że może się potwornie wygłupić jako Prometeusz. Dać ludziom do ręki najstraszliwszą potęgę, podczas gdy poziom ich humanizmu nie dorasta do poziomu nowoczesnej techniki?! Przecież oni z tego uczynią narzędzie ludobójstwa! Tak piszą w gazetach, tak filozofują w kawiarniach. Triumf genialnej jednostki stały się klęską społeczeństwa. Niel nadzwyczajnej władzy musi towarzyszyć nadzwyczajne bohaterstwo. Tak myślał Brecht w swoim „Galileuszu“, taki dylemat postawił sobie za jego przykładem autor „Fizyków“. Ale po swojemu.

I oto wielki Moebius wybiera bohatera. Jak Winkelried, jak Konrad, jak szewczyk Skołuba powstający przeciwko prawu zjadania pięknych panien przez smoka. Postanawia przekroczyć zaklęty krąg wzajemnych uwarunkowań rzeczywistości: sięga po wariackie papiery. Gdzie najlepiej ukryć liść? W lesie — odpowiada Chesterton. Gdzie ukryć groźne idee?

## K. I. Gałczyński

(Dokończenie ze str. 3)

Jego tak wielki talent aktorski i recytatorski, na szczęście utrwalaony na płytach. Między tekstem a poetą czytającym swój wiersz istniała pełna harmonia, nie było w tej recytacji cienia sztuczności i mizdrzenia się. Wyrazy dźwięczały, akcent padał na słowa, które miały wagę największą. W czytaniu Gałczyński, unikając jakiegokolwiek sztampy czy rutyny, w sposób przejrzysty oddawał muzykę zawartą w wierszu. Miał zbyt wielki szacunek dla poezji i dla własnej twórczości, by fałszywą, spijoną, efekciarską interpretacją zniekształcać wielkość dramatu, czy lekkość dowcipu. Wzbyty był całkowicie sztucznego patosu i banalnych przeskoków głosowych. Rezygnował z elementów które by zacięły szlachetność i prostotę w odtwarzaniu treści wiersza.

Jesienią 1953 r. zacząłem pisać suitę fortepianową. Podłożyłem tematycznym były wewnętrzne przeżycia zrodzone z poematu „Noctes Aninenses“. Gałczyński interesował się fragmentami, przegrałem mu dwie ukończone za jego życia części. Gdy pracowałem nad ostatnimi akordami „Noctes testamentu“, w niedzielny ranek grudniowy odebrałem telefon: schorowane serce poety przestało bić.

Zygmunt Gross

Tam, gdzie już nie robią na nikim wrażenia — w szpitalu wariatów. Tam będą bezpieczne. Fizyk umie myśleć logicznie. „Obowiązkiem współczesnego geniusza jest pozostać geniuszem zapoznanym“. Bohaterstwo myśli zostanie dopełnione bohaterstwem odpowiedzialności. Wielkie samo-przekreślenie wspaniałego człowieka...

Ale inni... też umieją myśleć! Prawa logiki są uniwersalne, a „cokolwiek było pomyślane, może być pomyślane raz jeszcze“. Nie da się przekreślić... Oto dwaj inni fizycy w służbie wywiadów konkurencyjnych mocarstw, idąc tropem wcześniejszych, ogólnie znanych myśli Moebiusa, docierają do jego kryjówki. Też podają się za wariatów: jeden za Newtona, drugi za Einsteina. Jakaż znakomita dramaturgia tu się zawiązuje! Oto wraca romantyczne „szkiełko i oko“: każdy z trójki zostaje zdemaskowany przez kochającą go sanitariuszkę. Każdy musi — wbrew sercu! — zamordować swoją, jako niewygodnego świadka. Tu wkracza do bajki nasz policjant, pomost do rzeczywistości. Jego świadectwo (że mordowali niepożytnie) ma być pieczęcią na wariackich papierach. I jest, ale jakże paradoksalną, jak demaskującą błąd w założeniu! Kazimierz Wyka napisał w „Pograniczu powieści“ znakomitą uwagę: „Czy dlatego faszyści i hitlerowcy przegrali wojnę, że obnażyli zło tak okrutne, aż obrażające jakiś immanentny, z góry dany porządek świata, równy porządkowi historycznemu i dlatego zostali odrzućeni?... Na odwrót: właśnie dlatego popełnili zbrodnie, ponieważ pragnęli niejako przymusić, zmistyfikować, przemocą nakierować na swoją korzyść obiektywny porządek historii, gdzie nie postawy moralne ważyły przede wszystkim, lecz postawy realne, realne proporcje pomiędzy słusznością idei a słusznością porządku rzeczywistego“.

Zbrodnie trójki fizyków są taką właśnie próbą szacherki wobec rzeczywistości. Błąd komponowania życia jak bajki został zdemaskowany. A śmiejemy się patrząc na nie. Czy to sprawa tylko talentu autora, jego zdolności zaprawiania dramatu groteską? Nie tylko. U podstaw naszego śmiechu leży wyrażona przez Marksa prawda, że dawne dramaty, dawne (w naszym wypadku: bajkowe, mityczne, romantyczne) koncepcje anachronizują się z czasem i kto je spróbuje odgrzewać na serio — otrzyma farsę...

Bo „Newton“ ma rację: geniusz jest własnością powszechną. Na jego mądrość złożyły się pokolenia innych fizyków, uczonych, techników i myślicieli. I nie żyjemy w epoce bohaterów bajkowych. Bajki, mity, epopeje, to wszystko tworzy społeczeństwo jeszcze bardzo nie zróżniczkowanego, takiego, w którym wszyscy mieli podobne cele na oku i podobną skalę doświadczeń i wartości. Potem to się zróżniczkowało, nabrzmiły konflikty interesów, antagonizmy klasowe itd. Współczesny kandydat na bohatera nie może więc poczynać jak w bajce. Musi związać się z siłami, które dążą do przywrócenia jedności świata, wspólnoty dążeń i wartości. Tylko wtedy jego wyczyn będzie powitany jako szczęście dla wszystkich. „To co dotyczy wszystkich ludzi, może być rozwiązane tylko przez wszystkich ludzi. Każda próba jednostki, aby rozwiązać na swój sposób to, co dotyczy wszystkich ludzi, musi być skazana na niepowodzenie, — dopowiada Dürrenmatt w komentarzu do „Fizyków“. To nie jest mało powiedziane.

I śledząc przebieg sceniczny tego niepowodzenia znajdujemy się niemal w kregu Wyspiańskiego. Tak bardzo, że pojąć nie mogę, jak ci sami krytycy, którzy będą się wznieśli rozwodzić nad „Wyzwoleniem“, potrafili jednocześnie kręcić nosem na problematykę „Fizyków“. Filozofii im mało. Ale Dürrenmatt słusznie ostrzega przed myśleniem dialektyki Dürrenmatta z dialektyką filozofowania na scenie. „Hamlet“ — powiada — nie dla tego jest wciąż aktualny, że Szekspir nafilozofował tam na wszystkie czasy, że przyrzucił bigos filozoficzny na cały tydzień, ale dlatego, że jego dialektyka działała dramatycznie jest pakowna i pomieści interpretacje i filozofowania powstałe w różnych okolicznościach. Tak więc Moebius, jak Konrad w „Wyzwoleniu“ zamyka się w kregu speców (tam aktorzy, tu — fi-

zycy). Jak Konrad inscenizuje pewną grę, która ma dać konsekwencje społeczne. Jak Konrad ma swą „rozmowę z Maskami“. Jak Konrad trafia na swoje Erynie — w postaci obłąkanej żądzą władzy kierowniczką szpitala, która mu wykradła notatki, żeby na ich podstawie zbudować światowy koncern przemocy. I wreszcie — wciąż jak Konrad zostaje bezsilny zamknięty w kregu swej sztuki...

Bo Moebius zdołał przekonać swych kolegów, by podzielili jego punkt widzenia i jego szpitalny los. Daremne to jednak poświęcenie, jak i poprzednie zbrodnie. Pani doktor Matylda von Zahnd, garbata Erynia, wie wszystko, ma ich w swych szponach i nie wypuści. Opadają karty... Wnioski były wyżej. Dodajmy tylko dla dopełnienia paraleli, że Dürrenmatt dopisał swoje, jak i Wyspiański (te o dziewczęce bosej — wyzwolicielce) w przypisach, poza tekstem sztuki.

Tych kilka myśli skonkretyzowałem sobie dopiero w związku z rzeszowską wersją „Fizyków“, przyglądając się jak ta znana mi już sztuka jest tam grana i słuchana. Dyr. Stefan Winter wyreżyserował ją i zagrał rolę Moebiusa. W jego ujęciu jest to przede wszystkim wielki humanista, człowiek dojrzały i pełny, bardzo bliski brechtowskiego Galileusza. Dwa szczególnie momenty ujęły mnie, naprowadzając na rozwinięty wyżej tok rozumowania. Pierwszy, ściśle aktorski. — Przy powtórzonym wizerunku polleji, już w związku z jego morderstwem, Moebius jest pełen mieszanego uczuć. Zal, zgroza, te są naturalne i oczywiste. Ale Moebius Wintera targa jakieś nieokreślone przecucie bezsensu całej tej bajkowej heroizacji. Przecucie klęski. To też jego prośba o aresztowanie nie ma charakteru żartu, igraszki intelektualnej. Tu nikt się nie śmieje. To jest błaganie o sprowadzenie na ziemię, o powrót do rzeczywistości. Króciutka scenka, ale fascynująca nastrojem i perspektywami myślowymi.

Drugi moment, reżyserski — Fizycy pokonani nie pozostają (jak np. w Krakowie) na scenie, lecz odchodzą, wycofują się każdy do swej celi,

mamrocząc resztki swego tekstu, aż osoby i głosy zgasną w ciemności. Znow nastrój (ważny myślowo), znów widownia muśnięta skrzydłem romantyzmu. Po takiej scenie nawet wytrawnym filozofom kawiarnianym trudno już zdobyć się na wytykanie „płaskości i banału“ sztuki.

Tak to jest, nie od dyskursywnych błyskotliwości zależy humanistyczna prawda i doniosłość spektaklu. Wiemy z praktyki, że ci sami spece od filozofowania padają nieraz płakiem przed prościutką bajką na scenie — pod warunkiem, że teatr zdobył się na ową świętą naiwność, żeby w tej bajeczce zobaczyć i pokazać coś istotnie ważnego.

Oczywiście nie należy przypuszczać że spektakl rzeszowski jest romantycznie celebrowany. Bynajmniej. Zabawy i farsy jest tam tyleż co i w innych spektaklach „Fizyków“. Tyle, że nie poprzestano na „igraszce intelektualnej“. To „drugie dno“, dające przecięcie i zamyślenie, jest zasługą Stefana Wintera, jako reżysera, a przede wszystkim aktora. Sekunduje mu bardzo szlachetnie Aleksandra Bonarska jako zakochana pielęgniar-ka. A także, w nie mniejszym stopniu, Zdzisław Nowicki jako „Einstein“. Jest bardzo ludzki, naprawdę chce przerwać pasmo zbrodni, szczerze i głęboko przeżywa dylemat odpowiedzialności uczonych. To chyba cenny nabytek teatru. Drugi uczonej szpieg został potraktowany przez Zbigniewa Zarembe bardziej „teatralnie“, ale w momentach rozstrzygających włączył się do tercetu.

W takim ujęciu całości rola obłąkanej lekarki przestaje być kluczową w spektaklu. Jest to po prostu siła zewnątrz, *deus ex machina*. Nie mniej to znakomita rola. Celina Klimczak zagrała ją szlachetnymi środkami; doskonała naturalność i wiarogodność w ramach profesji lekarskiej, przewaga intelektualna nad otoczeniem, autentyczne przywiązanie do siostr — współpracownic i jakaś nieuchwytna rezerwa myślowa, narastająca z biegiem sztuki. Ta psychologiczna (z dyskretnym zabarwieniem rodzajowości) linia roli dała konsekwentnie w finałowym wybuchu radość osobistego wyzwolenia. To stara panna-kaleka triumfowała intelektualnie, piękniejąc przy tym jak dziewczeczka. Trochę to za mało dla zrównoważenia problematyki utworu.

Z poprawnych na ogół postaci epizodycznych wymienić należy przynajmniej czułą żonczkę pastora, zaprezentowaną przez Janinę Węglińską z humorem i wdziękiem.

## „FIZYCY“ W PAŃSTWOWYM TEATRZE J. OSTERWY

Wobec chwilowej przerwy w przedstawieniach tej sztuki w Lublinie, zamieścimy recenzję z lubelskiego spektaklu w następnym numerze „Kamień“



Reżyseria i scenografia Jerzego Uklei. Na zdjęciu: Eleonora Ossowska (Doktor Matylda von Zahnd), Jerzy Fityo (Einstein), Zbigniew Czech (Moebius) i Czariusz Chrapkiewicz (Newton)



VIOLETTA SZORC

## pasjanse

Najpierw są talie tańczące nam  
w rękach  
stoly, zielonym założone sukmem  
stąd dziesięć stosów; plonie serce kiera

blotka upada, nawet się nie broni  
gostawia zemstę bogatym w insygnia  
pasjans otwarto w anatomii błotki  
z królem jest prosto — ma nad sobą  
kata

co biały w mnisim kapturze ma serce,  
potem kobiety, rzecz tak mało święta  
ta zawsze przeciwie przebacza królowi  
ręce położy na swą smukłość talli  
i jak odnośnik przykryje rżęsam —  
a potem znowu chowa się za trójką  
w tej generacji nie ma dylematów.

ANDRZEJ ZABIEROWSKI

SZKICE LUBELSKIE

Pierwsze  
spojrzenie

Wisiał nade mną  
i rzędem latarni ulicznych  
księżyc  
w kształcie  
spłaszczonego migdału —  
zmieszany z jęklami  
przemykających trolejbusów.

Szukałem wspomnień  
rozwiwających się jak spojrzenie  
pijanego dorożkarza —  
sąsiad  
czerniałej figury drewnianego  
świętego —  
tującej w perspektywie  
dwóch świeczek  
jakże nikłych w jaskrawości neonów  
Krakowskiego Przedmieścia.

Na dachu oglądanym  
parkietu Lublinianki  
był obraz ulic:  
Gminnej i Granicznej  
podobny do dwóch  
zgasłych żarówek  
w błyszczącym żyrandolu.

Życie znajdowało mnie tutaj  
nawet  
w błogiej atmosferze  
romantycznych piwnic i kafejek.  
Dlatego, że byłem obcy.

Zdoylem część pragnień,  
ale nie byłem szczęśliwy.  
Motyw moich marzeń  
był ode mnie daleko.  
Pozostawały tylko włóczęgi  
poprzez lubelskie wieczory  
i fragmenty dni.

TOMASZ  
KRZEWSKI-KSIĘSKI

Z CYKLU „DEBUSSY”

## Popołudnie fauna

Ciełym oddechem śpiącego lasu  
pachnie żywica  
w liście padając przez słoneczne smugi  
oczy ciekawe,  
pod parasole paproci zadumę sączą  
i szept niesłyszalny  
wibry echem pełzającego żuka  
ospale, sennie.  
Przez mchy popielate jak troska  
gorący dech rozpalonych żył  
przeglądającej przestrzeni żółte okrawki —  
w takiej godzinie ciekła ptaki  
milkną usta  
liść mięty żujące gorzkawy  
nie mać popołudniowej siesty  
zmęczonego Pana.

HENRYK PAJĄK

## I d e

Zostawiam ciebie w tym krajobrazie  
niezbadanym jak perła  
i jak perła czystym  
zostawiam

„I idę dalej” — czy idę?  
czy naprawdę  
gdziekolwiek  
idę?

KRYSTYNA MAKUŁA

## Drażnienie w pestce

właśnie mnie rozłupano  
małym trzaskiem  
pod wypukłością popołudnia  
między bladym niebem  
a niziutkim niebem  
przyczyna do pajęczyn  
śliwka  
przed wypłuciem pestki  
nieporadną lepkością  
cierpka  
nie mnie leniwie słoneczną  
— rozłupano pestkę  
na ścieżce.

JADWIGA BIADUŃ  
Śmierć staruszka

Z psią pokorą  
wysyła oczy na żebry  
po młskę życia  
zaprawioną skąpo  
w postne przyjemności  
nie dlatego by one  
karmili do syta  
ale się boi zjawy  
z kosą w silych dłoniach  
staruchy wychudłej  
jak nieboszczka żona.

Czemu nikt nie podpatrzy  
śmierci kwiatów maku?

MARIA BALLOD

## Getto

Marzenia zarastane traktem  
w sygnaturki lat  
strojne  
stoja — szpaler nakręcony  
biusty surrealne  
do podtrzymywania  
obwisłych powiek nieba  
grodzą  
plac gler dziecinnych  
tylko godziny  
wydzwaniania  
kursujący patrol  
(traktem)  
w ciszy krztuszenia się  
przyczajony strach  
przed nowym kurantem.

TRAGICZNY FINAL  
WESOŁEJ ZABAWY

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

„Rozróbki” na zabawach i weselach  
w naszych miasteczkach i wsiach są  
czymś codziennym i zwykłym. W tej  
dziedzinie Lubelszczyzna zajmuje jedno  
z czołowych miejsc w kraju (czwarto),  
25 proc. spraw w Prokuraturze Wojewódzkiej dotyczy właśnie bójek.

Szeroką strugą płynie wódka na  
wiejskich i nie tylko małomiasteczko-  
wych potańcówkach i weseliskach. A  
kiedy goście mają już dobrze w czu-  
bach, idą w ruch kołki, sztachety, kiję,  
pale i szpadryny, nieraz błysnie nóż  
sprężynowy lub zwykły „pocziwy” nóż  
kuchenny, nierzadko ręka, która ude-  
rza, uzbrojona jest w kastet. Trzeba  
przyznać, że nie brak krewkim mło-  
dzieńcom, a także i tym starszym za-  
bijakom, pomysłowości w doborze „nar-  
zędzi walki”.

Różne też bywają sygnały do „boju”.  
Wystarczy, by ktoś komuś nastąpił na  
nagniotek, lub kogoś przypadkowo po-  
trafił, poprosił do tańca dziewczynę,  
z którą właśnie ktoś inny miał ochotę  
puścić się w pląsy, że komuś czy-  
jaś twarz, czy głos się nie podoba.  
Zresztą czy potrzebny jest w ogóle ja-  
kikolwiek powód, by zaczęło się ogół-  
nie czy grupowe kotłowanie? Ot, po  
prostu popularny, zwyczajowy już spo-  
sób wyładowywania energii i rodzaj  
rozrywki.

Dobrze jeszcze jeśli taki ubaw koń-  
czy się na siniakach i guzach. Iluż to  
jednak uczestników bójek trafia do  
szpitala, płaci za nie kalectwem, zmar-  
nowanym życiem, ponosi śmierć.

Czy Kazimierz Strzałkowski wybiera-  
jąc się na wesele do krewnych w  
Szczepreszynie mógł przypuszczać, że  
już nigdy nie powróci do swojego domu?  
Czy Ryszard Cz. choćby przez  
chwilę sądził, że ta zabawa oznaczać  
będzie kres jego życiowej kariery?

Nie na to nie wskazywało. Nastrój  
panował beztroski, goście bawili się  
ochoczo. Zgodnie z tradycją obficie  
oblewali uroczyste zdarzenia rodzinne  
wódką, której gościnni gospodarze nie  
poskąpili. Jak potem przed sądem  
wszyscy zgodnie twierdzili, było jej  
„całe morze”.

Ryszard Cz., student IV roku Wy-  
działu Lekarskiego Akademii Medycy-  
cznej w Lublinie, przyszedł na wesele  
z żoną. Zainteresowanie swoje skupił  
nieomal od razu przede wszystkim na  
potężnej baterii butelek. Pił tego, nie  
wylewając, jak to się mówi, za kół-  
nierz.

Trudno już dzisiaj ustalić, dlaczego  
wpadł mu w oko właśnie Kazimierz

Strzałkowski, człowiek stateczny,  
znacznie od niego starszy, którego  
przedtem wcale nie znał. Faktem jest,  
że już od początku zabawy miał do  
niego jakieś nieuzasadnione pretensje  
i obdarzał niezbyt wybrednymi epitetami.  
W miarę, jak zwiększała się ilość  
wypitego przez niego alkoholu rostał  
też agresywność Ryszarda Cz.

Kazimierz Strzałkowski początkowo na  
to nie reagował, jednak gdy Cz. nie  
przestawał go napastować, zażądał, by  
pozostawił go wreszcie w spokoju.  
Również pan domu, widząc co się święci,  
poradził żonie Ryszarda Cz., by za-  
brała męża z zabawy, bo jest już w  
takim stanie, że powinien iść spać.  
Obecna przy tym Cz. zapewnił gospodarza,  
że „już mu przeszło”, że nie jest  
wcale pijany i nie sprawi mu więcej  
przykrości.

Po chwili jednak Ryszard Cz. sie-  
dział znowu przy kieliszku. Żona jego  
widocznie też nie bardzo przejęła się  
uwagami pana domu i nadal pozosta-  
wiała dobrze już podchmielonemu mał-  
żonkowi całkowitą swobodę. A ten już  
wkrótce na nowo zaczął atakować Ka-  
zimierza Strzałkowskiego. Spotkał się  
z tym razem z ostrą reprimendą, która  
tak go rozeźliła, że pobiegł do kuchni,  
chwycił długi, ostry nóż i powróciwszy  
na salę pchnął nim z całej siły Strzał-  
kowskiego.

Uderzenie było celne. Skutek pioru-  
nający. Nóż ugodził ofiarę w samo  
serce.

Aresztowany Ryszard Cz. w toku do-  
chodzenia dokładnie opisał cały prze-  
bieg zajścia. Później jednak próbował  
bronić się twierdząc, że działał w cał-  
kowitym zamroczeniu alkoholowym i  
niczego nie pamięta. Kłam temu zada-  
wały zarówno jego własne zeznania,  
jak też przesłuchanych świadków —  
współuczestników zabawy weselnej  
oraz ekspertów psychiatrów — bie-  
głych sądowych.

Życie Ryszarda Cz. nie należało do  
lekkich. Liczył niespełna 7 lat, gdy w  
czasie pacyfikacji Zamojszczyzny zo-  
stał wywieziony przez hitlerowców. Po  
ciężkim dzieciństwie przyszyły trudne  
lata młodości, kiedy trzeba było uczyć  
się i zarabiać na chleb codzienny. Ry-  
szard Cz. został felczerem. Miał jednak  
wyższe aspiracje — pragnął zostać le-  
karzem. Dostał się na studia do Aka-  
demii Medycznej. Otworzył się przed  
nim szeroka perspektywa. Lekkomysł-  
nością — jednym uderzeniem noża  
przekreślił całą swoją przyszłość,  
wszystko, co z takim trudem zdobywał

PROPOZYCJA  
NA 20-LECIE

ADOLF JAKUBOWICZ

**P**ROBLEM ten wraca w dyskusjach  
na temat współczesnej plastyki raz  
po raz. Rzecz jasna dyskusja ma  
charakter inny w Warszawie, a inny np.  
w Rzeszowie. Co zrobić, by obrazy, rzeź-  
by, grafiki, z trwających aktualnie wystaw  
nie poniewierali się po strychu, lub w  
lepszym wypadku po muzealnych magazy-  
nach? Co zrobić, by część tych prac ocy-  
wiście najbardziej wartościowych zachować,  
jeśli nie z myślą o „przyszłych pokole-  
niach”, to dla zachowania śladu tego, co  
działo się w plastyce regionu N. Y w la-  
tach powojennych, sześćdziesiątych bieżącego  
stulecia? Problem ten mogłaby rozwiązać  
galeria współczesnego malarstwa.

W warunkach województwa z „awansu”,  
jakim jest województwo rzeszowskie, do  
ogólnie spotykanych trudności związanych  
z rozstrzygnięciem podobnych dylematów  
dołączają się jeszcze: brak tradycji w two-  
rzeniu galerii tego typu, brak potrzebnej  
dla tego celu bazy, szczupłość środków  
jakie mogą być przeznaczone na te cele,  
stosunkowo młode i niezbyt liczne środo-  
wisko plastyczne.

Ostatnie walne zebranie rzeszowskiego  
Oddziału Związku Polskich Artystów Plas-  
tyków poświęcone było udziałowi rzeszo-  
wskich plastyków w podejmowanym przez  
społeczeństwo Rzeszowszczyzny Czynie  
Dwudziestolecia. Zebrani zaaprobowali kil-  
ka inicjatyw, z którymi sędziowski plas-  
tyczny wystąpi na 20-lecie PRL.

Po dwu szkołach Tysiąclecia, które otrzy-  
mały w roku bieżącym zestawy prac ma-  
larskich i graficznych, przyjdzie kolej na  
dalsze. W chwili obecnej trwa kompleto-  
wanie zestawów prac do szkół Tysiąclecia.  
Architekci wnętrz Mirosław Koziołkiewicz  
i Andrzej Smoczyński podjęli zobowiąza-  
nie opracowania w czynie społecznym ko-  
lorystyki wnętrza i elewacji jednej ze szkół  
budowanych na terenie Rzeszowa. Być mo-  
że inicjatywa ta w przyszłości szerzej się  
rozwinie, gdyż jej użyteczność jest wielo-  
krotnie sprawdzona w praktyce (np. kolo-  
rystyka nowoczesnych hal przemysłowych).  
Sposób, w jaki się mruje wnętrza wielu  
nowych, niejednokrotnie świetnie wyposa-  
żonych szkół budzi niewesołe refleksje.  
Pacykarstwo, „malowanie” szkolnych sal  
według najmłodniejszej recepty „każda  
ściana w innym kolorze”, fatalne w więk-  
szości wypadków zestawienie koloru nie  
stwarza atmosfery do nauki. Serdecznie  
można współczuć dzieciom, które w takich  
pomieszczeniach spędzają po kilka godzin  
dziennie i nauczycielom uczącym na 2-3  
zmiany... Zawieszanie na tak „pomalowa-  
nej” ścianie obrazu byłoby najdelikatniej  
mówiąc nieporozumieniem.

W czasie dyskusji wysunięto również  
projekt, który jest w pewnym sensie pró-  
bą pozytywnej odpowiedzi na postawione  
we wstępie niniejszego artykułu pytania.  
Rzeszów nie ma w tej chwili galerii ma-  
larskiej współczesnego. Ale trzeba wresz-  
cie zacząć ją tworzyć. Koncepcja jest na-  
stępująca. W roku przyszłym plastycy od-  
dadzą bezpłatnie na zależek takiej galerii  
co najmniej po dwie swoje najlepsze pra-  
ce. Obok akcji „Obrazy dla szkół Tysią-  
clecia” i inicjatywy architektów Kozioł-  
kiewicza i Smoczyńskiego, będzie to wła-  
śnie Czyn Dwudziestolecia tego środowiska.  
Wśród obrazów plastyków żyjących, w  
galerii znalazłyby się obrazy artystów nie-  
żyjących związanych z Rzeszowem, bądź  
plastyków, którzy tu kiedyś mieszkali,  
pracowali. Inicjatywa ta spotkała się z  
pełnym poparciem i pomocą ze strony Wy-  
działu Kultury Prezydium Wojewódzkiej  
Rady Narodowej w Rzeszowie.

Oczywiście, że najlepsze nawet chęci nie  
wystarczy. Nad wyborem prac, ich selek-  
cją czuwać będzie specjalna komisja, któ-  
rej zadaniem będzie troska o to, by dobór  
obrazów był możliwie najlepszy, najbar-  
dziej reprezentatywny dla tego środowiska.  
Taki byłby początek. Z dobrymi horosko-  
pami, wydać mi się, na przyszłość.

W zobowiązaniu podjętym przez plas-  
tyków jest jedno zastrzeżenie. Ofiarowane,  
bądź zakupione prace muszą być ekspozy-  
nowane w całości, a nie rozrzucone w  
kilku punktach miasta. Od władz miej-  
skich będzie więc zależeć, czy galeria ta  
będzie w Rzeszowie, czy w ciągu najbliż-  
szego roku znajdzie się w wojewódzkim  
mieście właściwe na ten cel pomieszczenie.

w ciągu wielu lat, unieszczęśliwił swo-  
ją rodzinę, jedyne swoje dziecko.

Sąd Wojewódzki, który sprawę  
przeciwko Ryszardowi Cz. rozpatrywał  
na sesji wyjazdowej w Zamościu, skazał  
go na dożywotnie więzienie. Cz.  
uniknął kary śmierci dzięki temu, że  
Sąd wziął pod uwagę jako moment la-  
godzący trudne warunki, w jakich wy-  
rastał i wychowywał się, oraz to, że do  
owej nieszczęśliwej zabawy weselnej  
nigdy nie awanturował się, prowadził  
się przyzwoicie i nie był karany.

Dwa życia ludzkie — jedno unice-  
stwowione, drugie zmarnowane — oto tra-  
giczny bilans weselnej zabawy, na któ-  
rej wybito „całe morze” wódki. Nie  
stanowi ona niestety wyjątku.

Czas już zerwać ze złymi „tradycja-  
mi”. Lubelszczyzna to przecież nie ty-  
lko województwo, które ma na swoim  
koncie najwięcej bójek, ale także naj-  
wyższą w kraju liczbę uniwersytetów  
powszechnych, liczne świetlice i kluby  
powstałe w czynie społecznym, woje-  
wództwo eksperymentu lubartowskie-  
go i wielu wspaniałych inicjatyw spo-  
łecznych. Wszystko przemawia więc za  
tym, że można by znaleźć u nas rów-  
nież drogi i sposoby położenia kresu  
„rozróbkom” i bójkom, nauczania ludzi  
kulturalnej zabawy. Ważna i wdzięcz-  
na rola przypada na organizację mło-  
dzieżowym, ale nie tylko im.

# W walce o antyhitlerowski front narodowy

(Dokonczenie ze str. 2)

pożywienia, ciepły nocleg, częstowali papierosami, jeden z kolegów zostawił mi nawet więcej papierosów, chociaż prosiłem tylko o jednego i teraz dopiero przekonaliśmy się, jak oczerniali naszych braci prawdziwych Polaków. Obecnie jestem chory, ale gdy wyzaroweję, wstąpię do oddziałów PPR, bo przekonałem się, że w tych oddziałach są ludzie dojrzy i koczownicy, niech Bóg wynagrodzi kolegom z PPR, którzy się mną zapiekowali".

Mimo więc wrogiej propagandy obowodu londyńskiego, partia i poszczególne oddziały partyzanckie BCH i AK stanęły na stanowisku jedności i współpracy z GL. Leon Doroszewski ps. Oksyda, członek BCH, wspomina: „Kierownictwo nasze początkowo niezbyt chętnie przystawało na wspólne akcje naszych grup bojowych z gwardzistami. Niemniej przez cały 1943 r. nasza organizacja podziemna w Ostrowie, przy dużym poparciu dołów, działała coraz aktywniej, współpracując z partyzantami PPR — z Gwardią Ludową. Gwardziści z ośrodkami w lasach parczewskich i Rudce Starościńskiej promieniują na całą okolicę. My, choć byliśmy pod wpływami BCH okręgu lubelskiego, to jednak ściśle współpracowaliśmy z partyzantami GL. Współpraca nasza polegała na tym, że braliśmy wspólny udział w akcjach wykonywanych w Ostrowie i okolicach, spotykaliśmy się z gwardzistami — razem omawialiśmy formy walki z Niemcami".

Raport Dowództwa Obwodu GL do Dowództwa Głównego z czerwca 1943 r. stwierdzał: „w pow. puławskim, lubartowskim i krasnostawskim organizacje demokratyczne chłopskie „Rocha” gotowe są iść na współpracę z nami i kroki w tym kierunku są dość poważne”. Na terenie okręgu 4 współpraca z GL i BCH zacieśniała się również coraz mocniej. W Łukowskiem, w wyniku kilkakrotnych rozmów nawiązano bliższe kontakty, utworzono wspólne dowództwo batalionu im. Ziemi Łukowskiej.

Poszczególne oddziały przeprowadzały wspólne akcje. We wrześniu 1943 r. pluton z oddziału im. Emilii Plater przyszedł z pomocą bechowcom zaatakowanym przez Niemców w majątku Garbowie. W sierpniu bechowcy biorą udział w akcji kolejowej. W listopadzie raport Dowództwa Obwodu GL do Dowództwa Głównego donosił: „W ostatnich dniach mamy nadzwyczaj dużo pracy: wszystkie organizacje na naszym terenie składają akces współpracy i tak AK, pluton z 40 ludzi z 3 rkm idzie z naszym plutonem na robotę. BCH dostało rozkaz z góry, aby wszystkich ludzi rozbroić. Komendanci poszczególnych plutonów szukają nas sami i nie ma dnia, aby się nie pojawiła delegacja z innych organiza-

Wśród przekładów

# WSPÓŁCZESNE NIEPOKOJE

ANNA TATARKIEWICZ

W POPULARNEJ wśród bibliofilów „ce-  
lofanowej” serii poetyckiej PIW-u ukazał się poemat Aragona Elza w znakomitym przekładzie Ariana Między-  
rzeckiego. Podobnie jak „Wielki ty-  
tuł” jest swego rodzaju summa proza-  
warską Aragona, tak „Elza” można uważać  
za jego sumę poetycką. Wskazując na  
czysto formalny walor poematu, o  
czym niechże wypowiedzą się poeci i kry-  
tycy poezji, utwor ten trafia do zwykłego  
czytelnika przede wszystkim swą ludz-  
ką treścią. Jest coś głęboko wzruszające-  
go w tym żarliwym hołdzie, jaki pisarz  
i człowiek składa wszelkimi głosami,  
wszelkimi kwiatami jedynej wielkiej mi-  
łości swego życia. Aragon w swej pieśni dla  
Elzy świadomie sięga po najrozmaitsze  
konwencje poetyckie, od bardzo dawnych  
po najnowsze, a we wszystkich mówi o  
tym samym: o miłości i o cierpieniu, o  
przemianach i o trwaniu, o lęku i o na-  
dziei. Językiem dnia dzisiejszego pisze:

„Co się ze mną dzieje, gdzie ono jest  
to moje życie i to wszystko, co było  
warte by poświęcić mu wszystko by  
umrzeć i oto stałem się celem dla  
osaczających mnie ramion uzbrojo-  
nych w dzyrty i strzały każde słowo  
które wypowiadam obnaża mnie o-  
świetla miejsce w które można mnie  
ugodzić ukazuje słaby punkt zdradza  
serce swoją pulsacją Chwyta mnie  
przechwyca mnie na gorącym uczynku  
płomiennej sprzeczności z samym so-  
bą i nie zdolam osłonić swojej hańby  
tego pełnego słońca hańby kiedy  
chwycicie mnie za gardło jak fakie-  
go który podaje się za kogo innego  
i wszyscy widzą że nim nie jest i wy-  
tykają go palcami i mają pełne pra-  
wo żyć go i szarpać i przydawać so-  
bie godności jego kosztem nie trzeba  
mu było tam chodzić a przede wszy-  
skim nawet teraz nie przyznaje się  
do swoich błędów upiera się przy  
swojej dobrej wierze imbecyli dawno  
mu przecież okazję i dlaczego z  
niej nie skorzystał skoro tak przyła-  
plemy go na jego sposobie wyrażania  
się i tym gorzej dla niego wystar-  
czałoby mu przecież żeby się nie o-  
bracał żeby pozostał w trzech czwar-  
tych żeby nie przyznawał się z przodu  
i profilu nie przyznawając się nigdy  
teraz pozostaje mi już tylko ponieść  
konsekwencje mojej głupoty i wy wy-  
triumfujecie tłumnie całym ciężarem  
swojej młodości zdrowia muskułów  
kłamstwa zdolności i kłamstwa ach  
nie trzeba ci tego było nie trzeba by-  
ło nie kryjąc się nieszczęsny chłopie  
z twoimi słowami które mówią to co  
mówią i sprawami które taki biorą

cji celem nawiązania współpracy”.  
Demokratyczny front walki ciągle się  
umacniał.

Słuszny program PPR doprowadził do  
tego, iż na prelomie lat 1943/1944 po-  
wołano do życia Krajową Radę Naro-  
dową, kontynuując ideę Narodowych  
Komitetów Walki.

Zbigniew Hirs

obrót w pełnym ogniu frontalnym  
mającymi swoje imiona jak w urzę-  
dzie stanu cywilnego w księzeczce  
wojskowej na pulkowym apelu Sa-  
mojny i nagi stary i nagi bez obrony  
i z twarzą do przodu zupełnie sam  
twarzą w twarz ze swoją miłością”.

Jeśli słabością i siłą Aragona jest  
jego miłość, miłość do Elzy i miłość  
do ludzi, która kazala mu zwracać się  
życie i twórczość ze sprawą komuniz-  
mu — książka Jeana Cau\*\*, do  
której swego czasu obiecaliśmy wró-  
cić, mówi — wprost przeciwnie — o  
ludziach, dla których miłość jest  
czymś niemożliwym. „Litość Bo-  
ga” Cau, wydana w okresie waka-  
cyjnym, spotkała się z żywym za-  
interesowaniem czytelników i doczeka-  
ła się już sporej wiązanki recenzji w  
różnych pismach. Wydaje mi się, iż  
recenzenci, słusznie podkreślając wtór-  
ność formalną książki Cau, nie zwró-  
cili uwagi na pewien aspekt dosyć  
istotny: że ta powieść, dzieło ex-sekre-  
tara Sartre'a, jest swego rodzaju po-  
lemiką z sartrowskim egzystencja-  
lizmem. Cau podejmuje dyskurs po-  
lemiczny „zapoczątkowany przez Ca-  
musa w jego „Upadku”. Za punkt  
wyjścia powieści Cau uznać można  
słowa bohatera „Upadku”:

„Jakież to upojenie czuć się Bo-  
giem—Ojcem i rozdawać ostateczne  
zaświadczenia ziego życia i obycza-  
jów! Siedzę na tronie pomiędzy moi-  
mi ohydnyimi aniołami na szczycie  
holenderskiego nieba i patrzę, jak  
idzie ku mnie z mgieł i wody tłum  
sądu ostatecznego. Wznoszą się powo-  
li, widzę już, jak nadchodzi pierwszy  
z nich. Na jego błędnej twarzy, na  
wzrost zasłoniętej ręką, czytam smu-  
tek wspólnej doli i rozpacz, że nie  
można jej ująć. Ja zaś żaluję nie roz-  
grzeszając, rozumiem nie wybacząc  
i nade wszystko, ach, czuję wreszcie,  
że jestem uwielbiany”.

Te słowa dokładnie określają sy-  
tuację centralnej postaci książki Cau  
— Doktora, jedyne w pełni świad-  
omego z czterech, skazanych na do-  
żywcio morderców, bohaterów „Li-  
tości Boga”. I Doktorowi wymyka się  
wyznanie, stanowiące — jak mi się  
zdaje — niezauważony przez krytykę,  
klucz do powieści: „Zbrodniarzem  
jest człowiek, który zrozumiał, że miłość  
jest czymś niemożliwym”. Właściwym  
tematem książki Cau jest mechanizm  
wyobcowywania się, mechanizm, któ-  
rego zasadniczym trybem — jest nie-  
dosyć i niedowład uczuć. Szczególnie  
znamienna jest tu historia samego  
Doktora. Doktor, jako dziecko, był sy-  
nem niekochanym; całą miłość rodzi-  
ców, a zwłaszcza matki, zwracała się  
ku jego bardziej udanemu bratu. Po  
śmierci tego brata — życie drugiego  
dziecka, późniejszego Doktora, jest dla  
matki „solą w oku”. Gdy niekochane  
dziecko zachorowuje, matka czyha

wprost na jego śmierć. Te fakty detem-  
minują całą dalszą postawę Doktora,  
doprowadzając go ostatecznie do  
mordowania żony, do zamordowa-  
nia jej właśnie za to, że go kochała, a  
chając — rozbijała jego ukazywaną  
jednoitą koncepcję świata, koncepcję  
opartą na przekonaniu, że „miłość jest  
czymś niemożliwym”. Z tego punktu  
wzruszenia powieść Cau jest niewą-  
wiele ciekawym przyczynkiem do wy-  
kusji nad centralnym dla współczes-  
nej literatury problemem wyobcowo-  
wania.

Nie mniej żywą problematykę repre-  
zentują nowele F. Scotta Fitzgeralda  
ralca „Odwiedziny w Babilonie”  
nie”.) Fitzgerald, przedwcześnie  
zmarły pisarz z pokolenia Faulknera,  
znany już polskim czytelnikom z  
wpół autobiograficznego „Wielki  
Gatsby'ego” — w twórczości swej  
tuje się przeciw cywilizacji sukcesu  
i konformizmu życiowego, wypowia-  
jącej się za wartościami głębszymi,  
prawdziwszymi, które nie dają się  
płacić jak samochód czy lodówka. Nowele  
Fitzgeralda — podobnie jak twórczość  
młodszego odcina Trumana Capote —  
jakby ilustracją literacką „niepoko-  
je amerykańskich”.

Piękny dar ofiarowało swym czy-  
telnikom Wydawnictwo Literackie, po-  
blikiując książkę Rilkego o Rod-  
nie.\*\*) Jak wiadomo, Rilke był przez  
jakis czas sekretarzem Rodina, a potem  
w swej książce dał głęboki wyraz kul-  
towi dla wielkiego rzeźbiarza uważa-  
nego przez dzisiejszą krytykę za „jed-  
ną z ostatnich wielkich osobowości w  
całej historii rzeźby”. Książka Rilkego  
nie jest monografią Rodina, ale czyni  
w rodzaju obszernego, poetyckiego ese-  
ju, a zawiera tyle pięknych i wnikli-  
wych sformułowań, że chciałoby się  
ją cytować całymi stronicami. Rilke  
analizuje tu nie tylko twórczość sa-  
meo Rodina, ale poprzez tę twórczość  
dociera do najistotniejszych tęsknot  
i niepokoi współczesności. Słowa, któ-  
rymi charakteryzuje twórczość Rodina  
„Tak, jak gdyby ktoś usiłował wystru-  
mać gorący strumień metalu i dał mu  
zastygnąć we własnych rękach” —  
można w gruncie rzeczy odnieść do  
wszystkich najwybitniejszych, najbar-  
dziej znamiennych dzieł współczesnej  
sztuki, także i współczesnej literatury  
Książka, bardzo starannie wydana, sta-  
nowi zarazem mały album reprodukcji  
najcenniejszych rzeźb Rodina. Szkoda  
tylko, że z racji małego nakładu (3000  
w tej chwili jest już nie do nabycia)  
jeszcze to jeden przyczynek do wpra-  
wności, jakie budzi racjonalność na-  
szych planów wydawniczych. Toż sa-  
mych członków Związku Literatów  
Związku Plastyków, którzy wszyscy  
są potencjalnymi nabywcami książek  
tego typu — jest więcej niż 3000, nie  
mówiąc o historykach sztuki, innych  
przedstawicielach zawodów twórczych  
no i po prostu zwykłych amatorach do-  
brej literatury i dobrej rzeźby.

\*) Louis Aragon: „Elza”, przekład z franc.  
A. Międzyrzeckiego, PIW, str. 128.  
\*\*) Jean Cau: „Litość Boga”, przekład z  
franc. K. Dolatowskiej, PIW, str. 216.  
\*\*\*) F. Scott Fitzgerald: „Odwiedziny w  
Babilonie”, przekład z ang. elskiego, A. Kas-  
ki, Czytelnik, str. 419.  
\*\*\*\*) R. M. Rilke: „Rodin”, przekład z nie-  
mieckiego W. Wirpszy, Wydawnictwo Lite-  
rackie, str. 178 plus XL reprodukcji.

## KONKURS LITERACKI W ZAMOŚCIU

Z RACJI tegorecznych „Dni Zmoś-  
cia” ogłoszony został przez Prezy-  
dium MRN i Powiatową Porad-  
nię Kulturalno-Oświatową w Zamościu  
konkurs literacki tematycznie związany z  
hetmańskim grodem. Rozstrzygnięcie kon-  
kursu nastąpiło w końcu listopada na po-  
siedzeniu jury. W skład jego weszli: Eu-  
geniusz Zgnielec, przewodniczący PMRN,  
Dżeneta Dzięk, wiceprzewodnicząca, poseł  
Głowański, redaktor Benjamin Harasimuk,  
Czesław Kęstowicz, dyrektor orkiestry Na-  
mysłowskiego, Krystyna Studzińska, Wal-  
demar Zikrzewski i przewodniczący Związ-  
ku Literatów z Lublina, Wacław Gralew-  
ski.

Był to w okresie powojennym pierwszy  
tego typu konkurs toteż wzbudził on ży-  
we zainteresowanie w Zamościu.

W rezultacie obrad jury postanowilo  
nie udzielić pierwszej nagrody. Drugą nagro-  
dę przyznano Zbigniewowi Kościńskiemu,  
znanemu zamojskiemu poecie. Poza tym  
przyznano dwa wyróżnienia: Lidii Koś-  
mińskiej i Robertowi Jęgowskiemu.

Ponadto jury postanowilo wyodrębnić  
utwory o charakterze piosenkowym i prze-  
kazać je innemu sądowi konkursowemu,  
składającemu się ze znawców pieśni i mu-  
zyki.

W trakcie obrad jury do Ratusza Z-  
amojskiego przybyła wycieczka bułgarska,  
która serdecznie powitał zarząd miasta.  
Goście interesowali się historią miasta i  
jego stanem obecnym. Było to niezwykle  
mile zainteresowanie w pracach jury konkur-  
sowego.

Obok zamieszczamy dwa nagrodzone  
wiersze. (W)

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

## Słowo o zamojskiej ziemi

Ziemię, którąm ukochał. Ziemię, dająca chleb,  
lessowa, żyzna ziemię, sięgająca wzgórzami po słońce.  
Zielona wiosną, w czasie suszy siwa jak spalony step,  
brązowiejąca jesienią. Ziemię, pod półksiężycem  
ostrym kołcem.

W sinych mgłach o świtanu budzisz się do dnia,  
przecierasz oczy stawów, płaczesz łzami rzek,  
ploniesz ogniem południa, sercem, które zna,  
co to krwi, i śmierci, i pogardy wiek.

Ziemię, którąm ukochał! Zamojska ziemię żyzna!  
Umierałaś po trzykroć wtedy, gdy but  
najeżdżył cię deptał.

Dzięki tobie wiem dobrze, co znaczy słowo ojczyzna,  
Polska, o której od wieków szum twoich  
lasów szeptał.

Ziemię lessowa! Z ciebie wyrosły gniewne  
pieśni moje.

z ciebie ten pożar serca, co dudni rytmem krwi,  
z ciebie słodycz tworzenia zmacona niepokojem,  
że nikt mnie nie będzie słyszeć, chyba tylko ty.  
Więc szepeję do ciebie, ziemię, cicho i miłośnie,  
gdy stajesz srebrna w księżycowej szacie.

A ty — wielka i smutna — wzgórzami  
Roztocza rośniesz  
pod gwiazdy... zatopiona na zawsze  
w gwiezdny poemacie.

LIDIA KOŚMIŃSKA

## Na zamojskim rynku

Noc pełnie po dachach uspionych kamienie,  
zagłada do okien i wkłada w nie sny.  
Głos skrzypliec przyleciał z odległych tu dzielnic —  
na rynek zamojski — i śpiewa przez lzy.

A zegar miarowo wydzwaniania godziny  
i świeci wśród latarń jak księżyc wśród gwiazd.  
Na wschodzie tren nocy już staje się siny:  
dzień idzie, by zwiedzić najpiękniejsze z miast.

# BIAŁOSTOCKA SZTUKA LUDOWA

ZYGMUNT CIESIELSKI

NIE przypadkiem jako temat wystawy z okazji Roku Ziemi Białostockiej obrano dwie gałęzie sztuki ludowej: ceramikę i słomiankarstwo. Nie przypadkiem, zarówno bowiem ceramika, jak i rozmaite wyroby słomiane, głównie maty i plecionki, zdobyły sobie rozgłos w Polsce i za jej granicami. Za pośrednictwem sklepów „Cepeli” i eksportera Coopeximu wyroby białostockich artystów ludowych powędrowały do Szwecji, Belgii, Norwegii, Anglii, Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc o krajach, które sprowadzają mniejsze ilości białostockich wyrobów.

Poważną rolę w rozbudzeniu zainteresowania sztuką ludową odegrały liczne jej wystawy organizowane w Białymstoku i innych miejscowościach województwa (np. w Sokółce, Augustowie, Hajnówce, Wysokiem Mazowieckim i innych) oraz konkursy i nagrody. Były one przeglądem twórczości ludowej, a także dawały wgląd w tradycje plastyczne białostockiej wsi. Wiele przedmiotów sztuki ludowej wędrowało z tych wystaw do magazynów muzealnych w Białymstoku, Warszawie i innych miastach Polski.

Najbardziej powszechnie znane na Białostocczyźnie jest tkactwo ludowe. Trzeba tu zwrócić głównie uwagę na dywany tkane techniką dwuosnowową, ozdobione w ornamenty roślinne i zwierzęce, a nawet całe widoki, jak droga przez wieś, pastwisko w lesie, pasieka itp. Obok dywanów trzeba wymienić barwne płachty tzw. „radziuski” lub „dymki”, tkane we wzory geometryczne. Oczywiście walory plastyczne mają i tkaniny ubraniowe, a przede wszystkim spódniczki: pasyaki i kraciaki. Tkaną je stosując często ciekawe wielonicielnicowe sploty.

Techniką tkacką wykonywane są także maty słomiane.

Garncarstwo ludowe jest dość zróżnicowane. Pracownie w Sejneńskim, Suwalskim, Augustowskim i Łomżyńskim nawiązują do twórczości innej z centralnej Polski, natomiast pracownie z terenów południowo-wschodnich — do ceramiki wschodniosłowiańskiej, czy wczesnośredniowiecznej. Tam też pracują garncarze posługujący się zarzucaną już techniką redukcyjnego wypалу, co daje w efekcie naczynia czarne zwane „siwakami”. Te siwaki są, jak i wyroby słomiane, bardzo poszukiwane w sklepach „Cepeli”.

Ciekawie przedstawia się też białostockie pisankarstwo. Jest ono jak i garncarstwo zróżnicowane w obrębie województwa. Inaczej wyglądają pisanki suwalskie (bardzo charakterystyczne „czarne kruki”), przeważnie dwubarwne, a inaczej siemiatyckie — wielobarwne. Dodajmy jeszcze: wykonywane techniką skrobania i zupełnie nową, którą jest malowanie kolorowymi lakierami.

Wspaniale są wykonywane na Białostocczyźnie palmy, np. wielkie palmy kurpiowskie ozdabiane kolorowymi papierowymi kwiatami, lub misternie wykonywane z drobnych barwionych kwiatusków palmki z powiatu elekiego.

Dorzućmy jeszcze do tego przeglądu zamierzającą już rzeźbę ludową, piękne zdobnictwo domów mieszkalnych, kufry zdobione, kowalstwo artystyczne, wycinanki, hafty, koronki i inne, na których omówienie nie pozwalają szczytne ramy artykułu.

Nie o szczegółowy przegląd twórczości zresztą chodzi. Wydaje się, że sprawa zasadniczą powinno być zagadnienie odbioru sztuki ludowej przez społeczeństwo oraz sytuacja ludowego twórcy.

Jak przedstawiają się te sprawy? Proces cywilizowania się wsi — wkraczająca szerokim frontem oświata, nowe środki oddziaływania na społeczeństwo, a więc radio, film, telewizja, teatr obywatelski, książka, prasa itp. — powoduje coraz mniejszą potrzebę zaspokajania potrzeb kulturalnych w sposób tradycyjny.

Wies zarzuca tradycyjną sztukę ludową, przestaje ona być modna. Na wsi moda na nią nie wróciła, natomiast sztuka ludowa stała się modna w mieście i zapotrzebowanie na nią

jest ciągle wielkie. Artystyczne wyroby ludowe czują się doskonale we współczesnym wnętrzu mieszkalnym i we wnętrzach lokali użyteczności publicznej. Wytwory sztuki ludowej, już w samej swojej zasadzie użytkowej, pełnią w tych wnętrzach pewną funkcję, rzadko są elementem wyłącznie dekoracyjnym. Z tego też powodu sztuka ludowa nie może narzekać na brak odbioru i to nie tylko w sensie muzealnym, ale właśnie jako żywa sztuka użytkowa.

Jak przedstawia się sytuacja twórcy ludowego? Różnie, w zależności od dziedziny twórczości. Weźmy np. ceramikę. Popyt na siwaki jest ogromny, tymczasem ceramika polewana i biskwitowa nie znajduje poza rynkiem wiejskim, stale się kurczącym, nabywców. Ci liczni garncarze skazani są na zmianę zawodu (przechodzą na wyrób kafil), lub na ubogą egzystencję.

Niezbyt korzystnie przedstawia się także byt tkaczek sławnych dywanów dwuosnowowych z powiatu sokólskiego. Po okresie dużego zainteresowania dywanami nastąpiło nasycenie rynku i obecnie są duże trudności ze znalezieniem nabywcy na te bądź co bądź drogie dzieła. Trwają obecnie próby nad dostosowaniem tej dziedziny twórczości do możliwości nabywcy. Poszukuje się więc innego, tańszego surowca, ogranicza się wymiary dywanów itp.

W najlepszej sytuacji są ci twórcy, którzy weszli do działającego od blisko dwóch lat na terenie czterech (na razie) powiatów Spółdzielczego Zrzeszenia Chałupników i Wytwórców Ludowych. Zrzeszenie to ma 150 członków i ok. 250 kandydatów. Są to głównie plecionkarze, wytwórcy mat i garncarze. Zarobki ich kształtują się różnie. Na ogół od kilkuset złotych do kilku tysięcy miesięcznie. Należałoby życzyć Zrzeszeniu dalszego rozwoju, a twórcom, aby jak najprędzej mogli z nim pracować. To jednak nie jest sprawa łatwa i wiele czasu musi jeszcze upłynąć, nim będą mogły być objęte ta działalnością inne tereny województwa. Tam więc pozostanie nadal jedynym mecenasem sztuki ludowej państwo.

## O właściwe wykorzystywanie możliwości

8 LISTOPADA odbyło się w Rzeszowie posiedzenie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR poświęcone problemom kultury wsi i małych miasteczek. Egzekutywa wysłuchała informacji przedstawionej przez Kierownika Wydziału Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie mgr F. Filipowicza, oraz zapoznała się z problematyką pracy kulturalno-oświatowej prowadzonej na wsi przez najpoważniejszego partnera placówek państwowych, w pracy ko Związku Młodzieży Wiejskiej. O problemach tych mówił przewodniczący ZW ZMW Julian Krochmal. Bardzo charakterystyczna jest tu zbieżność dwu faktów. Egzekutywa obradowała nad problemami życia kulturalnego na wsi i w małych miasteczkach, a więc nad identycznymi z tematem Sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie z maja 1960 roku.

Egzekutywa zebrała się w niedługim czasie po tegorocznej Sesji WRN, która miała między innymi ocenić rezultaty podjętej przed trzema laty Uchwały.

Działacze kultury w Rzeszowskim dobrze pamiętają Sesję z roku 1959. Podjęta wówczas Uchwała Nr 15/60 służyła przez te trzy lata jako akt, przy pomocy którego rozwiązywali pomyślnie szereg trudności lokalnych, finansowych placówek kultury na wsi. Uchwała zyskała sobie opinię dokumentu dobrze osadzonego w rzeczywistości. Jest w niej mowa o codziennych problemach kultury na wsi. Mówi się w niej ile należy zakupować książek do bibliotek, by osiągnąć właściwy wskaźnik nasycenia książką, mówi się w niej, że należy zabezpieczyć środki na opał dla placówek k.o., mówi się o remontach adaptacyjnych i innych podobnych problemach gromadzkiej kultury.

W ciągu trzech lat działania Uchwały zanotowano w Rzeszowskim szereg pozytywnych zjawisk: wzrosła aktywność czytelnicza wsi, do bibliotek publicznych przybyło ponad 60 000 nowych czytelników.

Zakończono organizację sieci bibliotek gromadzkich. Przy 30 procentach bibliotek istnieją czytelnicy, placówki przed trzema laty należały do rzadkości. Dzieki współpracy Wydziału Kultury Prezydium WRN i Centrali Filmów Oświatowych „Filmos” uruchomiono ponad 300 tzw. kin oświatowych wykorzystujących bogate archiwa filmów wąskotaśmowych.

Poprawił się klimat dla spraw i potrzeb kultury. Ale...

Nad tymi „ale” koncentrowała się właśnie dyskusja na posiedzeniu Egzekutywy. Nadal szereg problemów wymaga poważnych wysiłków organizacyjnych partyjnych i instancji powiatowych, administracji i szerokiego współdziałania ruchu społeczno-kulturalnego.

Powstała i rozwija się szereg nowych form pracy kulturalnej na wsi. Są wśród nich inicjatywy sprawzone wycieczkowe. Są i nowe, budzące kontrowersje i dyskusje, jak choćby zakładanie na wsi klubów książek i prasy „Ruch”. Szeregi wystąpienia członków Egzekutywy i sekretarzy KW dotyczyło form pracy kulturalno-oświatowej. Wiele miejsc poświęcono treści pracy wychowawczej szkoły i biblioteki na wsi, oraz

## „Flekowanie” i inne sprawy

PODPICIE młodzieńcy wszczynają awanturę. Jak spod ziemi pojawia się milicyjny radiowóz i błękitno odziani funkcjonariusze stanowczym gestem zapraszają lobuzerów do środka. Cóż to, jeden ośmiela się wyrwać władzy? Energiczne pchnięcie bezbłędnie kieruje go w otwarte drzwi. — Milicja, a tak się szarpie? — dziwi się jeden z gapiów.

A więc przelamało się! Nareszcie jesteśmy świadkami przywracania porządku w naturze rzeczy, czyli ustawiania spraw na nogach. Aż dziw, jak wstrząsa odkrycie, że nie chuliganii tłuką milicjantów, ale milicjanci biorą ich za łby i inne części ciała. Wierzymy, iż kwalifikacje posiadają po temu niegorsze. Przecież wykładano im różne chwytły dłu-dłitsu.

Korzystając z przypływu rozsądku chciałoby się przywrócić właściwy stosunek także do nieco innej sprawy z tej samej sfery tematów chuligańsko-obyczajowych. Otóż od lat, ilekroć obwieszano o jakimś chuligańskim wydarzeniu, rzecznicy etyki społecznej rzucali pełen oburzenia komentarz pod adresem świadków zającia: a wy, czemu milczeliście zamiast dać odprawę zлочыўцы? Wstydzcie się, tchórzliwi świadkowie!

Świadkowie spuszczały głowy i naprawdę wstydzili się. Tak, stchórzyli i własną biernością rozjuszały chuliganów. Zdrada sarmackich, rycerskich obyczajów. Lecz teraz nadeszła stosowna pora, aby wystąpić w obronie niemych świadków chuligańskich burd. Bał się i jeszcze się boją. Stary człowiek od biurka, szeregowy pracownik od maszyny nie kształci się w rycerskim rzemiośle. Oburza go nieprawość, mierzi go gwałt zadawany przez rzeźmieszków, ale Zorro to on na pewno nie jest.

Naczytał się sprawozdań z różnych bijatyk i włos mu się jeży na samą myśl, że jego technicznie niedołężna interwencja obróci przeciw niemu całą sprawność chuligana. A on nie chce być, przepraszam, „flekowany”, ani spioniewierany „bykami”, nie chce zainkasować „fangi”. Wreszcie, czemu to on, nawet nie amator w dżudo, ma wyreczyc władze wyspecjalizowane w obronie życia i zdrowia obywateli? Powiecie — wstydzcie się, bo świadków kupa, a chuliganów garstka? Tak, ale to zawodowcy. Powiecie — hańba, bo jedynomyślny zryw cherlaków obali nawet stonia. Tak, ale ktoś zaręczy, że Kowalskiego wesprze drugi, trzeci, i piąty z tłumy? Wszystko to rzecz niepewna i może się okazać, że Kowalski wystąpi do nierównej walki samotnie. On zaś nie chce być „flekowany” i da capo al fine. Dlatego ten właśnie podszuty normalnym tchórzem obywatel wita z ulgą naturalny rozrost aktywności funkcjonariuszy, którzy likwidują zawodowstwo zabijaków.

Chyba tylko z jednej strony mogą pojawiać się utrudnienia. Obok normalnych gapiów są też gapie esteci latwo węszący nadużycia władzy. Bo dziś jest już tak, że pełniący wieczorną służbę milicjant na wszelki wypadek zbliża się do grupki nieco głośniejszych zachowujących się młodzieńców i przypomina im, jak łatwo popaść w chuligański wybryk. Gapi-esteta sarka wtedy na zbytnią gorliwość władzy. Władza dobrze robi upominając. Co więcej, w powszechnym antychuligańskim alarmie władza może korzystać nawet z pewnego kredytu przekraczania swych uprawnień, co lud nazywa padaniem wiórow gdzie ręką drwa. Zresztą gapi-esteta to zwykle taki, który nie potrafi wyobrazić sobie, na czym polega „flekowanie”, czyli obróbka ludzkiej twarzy obcasem. Oby nigdy nie zetknął się bliżej z czymś takim.

Jędrzej

bardziej wówczas ważne problemy rolnictwa i nie mniej ważne kłopoty rzeszowskich budowlanych...

Egzekutywa zakończyła się kilkoma wnioskami, które stanowią będąc wytyczne dla działalności instancji powiatowych i komitetów gromadzkiej PZPR, tu bowiem koncentrują się podstawowe trudności i... nie wykorzystane możliwości.

Kilkuletnia praktyka rozwoju życia kulturalnego w województwie rzeszowskim uczy, że dużo, bardzo dużo można zdziałać drogą szeroko pojętej pracy partyjnej pracy w której wykorzystuje się urzędowe obowiązki, uprawiania możliwości rad narodowych i podległych im placówek. Bardzo często bowiem słaba znajomość mechanizmu tej działalności jest przyczyną, że niemal równocześnie wola się głośno o środki „na kulturę”, gdy w budżetach rad narodowych, zwłaszcza najniższego szczebla środków tych się nie wykorzystuje.

Adolf Jakubowicz

## SMUGA ŚWIATŁA

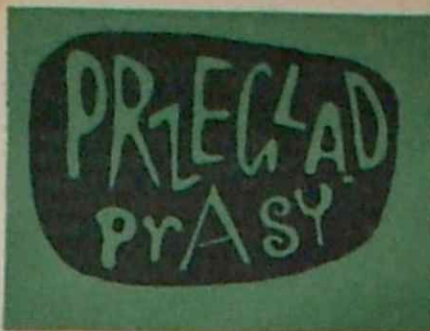
(Dokończenie ze str. 12)

że to już się kończy. „Już” zamienia się w „jeszcze”. W perspektywie scenicznej obraca się kołokrót taneczny gubiąc w oddaleniu i jawiąc wysunięciem na pierwszy plan poszczególne pary. Zwijają się harcownicy tańca. Dopiero gdzieś na dalekim zapleczu dojdzie do głosu zmechanizowane „hop dżisz” jest jedynym prawem określającym linie ludzkiej sylwetki.

Jeździło się cokolwiek po tych różnych „przebiegach”, „eliminacjach”, „częściach artystycznych”, przedstawianych tam i siam. I na estradach gdzie na krzywym drucie zwiisa coś naśladowczego (umowność sceniczna) kurtynę. A jednak zawsze to coś tkwiące w tańcu, w zamasytym ochocle młodości potrafiło wyjść przed niedostatek sceniczny oprawy, zjednać z prawdziwym doznaniem. I zawsze — na nowo.

Clémnieje noc i to, co się teraz dzieje na estradzie, jest coraz bardziej manifestacją żywiołu człowieka wobec milczącego żywiołu natury. To już nie sztuka w znaczeniu „sztuczność”, ale coś bardzo bezpośredniego. Tanczniczy wici młodości. Tę świetlistą smugę między rytmem a gwiazdą chciałoby się jak najdłużej zatrzymać w oku.

Zygmunt Mikulski



Motel pod Moskwą

W następnym numerze zamieścimy artykuł o nowej architekturze radzieckiej.

**S**OCCJOLOGIA należy obecnie do grupy nauk, używając modnego słowa, wiodących. W periodykach socjologicznych można spotkać niezwykle ciekawe wyniki badań dotyczące rozmaitych stron naszej egzystencji, wyglądu i sytuacji różnych grup społecznych, tworzenia się nowego społeczeństwa. Jest ta nauka jedną z tych, które najbliższą są empirycznej rzeczywistości, ona jest punktem wyjścia. Czołowym czasopiśmie socjologicznym są **Studia socjologiczne**. Numer ostatni wypełniony jest ciekawymi pracami np. W. Wesolowskiego „Klasa panująca i elita władzy: wymiary analizy stosunków wzajemnych”, J. Szczepańskiego „Zagadnienie wykształcenia ogólnego i zawodowego w szkolnictwie wyższym”, B. Gałęskiego „Zawód jako kategoria socjologiczna. Formowanie się zawodu rolnika”, R. Turskiego „Struktura społeczno-zawodowa chłopów robotników” czy M. Sokolowskiej „Nieznane środowisko pracy: gospodarstwo domowe”.

Wyliczone artykuły i rozprawy nie wyczerpują zawartości numeru, ale dają pojęcie o profilu pisma, o typie prezentowanych publikacji. Ciekawy problem omawia J. Woskowski w pracy „Z badań nad pozycją społeczną nauczycieli szkół podstawowych”. Autor ograniczył się do omówienia paru tylko zagadnień, takich jak wzrost liczby nauczycieli, staż ich pracy oraz pochodzenie środowiskowe i społeczne. Kraj nasz cechuje niezwykle dynamiczny rozwój kadry nauczycielskiej, jest to zresztą cecha społeczeństw nowoczesnych. O rozmiarach wzrostu najlepiej powie fakt, że w stosunku do ostatnich lat przed wojną obecnie liczba nauczycieli szkół podstawowych podwoiła się i wynosi około 160 tysięcy. Mimo to odczuwa się nadal niedobór kadry nauczycielskiej, co było spowodowane trudnościami w rekrutacji młodzieży do tego zawodu (przeciążenie pracą, trudne warunki szkoły i personelu). Interesujące są dane dotyczące stażu pracy nauczycieli szkół podstawowych. Otóż w okresie powojennym wydatnie obniżył się wiek nauczycieli, nastąpiło wyraźne odmłodzenie kadry nauczycielskiej. Ten w zasadzie pozytywny fakt ma swoje ujemne strony, ponieważ mówi o małym stażu nauczycieli, a przecież doświadczenie dydaktyczne gra rolę nie mniejszą niż wykształcenie pedagogiczne i zawodowe. A w roku szkolnym 1960/61 ponad 57% nauczycieli legitymowało się nie większym niż 9 lat okresem pracy. Jest rzeczą oczywistą, że ten stan rzeczy wpływa na wyniki nauczania. Podstawową bazą, z której czerpie się nauczycieli szkół podstawowych jest, jak wynika z badań Wesolowskiego, społeczność wiejska. Wieś od dawna i we wszystkich krajach dostarczała najwięcej kandydatów do zawodu nauczycielskiego, ale w chwili obecnej udział osób pochodzenia chłopskiego wśród nauczycieli jest szczególnie wysoki. Charakterystyczny jest też, co na ogół wiadomo, wysoki udział kobiet. O powodach wspomnianego wyżej stanu rzeczy tak pisze autor:

„Zawód nauczycielski zawsze należał do zawodów stosunkowo dostępnych ludziom z „dolów społecznych”. Przyczyną szybkiej dalszej demokratyzacji w Polsce Ludowej należy szukać między innymi w większym zblżeniu zakładów kształcenia nauczycieli do młodzieży robotniczo-chłopskiej. Jest to jeden z wyników szerokiej akcji demokratyzacji oświaty, prowadzonej systematycznie w naszym kraju”.

Z innych miesięczników wyróżnia się ostatni numer **Twórczości**. Do najcenniejszych jego pozycji należy bezsprzecznie obszerny i bardzo interesujący szkic J. Kwiatkowskiego o Henri Michaux, wybitnym i oryginalnym poecie francuskim.

Miło odnotować, że pisma codzienne i tygodniowe nie przeoczyły dziesiątej rocznicy śmierci Konstantego Idelfonsa Gałęzyskiego. Ciekawe artykuły i wspomnienia zamieściło **Życie Literackie, Polityka, Kultura, Tygodnik Powszechny**.

Zajrzyjmy jeszcze na sąsiednie łamy kieleckiego **Słowa Ludu**. W publicystycznym cyklu poświęconym poszczególnym powiatom W. Grabka pisze o Busku:

„Busko — kurort o europejskim znaczeniu, powiat już przez naturę mocno zróżnicowany. Urodzajne błota Powiśla, szczytki w części północnej, gdzie nie zawsze sosna chce rosnąć, powiat rozrywany i łączony administracyjnie, o dużych tradycjach postępowych w swej historii”.

Do niedawna był to powiat bardzo zaniedbany odcięty od świata, bez dróg, o tradycyjnym rolnictwie. I oto teraz powiat buski należy do przodujących i to nie tylko w skali wojewódzkiej, ale — w niektórych — i krajowej. Zbudowano drogi, zintensyfikowano rolnictwo, wzniesiono szkoły i to wszystko niemal bez pomocy państwa, za pieniądze i z inicjatywy społeczeństwa.

Jak to się stało? Trzeba było dotrzeć do ludzi, przekonać o pozornie

prostej sprawie, iż wszystko, co zrobili, zrobili dla siebie. Ludzie stanowią dziś prawdziwy kapitał powiatu.

Tę najważniejszą sprawę — ludzi — podkreślił na naradzie w sprawach kultury w Kielcach znany pisarz i działacz — Waldemar Babinič. Powiedział on: „Jeżeli teraz apelujemy do wielkiego spontanicznego, a jednocześnie rozsądnego wysiłku nas tutaj ludzi zaangażowanych, to musimy wiedzieć, że są ludzie, którzy stoją za nami i są naszym oparciem”. Rzeczywiście — warto to sobie uświadamiać.

T. K.

## KIELCE

**NAJWIĘKSZE MIASTO KIELECCZYŹNY** Radom, liczy 145.000 mieszkańców, posiada wiele domów kultury, Bibliotekę Miejską ze 135.000 tomów w śledniu filialach, kluby, teatr, trzy mutacje codziennych gazet, 600 uczniów w szkołach muzycznych, Klub Literacki, duży oddział Związku Piastyków etc, etc, i tylko dwuosobowy zespół w Wydziale Kultury, jak każde inne miasto powiatowe, jak Zwoleń, Szydłowiec, liczące od 8 do 10.000 mieszkańców. Oto są wyniki mechanicznych obliczeń. Cieszy fakt, że wydział ten w ciągu 19 lat zdolał skupić liczne grono działaczy kulturalnych z prawdziwego zdarzenia, że życiem kulturalnym wielkiego miasta kieruje właściwie aktyw społeczny. Czy nie należy jednak zrewidować ustalonego dawno schematu, zwłaszcza w stosunku do miast wydziałowych, do Radomia, Kielce i innych?

Kierownikowi wydziału Kultury m. Radomia mgr Marli Wieleńskiej, która funkcję swoją pełni nieprzerwanie od lat dziesięciu, przesyłamy gratulacje, życzymy dalszej stabilizacji i współpracy z wielkim aktywnym radomskim. O życiu kulturalnym tego dużego miasta, o jego wzlotach i wahanach „Kamena” drukować będzie specjalne materiały.

## RZESZÓW

**W RZESZOWSKIM MUZEUM OKRĘGOWYM** odbyła się w końcu listopada narada etnografów, pracowników muzeów okręgowych 4-ch województw (Białystok, Kielce, Lublin, Rzeszów). Spracowano założenia wielkiej wystawy sztuki ludowej wschodnich województw, która zostanie zorganizowana z okazji 20-lecia Polski Ludowej w roku 1964.

**W RAMACH OBCHODÓW TYSIĄCLECIA** Państwa Polskiego teatr im. Wandy Siemaszkowej wystąpił 30 listopada z premierą komedii Juliana Ursyna Niemcewicza „Powrót posta” w reżyserii Elwiry Turskiej. Scenografią Ireny Perkowskiej.

**STARANIEM BIURA WYSTAW ARTYSTYCZNYCH** otwarta została w lokalu ZPAP w Rzeszowie wystawa fotografii Zdzisława Postępskiego. Postępski jest prawnikiem z wykształcenia, fotografia artystyczna — to jego hobby. Swoje prace wystawiał na wielu wystawach fotograficznych lokalnych i ogólnopolskich, a także na międzynarodowych, m. in. w Wiedniu, Berlinie, Brugie i Liverpoolu.

**PROF. WŁODZIMIERZ HODYS** z krakowskiej ASP zainaugurował w Rzeszowie cykl odczytów pt. „Czwartkowe wieczory rozmów o sztuce” wykładem — „Rzeczywistość a sztuka”. Ogółem odbędzie się 10 wieczorów, ich organizatorem jest Biuro Wystaw Artystycznych.

**33 WIEJSKICH KLUBÓW KSIĄŻKI I PRASY „RUCH”** otwarto w rzeszowskim w okresie ostatnich miesięcy. Do końca roku przedsięwzięcie „Ruch” organizuje jeszcze kilkanaście tego typu placówek. Patronat nad działalnością kulturalno-oświatową klubów objął Związek Młodzieży Wiejskiej.

**WSPÓLPRACA POMIĘDZY KRAKOWSKIM MUZEUM NARODOWYM** a Muzeum w Przemysłu znalazła niedawno wyraz w otwarciu w nadwiślańskim grodzie ciekawej wystawy „Polskie malarstwo krajoobrazowe i rodzajowe XIX wieku”. Pokazano na niej m. in. szereg prac Bożnańskiej, Chełmońskiego, Fałata, Gersona, A. i M. Głerymskich.

Unia

## KRONIKA KULTURALNA

### LUBLIN

**UCHWALE NADANIA ZŁOTEJ ODZNAKI ZWIĄZKOWEJ** gazecie „Głos FSC”, organizowi Samorządu Robotniczego FSC w Lublinie, za wybitny poziom działalności organizatorskiej i wychowawczej pisma, powziętą w listopadzie br. Zarząd Główny Związku Zawodowego Metalowców. Warto dodać, że na 100 istniejących gazet zakładowych w kraju zaszczytnym tym wyróżnieniem mogły się pochwycić dotychczas jedynie „Wiadomości Fabryczne” (WSK Rzeszów).

**ZE STANOWISKA KIEROWNIKA LITERACKIEGO** w P. Teatrze im. J. Osterwy zrezygnowała w końcu listopada Maria Bechczy-Rudnicka.

**12.XII ODBYŁA SIĘ W TEATRZE IM. OSTERWY** premiera „Płatej kolumny” Hemingwaya w reżyserii Bogdana Poręby i scenografią Liliany Jankowskiej.

**NIEDAWNO WYSTĄPILI NA WIECZORACH AUTORSKICH** w Lublinie pisarze: Adolf Rudnicki i Stanisław Wygodzki.

**KIEROWNIK WYDZIAŁU KULTURY PWRN** Edward Nađulski omówił 12.XII w Klubie „Nora” osiągnięcia województwa w ostatnim okresie i plany na rok jubileuszowy. Następnego dnia, również z inicjatywy Wydziału Kultury, odbyło się na Zamku spotkanie dyrektorów przedsiębiorstw kulturalnych z przedstawicielami prasy i Radia.

### BIAŁYSTOK

**W BIAŁOSTOCKIM MUZEUM** otwarto w grudniu osiemnastą z kolei Wystawę Okręgową miejscowego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Z przyjemnością odnotowujemy spore powiększenie ilości wystawiających (doszli artyści z innych miast Polski).

**ZMW W GRUDNIU BR. ZWOLAŁ** naradę miejscowego aktywu kulturalnego w celu przyspieszenia „ataku na wieś” i nadania mu realnych kształtów. Jak w artykule, tak i obecnie budzi nadal obawy szeroki zakres zamierzonych prac organizacyjnych.

\* Patrz artykuł w n-rze 21 „Kamena” z dnia 15.X. br.

**L**UBELSKIE Studium Kultury Teatralnej, zorganizowane przez Wojewódzki Dom Kultury i Radę Okręgową ZSP w Lublinie (pisała o nim „Kamena” w jednym z tegorocznych numerów), nieje już półtora roku. Eksperyment kameralny, lecz pożyteczny. Sto kilkadziesiąt słuchaczy i słuchaczki Studium, rekrutujących się nie tylko spośród studentów wyższych uczelni lubelskich, ale i osób pracujących na co dzień w bardzo różnorodnych zawodach, spotyka się co tydzień na Zamku lubelskim. Wszelkich łączy wspólny hobby: teatr. Odczyty i prelekcje wybranych znawców teatru, spotkania z aktorami, uczestniczenie w lubelskich premierach teatralnych, wspólne wyjazdy na ciekawsze warszawskie i krakowskie przedstawienia, dyskusje, seminaria, recenzje z oglądanych sztuk. Gościł w nim nr 14 w Wojewódzkim Domu Kultury — w której odbywała się zajęcia Studium — Lidie Zankow, Wojciecha Siemaszko, Białoszewskiego, Strzeleckiego, Bystrzyńskiego, Woszczerowicza, Konstantego Puzyna, ostrytno także Jana Kotta, który mówi o głównych kierunkach współczesnej dramaturgii i współczesnego teatru.

J. Kott omówił m. in. dwa główne kierunki czy nurty współczesnej dramaturgii i teatru, obecnie dominujące: teatr Beckettowski i teatr absurdu — a więc Beckett, Ionesco, Adamov. Wspomniał jednak także pobieżnie — o trzecim, o tzw. „teatrze spontanicznym”.

— Pokazali go nam podczas wrzeźniowego Zjazdu Teatralnego w Edynburgu — Amerykanie. — powiedział Jan Kott. Oni nazywają go teatrem spontanicznym, albo „dada”. Wiadomo, jakie „dadaizm” miało założenia i kiedy był u nas w Europie aktualny. Amerykanie niestety często się spóźniają. Mogę dać dwa przykłady takiego dalaistycznego teatru, który oglądałem w Edynburgu: z magazynu mody wynajęto modelkę, zadaniem jej było przechadzanie się przed nami bez żadnego absolutnie stroju, ale za to w towarzyszywie trzech młodzieńców grających na piszczałkach. Edynburg jest miastem dość purytańskim — w efekcie jeden z głównych organizatorów zjazdu, starszy już i wielce szanowany pan, miał poważne nieprzyjemności ze strony policji. Drugi przykład: — znowu podaje tylko szkic sytuacji — rozkopano pewien odcinek ulicy, zwieziono ogromną ilość starych opon samochodowych, które włożono na te wykopki, zostawiając tylko wąskie przejście i kazano uczestnikom przedstawienia przechadzać się wśród tego wszystkiego. Oczywiście światła Jupiterów, szum kamer telewizyjnych itd., itd. No, muszę przyznać, że może to robiło na ludziach wrażenie, ale w każdym razie nie na obecnych tam Polakach. My tak jesteśmy przyzwyczajeni w Warszawie na ulicach do ciągłego wykopków...

Po prelekcji przedstawiciel „Kamena” zwrócił się do Jana Kotta z zapytaniem: — Jeżeli już jesteśmy przy eksperymencie, — jakie jest Pańskie zdanie o tzw. „amatorskim ruchu teatralnym” na Złochdzie. Chodzi mi o porównanie z naszymi amatorami typu: STS, Kalambur, Teatr 38.

— W ogóle nie można tych rzeczy porównywać. Ruch amatorski oczywiście istnieje. Są zespoły studenckie i niestudenckie, robiące mniej lub bardziej udane przedstawienia — na przykład istnieje silne środowisko teatralne w Oxfordzie — ale w tym, co oni robią, nie widzę żadnego „nowatorstwa”...

— Inaczej mówiąc, po prostu kopiuje się teatr zawodowy? — Raczej tak. Na ogół takim amatorom chodzi o dopracowanie się dobrego warsztatu i ewentualne przejście do teatru zawodowego.

— Ambicje wielkie i zarazem małe. — Zapomina Pan, że w tamtych krajach zespoły amatorskie nie otrzymują dotacji od państwa na realizację swoich poczynań teatralnych.

Poza tym Jan Kott miał jeszcze w Lublinie parę ciekawych prelekcji, m. in. na KUL o „Śnie nocy letniej”.

M. D.



rys. Krzysztof Kuratowski